

ANNA FRYCZKOWSKA

SZEŚĆ KOBIEC

W ŚNIEGU



(NIE LICZĄC SUKI)

MUSIAŁA
ZABIĆ
JEDNA
Z NICH...



ANNA FRYCZKOWSKA

SZEŚĆ Kobiet W ŚNIEGU



(NIE LICZĄC SUKI)

książki
Burda

Text copyright © by Anna Fryczkowska, 2016
Copyright © by Burda Publishing Polska Sp. z o.o., 2016
02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15
Dział handlowy: tel. 22 360 38 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Opieka merytoryczna: Anna Luboń
Redaktor prowadzący: Marcin Kicki
Redakcja: Renata Bubrowiecka
Korekta: Magdalena Szroeder-Stępowska, Agnieszka Więckowska
Skład i łamanie: TYPO2
Redakcja techniczna: Mariusz Teler
Projekt okładki i layoutu: Asia Gwis/kavkadesign.com

ISBN: 978-83-8053-167-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

virtualo

Spis treści

Część pierwsza

Część druga

Część trzecia

CZĘŚĆ PIERWSZA



P

owietrze drżało od głośnej muzyki, w której rytmie kilka całkiem szczupłych kobiet dreptało po bieżniach i stepperach, a faceci ruszali sztangami, wpatrzeni w swoje błyszczące bicepsy, równie seksowne jak piłki tenisowe.

– Ach! Ach! Ach! – jęki i stękania niosły się po sali. – Ech! Ech!

I po serii jeszcze jedno z głębi duszy:

– Eeeech!

Czuła się jak na planie niemieckiego pornosa.

Weszła na bieżnię i stopniowo zwiększała tempo, aż biegła dwanaście na godzinę. Koszulkę na plecach miała mokrą, oddech krótki. Krew buzowała w uszach tak, że stękanie facetów ze sztangami stało się prawie niesłyszalne. Biegła i mogła tak jeszcze długo. Nagle prawie zaryła czołem w maszynę, bo bieżnia skrzypnęła i się zatrzymała. Otworzyła oczy. Przed nią stał menedżer.

– Kible nieumyte.

– Wczoraj myłam – odparowała.

– Nie płacę ci za to, żebyś korzystała z urządzeń, kiedy z kibla wali jak z paszczy dziwki.

– Słucham?!

Patrzyła na tego wypachnionego, umięśnionego mężczyznę w obcisłym podkoszulku, wartym przynajmniej pół jej miesięcznej wypłaty, i nienawidziła go. Była pewna, że on wie o tym i ma z tego dużo radości. Nie mogła jednak sobie pozwolić na utratę kolejnej pracy. Zeszła więc z bieżni i skierowała się do drzwi, żeby posprzątać toalety. Na jej ramieniu wylądowała ciężka dłoń.

– Wytrzymaj rączki bieżni.

– Nigdy ich nie dotykam.

– Wytrzymaj. Będą się brzydzić po sprzątacze.

Tego już nie wytrzymała. Nabrała powietrza i na wydechu grzmotnęła go w przepoń. Zgiął się bez tchu. Doprawiła kopniakiem.

Nie oddał. Nie pobije kobiety. Nie przy ludziach.

A ona znowu będzie musiała szukać pracy.

W toalecie, gdzie usiłowała doprowadzić się do porządku, faktycznie podle cuchnęło. Zważywszy, że siłownię otwarto o szóstej rano, a teraz była dopiero ósma trzydzieści, ktoś musiał się o to nieźle postarać.

– Zaskarżę cię – powiedział menedżer, kiedy wychodziła z siłowni już ubrana i (prawie) pachnąca.

– Zaskarż. Z przyjemnością powiem wszystkim, że skopałam ci dupę – wyprężyła się. Sięgała mu teraz do sutków, wyraźnie odznaczających się pod liliową koszulką. – Niech i w sądzie się pośmieją. Wisisz mi za pół miesiąca – dorzuciła jeszcze i opuściła lokal.

Na ulicy stanęła i odetchnęła powietrzem nieprzemielonym przez klimatyzację: radość tania, ale podstawowa. Tylko na taką będzie ją stać przez najbliższe tygodnie. Wdech, wydech. Pachniało wiosną.

Szczupła, chuda nawet, niewysoka, o piersiach niewiele większych niż pryszcze na czole.

Włożyła czapę, która skutecznie ukrywała jej włosy, jeszcze kilkanaście minut temu splecione w niechlujny węzeł. Jaro szedł za nią ciekaw, co teraz robi dziewczyna wyrzucona z pracy w tak spektakularny sposób.

Skręciła w lewo. Nagle przystanąła.

– Zostaw to, draniu! – i puściła się biegiem.

Kilkanaście metrów dalej, pod spożywczym, jakiś moczarz w ortalionowych spodniach ozdobionych z boku znaczącym motywem trzech równoległych pasków kopał w przymocowany do słupka rower. Dziewczyna dopadła do niego. Sięgała mu mniej więcej do podbródka.

– *Twoje, że kopiesz?!*

– *Twoje, że rysujesz?! – wrzasnął facet i machnął ręką w kierunku BMW, zaparkowanego w poprzek chodnika.*

– Zarysować to ja dopiero mogę.

Menedżerowi przywaliła bez namysłu, ale z tym by sobie nie dała rady tak łatwo. Gościu od beemki ewidentnie był żołnierzem ulicy.

– A to? – Facet chwycił rower i potrząsnął nim na tyle, na ile pozwalała mu blokada. – Co masz na tej rączce? – Poskrobał paznokciem i wyciągnął zakrzywiony palec w jej stronę. – Mój lakier granat metalik.

Guma zabezpieczająca rączki roweru rzeczywiście nieco się przetarła, odsłaniając stalowe rury.

– I na tej wysokości rysa na moim wozie! Płacisz albo wpierdol.

– A ja wzywam policję i bekniesz za parkowanie na środku chodnika.

Jaro widział nawet stąd, że dziewczyna, klócąc się z gościem, niemal niepostrzeżenie otwiera blokadę roweru.

– Mogą mi nagwizdać.

Osilek znowu wyciągnął łapę w jej stronę, ale jej nie dosięgnął, bo wskoczyła na rower, wykręciła tak, że facet stracił równowagę, i pognąła na ulicę, gdzie zniknęła pośród trąbiących samochodów.

Mężczyzna jeszcze chwilę pocierpiał nad rysą, a potem się wyprostował i dostosował wygląd do imponującej, mimo rysy, beemki, bo chwiejąc się na obcasach, podeszła właśnie do niego postawna blondyna.

– Cześć, Dawid – rzuciła.

– Cześć, Julia.

Przytulił blondynę, przejeżdżając dłonią po jej niewielkim, ale wystającym tyłeczku.

– Spóźniłaś się.

– *Szykowałam się dla mojego Dawidka – odrzuciła do tyłu włosy ruchem, który musiała podpatrzyć w Top Model.*

Jaro wychylił się zza kiosku i nagle się zdziwił. Chuda zołza, wyrzucona przed chwilą z pracy, stała z drugiej strony budki z tym swoim rowerem i uważnie przysłuchiwała się wymianie zdań, robiąc jednocześnie coś niepojętego: zrzuciła wielką czapę, zdjęła gumkę z włosów, potrząsnęła głową. Wyjęła z kieszeni szminkę, umalowała sobie usta, a luźną kurtkę upchnęła do sakwy przy bagażniku roweru. Została w obcisłym T–shircie, spod którego wojowniczo sterczały okruchy sutków, bo raczej nie nosiła stanika.

Moczarz chwycił blondynę w talii i podprowadził do BMW blokującego chodnik, ale zanim zdążyli wsiąść, z drugiej strony samochodu pojawiła się chuda, która wyprostowana, z wymalowanymi wargami wyglądała teraz raczej wulgarnie niż żałośnie. Jaro zamarł. Jeszcze

chwila i będzie musiał interweniować, bo przecież nie pozwoli, by ktoś skrzywdził kobietę w jego obecności. Zwłaszcza taką kobietę.

– Cześć, Dawid – powiedziała chuda z rozmarzonym uśmiechem, hamując obok tamtej pary. Zdawała się w ogóle nie zauważać blondyny. – Ale była impreza, co? Ale było ruchańsko... Tylko potem obiecywałeś, że zadzwonisz! – to ostatnie wykrzyzczała z żalem, patrząc na blondynę. – Kto to jest?! Mówiłeś, że jesteś wolny!

Wpatrywała się jeszcze przez chwilę w osłupiałego Dawida, po czym wybuchnęła łkaniem i nacisnęła na pedały, by zniknąć za rogiem.

Jaro wpadł w zachwyt: chuda była genialna! Od razu ruszył za nią, nie przyglądając się dłużej, jak blondyna wali Dawida w pierś, starając się nie połamać paznokci.

Chuda zahamowała za zakrętem i znowu odziewała się w kurtkę. Właśnie miała odjechać, kiedy Jaro przytrzymał jej kierownicę.

– Jeszcze jeden – westchnęła, ścierając szminkę wierzchem dłoni. – Zmówiliście się dzisiaj czy jak?

Do niczego, pomyślała Alka. Po co komu kolejna powieść o chudej furii walczącej z okrucieństwem męskiego świata? No dobrze. Fajne były bicepsy, równie seksowne jak piłki tenisowe. Niezły był też plan niemieckiego pornosa. Generalnie dałoby tu się znaleźć kilka udanych kawałków. Gorzej, że nie miała pojęcia, kim miałyby być ów Jaro. I czego miałyby dokonać na kolejnych kartach zdeterminowana sprzątaczką, dorabiająca między innymi na siłowni. Menedżer natomiast kogoś Alce przypominał. Jej mąż również miał kiedyś taką liliową koszulkę, pod którą odznaczały się sutki. Kilka lat temu nawet jej się to podobało. Potem mąż przestał nosić obcisłe koszulki, bo pod nimi odznaczał się głównie brzuch. A poza tym, jak zwracać uwagę na to, co odznacza się pod koszulką, gdy dla własnego bezpieczeństwa należy raczej skupić się na tym, co łągnie się mężowi w głowie...

Dość o mężu, to żalosne.

Podeszła do okna. Śnieg padał od kilku godzin. Nadrabiał za mokrawy listopad, suchy grudzień i szarawy styczeń, więc zamiast pojedynczych gwiazdeczek atakował płatami wielkości poszewek na jaśki, wypuszczanymi z nieba z wydajnością chińskiej fabryki. Zakrył wszystko: Centrum Handlowe Arkadia, bloki wokół, a nawet zakończony biało-czerwoną flagą maszt niepodległości na rondzie Radosława. Całe szczęście, bo na ogół przypominał niechlujnie ustawiony stosik patyków, z którego w czasie deszczu zwisała mokra szmatka.

Ona sama czuła się ostatnio podobnie.

No, do roboty. Jeszcze raz.

W powietrzu wisiał odór drogiego odświeżacza powietrza, ludzkiego potu i męskich dłoni trących o sztangi. Ciągle wisiał, choć ostatni ćwiczący wyszedł stąd sześć godzin temu. Po jego wyjściu jednak wyłączono klimatyzację, a okien w lustrzanych ścianach nie przewidziano.

Siłownia działała od szóstej do dwudziestej drugiej, więc posprzątać mogła albo o czwartej rano, albo przed północą. Tak czy siak, skazywało ją to na życie nietoperza. Miała przyjść wieczorem, ale wykończona zasnęła w wannie, więc w klubie pojawiła się o martwej godzinie, kiedy starcy odchodzą do krainy śmierci, a pościel najbardziej kusi.

Najpierw zebrała, co zostawili ćwiczący. Wrzuciła do kosza z kartką „Rzeczy znalezione” słuchawki od iPod'a oraz koszulkę, chyba damską, na pewno drogą. Znalazła też pisemko „Muskulę” z jednym z umięśnionych menedżerów na okładce, ale wiedziała, że powinna

zostawić je tam, gdzie było, zatknięte za rączkę rowerka, gdyż na pewno nie było przeznaczone do tego, by chować się w głębokim koszu, lecz budzić zazdrość ćwiczących.

Wyczyściła odkazującym płynem skórzane siedzenia i rączki wszystkich urządzeń Przetarła lustra, w których klienci mogli podziwiać swoje walory. Odkurzyła i umyła podłogę. Wymieniła wodę w wiadrze i zeszła krętymi schodami do dolnej sali. Na górze było królestwo rowerków, stepperów i bieżni (raz uruchomiła jedną – gumowa taśma porwała ją do tyłu, bezbronną jak żuk przewrócony na grzbiet), na dole królowały ławeczki do ćwiczeń brzucha i sztangi. Wymyła więc ławeczki błyszczące od potu (a podobno mieli kłaść sobie pod plecy ręczniki), potem odwróciła się w stronę sztang. Najgorzej było, gdy wieczorem nie odłożono ich na miejsce. Tych najcięższych nie była w stanie odwiesić. Zostawiała je więc na podłodze, a menedżer się zżymał, bo rano sam je musiał odkładać, wysilając swoje okrągłe błyszczące bicepsy (dla niej równie seksowne jak piłki tenisowe). Ale dziś nikt nie zostawił sztangi na podłodze. Tym razem leżała na mężczyźnie, na szyi mężczyzny cichego jak granitowa pokrywa grobu i lśniącego jak ona w tych fragmentach, które wystawały mu spod designerskiej koszulki w kolorze lila, pod którą odznaczały się sutki.

– Proszę pana!

Na wszelki wypadek dotknęła jego szyi. Zimna jak rączka sztangi. Już nawet nie szukała pulsu na tętnicy, tylko od razu poszła do swojej kurtki po telefon. To wszystko oznaczało, że dziś już sprzątać więcej nie musi. Nawet nie powinna. Za to może popijać kawę z ekspresu w recepcji i czekać na policję. Zaraz też zadzwoniła po menedżera... Och, jaki był zaspany, jaki zły! Raz będzie musiał przyjść do pracy przed szóstą, a nie przed dziesiątą, jak to robił na co dzień.

Uśmiechnęła się, siorbnęła kawy, włączyła muzykę. Czekala – ona na górze, a on na dole. On, czyli denat przypominający sklepowy manekin – o równie nierealnych kształtach, równie martwej twarzy i równie sztywnych członkach. Idiota stracił życie poświęcone w dużej mierze pielęgnowaniu ciała, które rychło miało się nieodwracalnie rozpaść. Jak by ją spytał, powiedziała mu, że to bez sensu. Ale nikt jej o nic nie pytał. Ze sprzątaczką się przecież nie rozmawia.

Alka huknęła pokrywą laptopa. Ile razy można opisywać trupa męża?

Dziesiątki razy, na wiele sposobów. To była metoda Alki na trwanie w tym związku. Bywają gorsze. Gorsze metody. Gorsze związki chyba też.

Wojenka z życiem, z mężem, z pracą wyczerpywała Alkę tak znacznie, że musiała się odtruwać codziennymi dawkami zbrodni, które z detalami opisywała. Inaczej by zwariowała. Wstawiała więc w dni powszednie o martwej godzinie, piąta trzydzieści rano, wygrzebywała samotny czas w weekendy i wpisywała w komputer okrutne bluzgi na rzeczywistość, przede wszystkim małżeńską, choć przecież nie tylko. Nie, nie dodawała hejterskich komentarzy na przeróżnych forach, jak spora część polskiego społeczeństwa. Ona pisała książki.

W głębi śpiącego lub pustego domu dawała upust swojej frustracji, który pozwalał jej na zarobienie kolejnych paru groszy. Bo na szczęście umiała tak formułować swoje żale, by wydawane były w formie powieści czytanych przez wiernych, choć nielicznych miłośników. Zamiast więc fundować mężowi ciche dni, milej jest odbierać mu życie na ekranie komputera, a potem witać go kawą i szerokim uśmiechem. Zamiast pyskować szefom, lepiej torturować ich na papierze, by ze spuszczoną głową słuchać potem popisów ich butnej niekompetencji.

Nie powinna więc narzekać. Nie dość, że ulewała sobie żółci, to jeszcze pełne zaufania wydawnictwo spisało z nią umowę i dało zaliczkę na kolejną powieść. Zaliczkę niewielką, ale

bardzo przydatną, bo już dawno się rozeszła na sprawy bieżące. Gdy Alka sześć miesięcy temu cieszyła się z przelewu, wydawało się jej, że ma jeszcze mnóstwo czasu na napisanie kolejnej krwawej historii. Nic z tego. Nie szło jej.

Dziś również. Sobota, więc od kilku godzin miała wolne, pustą chatę, ciszę ze spokojem, ani męża, ani dzieci. Poszła do kuchni i pstryknęła przycisk czajnika, jakby herbata mogła pomóc na cokolwiek. Wróciła z parującym kubkiem do biurka, ustawiła go na teczce z umową, podniosła pokrywę laptopa i nawet nie zaglądając do poprzedniego tekstu, zaczęła nowy. Zatarła dłonie – rytuał przed rozpoczęciem pisania od dłuższego czasu coraz mniej skuteczny. No tak, bo nieudany początkami kolejnego kryminału mogłaby już wytapetować sypialnię, a jeśli jeszcze chwilę popracuje, to i na salon starczy.

A przecież jeszcze jakiś czas temu pisała jak w transie, dzięki czemu wydała trzy wspaniałe krwawe kryminały. Z przyjemnością zabijała na papierze, wypruwała flaki, obcinała sutki i nosy, wycinała monogramy na skórze trupów. Dzięki temu z mniejszym obrzydzeniem szła do pracy, gdzie za błyszczącym biurkiem, przerzucając stosy papierów, rozplaszczając sobie tyłek na zebraniach, słuchała bałwanów, których z zamkniętymi oczami pokonałaby i w teście na IQ, i w zwykłej dyskusji. Udawała głupszą od nich, udawała pokorną, by dostać dwanaście pięćset na rękę i spokojnie móc spłacać kredyt. By po pracy wsiąść do służbowego audi i słuchając audiobooka, ruszyć do domu. Jej służbowe audi ze służbowo wbudowanym zestawem głośnomówiącym i z mandatami pokrywanymi przez firmę i bez tego było sporo lepsze od ich prywatnej dziesięcioletniej toyoty, do której Miłosz nigdy Alki nie dopuszczał, bo zarysuje, bo rozwali skrzynię biegów, przesunie fotel i lusterka. Alka więc z rozkoszą wsiadała do audi, trzymając Miłosza na siedzeniu pasażera, co jeszcze bardziej podkopywało jego poczucie własnej wartości, zdewaluowane ostatnio do dwóch sześciuset. Pewnie dlatego coraz szybciej się na nią denerwował, a w łóżku zrobił się prędko i samolubny. Coraz rzadziej też angażował się w sprawy domowe. Dzieci, ich lekcje, ich łyzy, ich zebrania, ich projekty naukowe, ich nowe buty, ich „dlaczego mam takie małe kieszonkowe”, i „conversy to wcale nie takie zwykłe trampki, to trampki markowe i wszyscy je mają” – wszystko to spadało wyłącznie na Alkę, jakby nagle stała się samotną matką, która i utrzymuje, i wychowuje, i wozi na zajęcia.

Tym bardziej więc pastwiła się nad mężem w swoich tekstach. I tak ich nigdy nie czytał. Nazywał je kobiecym hobby i programowo lekcewał.

Cóż, mógłby powiedzieć jej czasem dobre słowo, jeśli nie o pisaniu, to o czymkolwiek. Należało się jej. Za to, że nie każe mu się piąć po szczeblach kariery, tylko sama bierze sprawy w swoje ręce i nie dość, że zalicza wszystkie zebrania w szkołach dzieci, to jeszcze spłaca ich kosztowną małżeńską osiemdziesięciometrową fantazję we frankach. Bez słowa.

No dobrze, kilka razy wyrwało jej się na ten temat parę zdań przy gościach. Na przykład wczoraj. Co wkurzyło jej męża, miała na to niezbity dowód.

Zbity dowód.

Ręka powędrowała w kierunku siniaka na skroni. Bolało. Bo właśnie wczorajszego wieczoru, gdy goście już poszli, Miłosz, wkurzony, że za bardzo się przed nimi pyszniła, walnął ją w twarz. Znienacka. Potem tylko sapnął i popatrzył na swoje dłonie, zdziwiony, jakby kto inny nimi poruszał. Alka też zamarła. Właśnie przekroczyli jakąś granicę i nie była pewna, czy znajdują drogę powrotną.

Rano Miłosz zdawał się niczego nie pamiętać. Zresztą Alka nie miała za bardzo kiedy z nim pogadać. Musiała się zwijać, bo odwoziła dzieci na autokar na zimowisko. Nie spieszyła się specjalnie z powrotem, niech mąż za nią zatęskni, niech się o nią pomartwi, niech wyśle

esemesa: „Gdzie jesteś, kochanie?”. A gdy ona odpowie, że na kawie, tam, gdzie kiedyś lubiliśmy jeść w soboty śniadania, to on tam wpadnie z kwiatami. Miłosz jednak ani nie esemesował, ani nie dzwonił, więc wysączyła tę kawę samotnie. Kiedy wróciła, nie było go już w domu. Brakowało również jego kurtki, torby na siłownię oraz kluczyków do toyoty. Nie chciał jej widzieć. Przykro.

Ale nic dziwnego. Bo po co się pyszniła? Po co mu przygadywała? Po co go poniżała przed znajomymi? Po co im wiedza, że to Alka lepiej zarabia, że to Alka spłaca kredyt, że to ona jeździ lepszym samochodem? Dziecinada. Każdy by się wkurzył.

Sama była na siebie wściekła. No i zrobiła to, co zawsze, gdy miała kłopoty.

Hania odebrała już po dwóch dzwonekach.

– Mam nadzieję, że ten telefon oznacza, że zabierzesz się z nami.

– Nie, nie jadę dziś do Zuzi. Chciałam tylko chwilę z tobą pogadać.

– Alka, nie mogę. Nie teraz. Zaraz muszę...

– Uderzył mnie. Miłosz mnie wczoraj uderzył... – wyznała Alka na jednym wdechu.

Chwila ciszy. I wreszcie:

– Będę u ciebie, kochana. Za jakieś dwie godziny. Do tego czasu jednak może przemyślisz, czy nie powinnaś potem pojechać ze mną do Zuzi i popić z nami.

Nie, na wieczorne spotkanie Alka nie pójdzie. Za żadne skarby.

Znowu otworzyła laptop. Ma jakieś dwie godziny, żeby ten dzień na coś się przydał. Byle zacząć, jakkolwiek. Najważniejsze pierwsze zdanie. Może najprościej: „Śnieg padał od kilku godzin”? Stąd można iść w każdą stronę. Opis nastroju, pogody, krajobrazu można wziąć z reala, takie myki są najlepsze. Znowu rzuciła okiem za okno. Śnieg pracował nad Warszawą od południa i najwyraźniej nie zamierzał przestać. Zapisała, dodała metaforę. Ale jeśli nie przestanie padać, to przecież Hania nie da rady dojechać do Zuzi. Posiedzą sobie tutaj. Albo w tym pubie co zawsze. No więc: *Śnieg padał od kilku godzin. Nadrabiał za mokrawy listopad, suchy grudzień i szarawy styczeń, więc zamiast pojedynczych gwiazdeczek atakował płatami wielkości poszewek na jaśki, wypuszczanymi z nieba z wydajnością chińskiej fabryki. Zakrył wszystko: Arkadię i Pałac Kultury, dworce i kościoły, kamienice i bloki, a kiedy wyjechali z miasta, pracowicie zasłaniał pancerne nieforemne pałace nowobogackich z przerośniętymi garażami. Przysypywał billboardy z gołymi nawet zimą babami, baraki hurtowni, a już najstaranniej starał się pokryć wyboiste drogi...*

Kiedy po dwóch godzinach Alka zamykała laptop, uśmiechała się do siebie. Z tego ma szansę powstać coś naprawdę sensownego. A przy tym zabawnego, dla wtajemniczonych oczywiście. Wyśle to dziewczynom. Wszystkim, które mają być u Zuzi. Wszystkim poza Bietką. Niech i one się pośmieją.

Gdy będzie to publikować, trzeba będzie zmienić kilka szczegółów, żeby łotrzyca nie miała się do czego przyczepić. Tak jednak sprytnie, by nadal wiedziała, o kogo chodzi.

Dzwonek do drzwi. Alka pobiegła, żeby otworzyć. Hania wyglądała krucho i ślicznie, obsypana śniegiem, z rumianą twarzą, strasznie młodo jak na jej czterdzieści siedem lat. Wdowieństwo zdecydowanie jej służyło.

– Wchodź, sama jestem. – Alka złapała ją za mokry rękaw.

Hania posłała jej ciepły uśmiech, tak kaloryczny, że można by na nim upiec ciasto drożdżowe.

– Wejść, ale tylko na chwilę. Daria czeka na dole w samochodzie. Próbowałam przesunąć wyjazd do Zuzi, ale mówi, że albo teraz, albo wcale. Potem nie przejedziemy przez te śniegi.

Wskocz do auta, pogadamy po drodze. I u Zuzi zaraz znajdziemy jakiś spokojny kącik. Ma przecież teraz wielki dom!

– Jak to: na chwilę? Myślałam, że zostaniesz. Że z nim pogadasz. Że... Bo ja właściwie się nie dziwię, że mnie uderzył. Naprawdę zachowałam się po świńsku – ulewało się Alce. – Miałam go wspierać, a z niego kpię. I to przy ludziach.

– Mocno cię uderzył? – spytała Hania.

Alka poprowadziła jej dłoń do swojej skroni.

– W głowę?!

– Spoliczkował mnie. Kiedy wyszli goście. Strasznie przy nich z niego kpiłam.

Zarumieniona Hania patrzyła na nią z dziwną miną. Śnieg stopniał na jej twarzy, cała lśniła od wody.

No, napomnij mnie teraz. Zwróć uwagę. Uświadom, co powinnam była zrobić, by temu zapobiec. Zrób coś takiego jak dwa lata temu, gdy lamentowałam, że chyba się rozstaniemy, bo Miłosz bywa okrutny. Choć wtedy, co prawda, bywał okrutny tylko w słowach. No, pomóż mi.

Czy to możliwe, że aż dwa lata minęły od chwili, gdy Hania przyjechała do Alki, by opowiedzieć jej o nierozzerwalności małżeństwa, o wspólnym dojrzewaniu, w którym pomaga wspólne przewyciężanie kryzysów, o sztuce kompromisu i sztuce wybaczenia? A potem wysłała Alkę do sklepu po wino. Gdy ta wróciła z butelkami i czymś do jedzenia, Hania właśnie kończyła rozmowę z Miłozsem, który zdążył jakiś czas temu wrócić z pracy. Przez kilka naprawdę przyjemnych tygodni rzeczywiście był dla Alki miłszy, a i ona starała się go chwalić i dopieszczać. Poszli nawet do łóżka, gdzie było prawie fajnie, a na pewno swojsko. W końcu jednak ich starania rozpuściły się w mijającym czasie i wrócili do *status quo*, osłodzonego jednak świadomością, że przy odrobinie wysiłku można inaczej. A potem ona awansowała, a on wręcz przeciwnie.

Hania pogładziła ją po twarzy. Szkoda, że tak trudno przytulić się do kogoś, gdy z jego pałta kapie.

– Alka, musimy pogadać – zarządziła. – Naprawdę musimy o tym pogadać. I dlatego jedziesz z nami. Daję ci dziesięć minut, byś zrobiła się na bóstwo. U Zuzi będziemy miały więcej czasu.

– Ale ja...

– Alka, nie możesz wiecznie unikać Bietki. Spójrzysz wreszcie smokowi w oczy. Dacie sobie po razie i rozwiążecie problem.

Hania nie miała racji. Ten problem był nie do rozwiązania.

– Wierzę w ciebie – dodała Hania. – I czekam na dole.

Wyszła, zostawiając kilka kropli wody na kafelkach w przedpokoju.

A Alka dalejże malować się, stroić, żeby Bietce pokazać. Co pokazać? Znowu dziecinada. Bietki to chyba nawet nie obchodzi. Zresztą i tak jest od Alki ładniejsza. Bietka wygląda jak Królowa Śnieżka, a Alka – jak jeden z krasnali, ten ze złośliwą twarzą. Cholerna zdradziecka Bietka, i tu więcej dostała od losu. Jest piękna, a kamera ją kocha. Cholerną „prawdziwą królową kryminału”.

Bo właśnie o to im poszło. O to, że Bietka mianowała się „prawdziwą królową kryminału”, nie bacząc na to, że te kryminały pisuje również Alka. „Prawdziwą”, bo przedtem na tronie zasiadała uzurpatorka, jak ją teraz z upodobaniem nazywała Bietka podczas swoich licznych wystąpień w mediach. O to też Alka miała żal. Obie znały tamtą dziewczynę, blondwłosą pisarkę o triumfującym uśmiechu i niskim, przyjemnym głose, obie ją lubiły i przecież, choć się z niej niekiedy podśmiewały, żadna z nich źle jej nie życzyła. Ot, koleżanka, której się udało.

Blondwłosa królowa pokazywała się regularnie w większości kolorowych gazet i części poważniejszych, w mnóstwie programów telewizyjnych i w telewizjach śniadaniowych. Objeżdżała setki spotkań autorskich, sprzedawała mnóstwo książek i robiła to z takim wdziękiem, że wydawało się, że jej gwiazda świecić będzie wiecznie. Aż pojawiła się Bietka. Żmija, którą Alka poniekąd wykarmiła na własnym łonie. Żmija, która jednym ruchem zdradziła i Alkę, i blondwłosą królową. Nie robi się świństw kobietom, którym się udało – to przecież była zasada, której trzymały się wszystkie w ich paczce.

Poza Bietką, jak się okazało. Bo Bietka miała plan.

Bietka, delikatna, czarnowłosa, z porcelanową cerą Królowy Śnieżki, kwitowała w mediach poprzedniczkę eleganckim: „To taka nasza polska literacka *Gra o tron*. Dawna królowa musi ustąpić nowej”. Nie wchodziła w zwarcia, w konflikty. Była delikatna, a nie triumfująca czy walcząca. Była inna i dzięki temu wygrywała. Przy czym tę strategię, nawiązującą do tak modnego ostatnio serialu, wymyśliła przecież Alka podczas wieczornych popijaw i wygłupów z Bietką. Dla jaj. Nie po to, by ją realizować. Jaką strategię? Postawić się w opozycji i wygrać delikatnością, młodością, świeżością, nieopatrzoną twarzą. Być Daenerys polskiego kryminału, prawdziwą królową zepchniętą z tronu, która ma do niego pełne prawo. Godną i niewinną. Tron sam wróci do osoby, której się należy.

W ramach zaś zakulisowych działań trzeba było również odświeżyć kontakty ze wszystkimi osobami, z którymi się kiedyś pracowało czy współpracowało, bo przecież Bietka przez lata była dziennikarką. Nie zaszkodziło poumawiać się z kim trzeba na kawę, wódkę albo seks i utrzymywać przez jakiś czas zupełnie bezinteresowne kontakty towarzyskie, by w odpowiednim momencie je wykorzystać. Poza tym dobrze byłoby zbajerować drapieżną początkującą agencję piarową, która wygra tym, że wojnę królowych sprzedaje się lepiej niż pojedyncze królowanie. Można im też było obiecać procent od tantiem, jakie uda się uzyskać, gdy ją wylansują. Poza tym na okładkach należało wybijać zdjęcie pięknej pretendenci, żeby było widać, że równie śliczna. A na pewno inna, świeża, nieopatrzona, co w tym kapryśnym świecie niekiedy wystarcza za wszelkie inne zalety.

Tak dobrze się bawiły tymi absurdalnymi pomysłami, że Alka nawet nie spostrzegła, jak Bietka faktycznie zaczęła się pojawiać tu i ówdzie, coraz bardziej tu i ówdzie, wszędzie u boku panującej królowej. Zdziwiona w końcu zadzwoniła do Bietki. „Kochana, zapraszają, to chodzę – odparła tamta niedbale. – Zawsze mówię, żeby i ciebie czasem zaprosili”. Po czym tydzień później Bietka pojawiła się w jakimś luksusowym kobiecym tytule, gdzie wystylizowano ją na Królową Śnieżkę. W wywiadzie obok Alka przeczytała całkiem dużo dowcipnych zdań, które wymyślały kiedyś podczas wspólnych wieczornych śmichów-chichów. A potem już poszło lawiną: kobieta o wyglądzie dziewczynki, z opaską na długich, prostych czarnych włosach, w sukience z kołnierzykiem, w bucikach na paseczek, Królowa Śnieżka lub Alicja z Krainy Czarów, zależnie od stylizacji. Więc ta miętka dziewczyneczka pisała o morderstwach, zwłokach i psychopatach? Tak, na to znudzone media czekały i łykały na razie jak gęś kluski. Królowa z krainy czarów, królowa z krainy śmierci. Z tym wyglądem niewinnego dziewczątka, które samo jest zadziwione tym, że takie okropieństwa płyną spod jej palców, nikomu też nie wydawała się groźna.

Bietka wypłynęła na tej grze o tron szybko i wysoko, zbierając po telewizjach punkty za to, że mówi mało, ale celnie. Za cięty dowcip, który dobitnie kontrastował i z jej usteczkami w kształcie serca, i z jej melodyjnym dziecięcym głosem, i z jej dziewczęcą urodą. Tyle że Bietka nie miała żadnego dowcipu, co było widać po jej wymęczonych książkach. Miała za to

świetną pamięć, dużo odwagi i bezczelności oraz dowcipną przyjaciółkę. Była przyjaciółką Alkę. I to dzięki pomysłom Alki wykopała z mediów dziewczynę do tej pory uznawaną za królową kryminału. Fajną, serdeczną dziewczynę, którą znały i wcale jej źle nie życzyły.

Bietka przejęła od niej wszystko, w pakiecie, łącznie z tytułem i wysoką sprzedażą. Skrzywdziła nie tylko blondwłosą pisarkę, ale także Alkę. Bo skoro prawdziwa królowa jest jedna, to kto będzie sobie zaprzętał głowę czytaniem pozostałych pretendentek?

Podwójna zdrada.

Media przez jakiś czas zapraszały obie królowe. Dziewczyny siedziały obok siebie i udawały, że się lubią, albo też nie udawały, zależnie od formuły programu. Z czasem jednak poprzedniczka pokazywała się coraz rzadziej, w czym, zdaje się, niemały udział miała Królowa Śnieżka, która prosiła, żeby przestać je zapraszać razem, bo przecież doskonale daje radę sama, a poza tym tron należy teraz do niej.

I to była prawda.

Alka miała żal tym większy, że Bietka pisała przeciętnie. Niewiele urosła od czasu reportaży sądowych, drukowanych w jakimś pisemku o zbrodniach. Tamten styl jej został – nadal była dosłowna, zagubiona w nadmiarze faktów i detali. Powtarzała się, przytaczała wszystkie rozmowy, opisywała dni bohaterów (twardych, niedogolonych komisarzy, samotnych i z nałogami) zdecydowanie zbyt szczegółowo, jakby nieznane jej było pojęcie redakcyjnych nożyczek. Tak, warsztatu nie miała, a jej najnowsza wylansowana powieść była nudna do wypęku. Alka zmęczyła ten produkt do końca z ciekawości, czy pojawią się wreszcie jakieś petardy. Na darmo. Przez cały tekst czuła się tak, jakby z maczetą przedzierała się przez potwornie gęstą dżunglę, bez satysfakcji z osiągnięcia końca, który wymęczony był i przewidywalny tak mniej więcej od połowy.

Mordowanie uprawiane przez Alkę było o wiele bardziej wyrafinowane literacko. I zdecydowanie mocniej nasycone emocjami. I co z tego? Może Alka i była mistrzynią przerabiania własnych irytacji na soczyste kryminały, ale nie była mistrzynią marketingu. To znaczy była. Poniekąd. Potrafiła wymyślać parodie strategii, które – jak się okazało – funkcjonowały całkiem dobrze w rzeczywistości, jeśli tylko ktoś miał wystarczająco dużo bezczelności i dostatecznie mało skrupułów, by je zastosować. I skrzywdzić przy okazji parę osób. Jak Bietka.

Bietka była autorką czterech książek. Trzy pierwsze przeszły zupełnie bez echa, czwarta dzięki „prawdziwemu królowaniu” wskoczyła od razu na półki z bestsellerami. Ludzie bowiem wierzyli w to, co mówi się w telewizji: nowa królowa jest o wiele lepsza od poprzedniej, a obie wyprzedzają o pięć długości całą resztę pisarek.

Alka zaczęła Bietki unikać. Życie i tak było zbyt bolesne, żeby przejmować się woltami przyjaciółek. Nie czytała, nie oglądała, przymykała oko na zajawki z Bietką na okładce. Ale zdrada uwierała, lekceważenie też. Powtarzała sobie, że pisanie nie wymaga uznania, że najważniejszy jest proces twórczy, że pisze lepiej niż tamta, tylko brak jej bezczelności, żeby wszędzie krzyczeć: „Ja! Ja! Ja!”. Poza tym Bietka była singielką, a ona miała na głowie dzieci, fumy Miłosza i pretensje szefów z korporacji. Miała też umowę na książkę, której terminu postanowiła dotrzymać, nawet jeśli znowu mało kto ją przeczyta. Wal się, Bietko.

Bietka nuciła *The Lucky Girl* zespołu The Gerbils w rytmie poskrzypujących wycieraczek. Jeszcze niedawno nie miała pojęcia, że taki zespół istnieje, a teraz go lubiła, i to najbardziej ze wszystkich, bo kojarzył jej się z Ignacym. Nuciła i patrzyła na śnieg kotłujący się przed szybą

samochodu. Śnieg też kojarzył jej się z Ignacym. Z pościelą. Wczoraj wpadł do niej, żeby się pożegnać przed wyjazdem, więc wyjęła najlepsze satynowe prześcieradło, gładką poszewkę, trochę poduszek do podkładania pod biodra, żeby go czuć w sobie jeszcze lepiej. Ciągłe nie mogła się nadziwić, że ta przygoda trwa już tyle czasu. Chciało jej się biegać i śpiewać, zagapiała się w okno, zapominając o jedzeniu, a koleżanki chwaliły, że nigdy jej cera nie była takim blaskiem. Ale przecież się nie zakochała. Nie wolno. Nie w dziewiętnastolatku.

Ciągłe czuła dotyk jego dłoni. Tęskniła. Tęskniła już w momencie, gdy wychodził od niej, a od tamtego czasu minęło aż osiem godzin i było coraz gorzej, bo cały następny tydzień mieli spędzić osobno. Pierwszy raz od ośmiu miesięcy rozstawali się na tak długo.

A przecież znała go od dziecka. Był chłopcem niezręcznym i grubawym, w wieku dojrzewania doszły do tego pryszczki i nieogolony wąsik. Ignacy wyglądał tak odmiennie od uroczej Zuzi, że aż się wierzyć nie chciało, że dzielili kiedyś jedno ciało. Co gorsza, mówił do Bietki „ciociu”, gdy zdarzało jej się odwiedzać Zuzię w domu, a w miarę upływu lat w ogóle przestał się odzywać. Na dźwięk dzwonka krył się w swoim pokoju, otoczony grzmiącymi nutami, z opuszczonym łbem, patrzący spod grzywki. „Taki etap – tłumaczyła Zuzia. – Wyrośnie z tego” – dodawała beztrąsko.

I wyrósł. Bietka odkryła to osiem miesięcy temu.

Wracała wtedy do domu, z pracy. Ślady po łzach, które puściły się jej w kibelku, starannie zaszpachlowała i zapudrowała. Nie muszą wszyscy wiedzieć, że po sześciu latach wyleciała z roboty, podpisując haniebną kartkę „za porozumieniem stron”, chociaż nie było to żadne porozumienie, tylko szantaż. No dobrze, może nie lubiła tego budynku, tej rutyny, tych nudziarzy z redakcji, ale tylko dzięki temu, że w tygodniu zmieniała się w robota, miała możliwość pisać w weekendy książki. Wydawała je w malutkim wydawnictwie, robiącym na nich malutką kasę, z czego ona dostawała jeszcze mniejszą dołę, ale przynajmniej nie dokładała do tego hobby.

Po drodze z metra zrobiła zakupy, żeby już później nie wychodzić z domu i móc spokojnie płakać. Przecież nie wyżyje z samego pisanie powieści. Szła z cienkimi foliowymi siatkami, których rączki wrzynały jej się w dłonie. Po udzie wędrowało w dół oczko prujących się rajstop, buty na durnych obcasach uwierały. Cięższa z przeładowanych toreb zdążyła się zbuntować i pękła. Przez szparę wypuściła truskawki i jabłka, które rozbrykały się po chodniku. Bietka odstawiła drugą torbę i kucnęła, żeby pozbierać owoce. Ludzie lawirowali między truskawkami i nagle walka wydała jej się beznadziejna. Ale wtedy jakieś stopy przystały tuż obok niej. Zobaczyła sportowe buty, dżinsy, trochę wypchane na kolanach, kraciastą kurtkę, a jeszcze wyżej – ukrytą w kołnierzu twarz, lekko stropioną i lekko znajomą, choć szczuplejszą, bez przyszczy, niedogoloną, nagle dorosłą. Ignacy! Stał nad nią i patrzył niezdecydowany, jak Bietka sięga po odległą truskawkę, ocierając kolano w cienkich rajstopach o szorstki chodnik. Syknęła, powstrzymując łzy. Dopiero wtedy kucnął. Zbierał jabłka, wrzucając je sobie do plecaka. Wstali. Nieliczne ocalałe truskawki trzymali w dłoniach.

– Nie mam gdzie ich schować – uśmiechnęła się bezradnie.

Szukała w nim tego grubawego dzieciaka i chwilami miała wrażenie, że go odnajduje, choć teraz stał przed nią pachnący dobrą wodą kolońską mężczyzna, barczysty, wyższy i z zarostem.

Kiedy doszli pod jej klatkę, przełożył truskawki do jednej dłoni i zamarł z palcem przy domofonie. Podyktowała mu kod. Weszli, stanęli przed drzwiami mieszkania.

– Klucz mam w kieszeni. – W obu dłoniach nadal trzymała owoce.

Odruchowo sięgnął do wnętrza jej obcisłej kurtki, grzebał tam chwilę. Przez tkaninę poczuła

ciepło jego dłoni. Zaczerwienił się.

– Nie ma – mruknął i uciekł z ręką.

– W takim razie chyba jest w kieszeni spódnicy.

Poczuła jego palce wślizgujące się do kieszeni na udzie. Wyłuskał klucz w miarę szybko, ale nie na tyle, żeby nie przeszył jej dreszcz. Ledwie trafił do dziurki i jednocześnie dali pierwszy krok. Zderzyli się w drzwiach. Ci młodzieńcy nigdy nie przepuszczali kobiet. Nieszczęsne truskawki wypadły jej z rąk. Schylili się po nie oboje, zderzając głowami, jak w skeczu pod tytułem „Niezdarna pani przed czterdziestką usiłuje nie pokazać, że podoba jej się pewien młodzieniec”.

– Nabiłem cioci siniaka? – przeraził się.

Siedziała na krześle w przedpokoju, a Ignacy krzątał się po kuchni. Wrócił z nożem, przyłożył jej do czoła, jego dłoń dotykała jej policzka, zapach wody kolońskiej oszałamiał. Palce miał gorące, ale nóż chłodził. Wokół pachniało truskawkami. Ignacy nie cofnął dłoni, zupełnie jakby nie była kobietą dwa razy od niego starszą, lecz koleżanką, z którą zdecydował się na subtelny flirt. Bietka starała się siedzieć prosto, ale w głowie jej się kręciło. Oparła się o ścianę, tracąc niestety kontakt i z nożem, i z dłonią.

– Słabo pani?

Już nie ciocia? Pewnie, że mi słabo, w moim wieku kobietom często robi się słabo, zwłaszcza jak się odchudzają, drugi tydzień lecą na sałatkach, zwłaszcza jak właśnie do tego wyleciały z pracy – chciała odpowiedzieć, ale świat nie przestawał wirować. Ignacy pomógł jej wstać. Zaprowadził do pokoju i posadził na kanapie.

– Moja babcia często mdlała – powiedział.

Babcia.

– Proszę się położyć, podniosę pani nogi.

Ale przecież poszło jej oczko w rajstopach, tuż nad obrębką spódnicy.

Chciała protestować, lecz babci wolno mieć dziurę w rajstopach, babcia nie musi się już podobać.

Dała się położyć, złapać za łydki i ułożyć je na dwóch poduszkach, starając się nie pokazać, że pod wpływem jego dotyku przebiegają jej po ciele dreszcze. Kochany chłopak. Taki dobry, taki troskliwy. Taki ładny.

– Dlaczego pani nic nie mówi?! – zaniepokoił się i usiadł na podłodze, tuż przy łóżku, żeby zajrzeć jej w twarz. I chyba za dużo tam wypatrzył, bo się szybko odwrócił.

– Przepraszam za zamieszanie. Przepraszam, że pana zatrzymałam...

Chyba zwariowała, żeby mówić do tego szczeniaka „pan”. Spuściła nogi z kanapy, żeby go odprowadzić do drzwi, ale właśnie wtedy młody przysunął się do niej. Jej stopy wylądowały na jego kolanach. Przesunął dłonią po jej rajstopach. Nie ruszyła się, nie miała pojęcia, co o tym myśleć. On chyba też nie. Patrzył gdzieś w podłogę, a ona patrzyła na czubek jego głowy i te bezwstydnie gęste włosy.

Podniósł twarz i po raz drugi przyłapał ją na spojrzeniu. Musnął dłonią wierzch jej stopy, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Przesunął dłońmi w górę, aż jego palec trafił na dziurkę w rajstopach. Gdzieś zakołatało pytanie, czy nasmarowała się wczoraj balsamem, czy też młody drapie tym gorącym palcem o szorstką tarkę jej uda, ale zaraz uciekło, bo druga dłoń zrobiła skrót i dotarła do jej twarzy, a młody ukląkł i dotknął ustami jej ust. Zarost też miał wyperfumowany. Znowu zakręciło jej się w głowie. Oparła się na Ignacym z całej siły, a on rozchylił usta. Tam w środku nie pachniał wodą kolońską, tylko kawą.

Jedna dłoń zjechała z jej twarzy w wycięcie bluzki, druga wyplątywała się powoli z dziurki w rajstopach. Bietka opadła na kanapę, pociągając go za sobą. Mocował się z jej stanikiem na fiszbinach. Na szczęście miseczki były cienkie, więc poprowadziła jego palec pod bluzką, by dotknął sutka przez koronki. Dotknął. Zupełnie jakby wcisnął guzik z napisem: „Gotowa”. Była pewna, że ma mokre majtki, tak mokre, jak nie zdarzyło jej się od randek w czasach studiów. Podniosła spódnicę, zaczął szarpać na niej rajstopy, odsunęła go i sama zdjęła. Rajstopy, potem majtki, podnosząc biodra. Wsunął palec, żeby dotknąć miejsca, którego dawno nikt nie dotykał poza nią samą.

Szepnęła:

– Zrób mi to, proszę.

I właśnie w ten sposób przeszli na ty.

Ręce mu się trzęsły. Kiedy rozpiął dzinsy, brzęknęły drobne w jego kieszeni. Zsunął bokserki, pewnie nie dalej niż do kolan. Nie odrywała wzroku od jego zarumienionej twarzy. Położył się i dopiero chwilę potem przypomniała sobie o prezerwatywie. Ale zaraz o niej zapomniała.

– Jesteś taka gorąca – odpowiedział, potem opadł na nią.

Było, zdaje się, już po wszystkim.

Ignacy sapnął, ale teraz jego usta interesowały ją znacznie mniej niż to, co się działo na dole.

– Nie wychodź – poprosiła, gdy drgnął.

Niepotrzebnie, bo znowu zaczął ją wypełniać. Wypchnęła go z siebie i przewróciła na plecy. Usiadła na nim okrakiem, zamek jego spodni uwierał ją w kolano. Czowała się, jakby się kochała na imprezie z kimś, kogo imię ledwie pamięta, ale ze świadomością, że przez tych parę minut są dla siebie najważniejsi na świecie.

Jęknął i wystrzelił na chwilę przedtem, zanim i ją oblało obezwładniające ciepło, więc jeszcze chwilę się poruszała, a potem opadła na jego pierś. W końcu wyslizgnął się z niej. Przesunęła się tak, żeby udami obejmować jego udo, bo miło jej było nadal czuć między nogami coś twardego. Chciał się odezwać, ale położyła mu dłoń na ustach. Cokolwiek by powiedział, nie był w stanie ulepszyć tej chwili. Zresztą o czym mieli rozmawiać? O jego lekcjach czy jej wymówieniu?

Najpierw w ogóle nie myślała, potem zakwalifikowała to jako jednorazową przygodę. Gdy przyszedł następnego dnia, nie umiała mu nie otworzyć. Jeszcze raz, najwyżej dwa, by mieć pokarm dla marzeń przed zaśnięciem. Tak się wpada w nałóg. Ten nałóg jednak dawał jej więcej energii niż amfetamina, którą kiedyś brała na studiach przed sesją. Praca szła jej jak nigdy przedtem. W miesiąc skończyła powieść, którą miała rozgrzebaną od roku. Jej entuzjazm podbił również serce nowego wydawcy, do którego udała się osobiście, tryskając pewnością siebie, więc postanowił zainwestować w jej promocję. Dużo. O wiele więcej niż w inne pisarki. Zapłacił pewnej agencji piarowej, której podsunęła parę pomysłów. No i nie dość, że miała sprecyzowaną strategię marketingową, to jeszcze była bardziej fotogeniczna niż zwykle. Szybko też podpisała umowę na następną powieść. Zdążyła już nawet wydać za nią zaliczkę. Nieważne, już prawie ją kończyła.

Bała się tylko jednego: że Zuzia dowie się o Ignacym. A może mieć niezbyt przychylnie zdanie na temat trzydziestodwuletniej, która uwodzi jej dziewiętnastoletniego syna.

Samochód jechał coraz wolniej, w końcu stanął, koła zabuksowały. Wszędzie było białe. Czyżby niechący zjechała z szosy? Stała teraz w środku niczego, w ciemnościach i zadymce. Wrzuciła jedynkę, spróbowała. Nic. Wysiadła. Mokre prześcieradło śniegu przesłoniło jej oczy, wiatr od razu przeniknął pod cienką kurtkę – bo kto wkłada puchówkę, gdy wie, że w obie strony

dojedzie samochodem? Samochód najwyraźniej stoczył się z jezdni na pobocze i zakopał po maskę. Wyglądało na to, że czeka ją nocowanie u Zuzi. Niech szlag ją trafi, że pobudowała się na takim zadupiu. Choć może uda się przespać w pościeli pachnącej jeszcze Ignacym... Bietka przymknęła na chwilę oczy, wpychając wspomnienia gdzieś w bezpieczne miejsce.

Pościel. Marna namiastka, ale zawsze namiastka.

Tyle że nie była pewna, czy chce oglądać jego pokój. Durne książki, durne plakaty, poklejonny pornos pod materacem, prezerwatywy w szufladzie, komiksy o Kaczorze Donaldzie na półce.

Nie ma co się martwić na zapas.

Wyjęła z bagażnika kopertówkę i zamknęła samochód. Wpatrzyła się w śnieg i ciemność: nie widziała prawie niczego poza majaczącymi gdzieś – niemal na horyzoncie – plamami światła, które musiały być oknami domu Zuzi, obiecującymi ciepło, suchość i obfitość jedzenia.

Wyciągnęła nogę do przodu, postawiła ją, zachwiała się i jęknęła. Chodzenie w krótkich botkach na szpilkach po głębokim śniegu miało urok porównywalny z chodzeniem na szczydach po gęstym bagnie. Mokry śnieg przesypywał się przez krawędzie butów. To znak, że nie powinnam tam iść. Przecież kilka godzin temu kochałam się z jej jeszcze niedawno niepełnoletnim synem. Wracam – postanowiła. – Wracam.

Wiatr znowu zawiął jej w twarz śniegiem, który dotknął policzków jak mokre dłonie. Gdzieś w ciemnościach przemykał jakiś cień. Chyba że to śnieg tak sprytnie fałszował obraz.

Zuzia bardzo była zadowolona, że znajduje się po tej stronie szyby. Cóż, zamieszkała na końcu świata, który wyglądał atrakcyjnie wyłącznie w czerwcowe wieczory. Wielka chałupa w stylu tokańskiej willi na końcu błotnistej drogi wśród pól kapusty i buraków. „Świetna inwestycja – tłumaczył jej mąż. – Za pięć lat zamiast kapusty wyrosną dookoła inne wille”. Nie była pewna, co lepsze.

Dom był dzisiaj bardzo pusty. Z pokoju na piętrze dochodziło uporczywe stukanie. Wstała, dorwała Maksię w kącie kuchni, wzięła ją na ręce i przytuliła. Suczka pisnęła, nienawidziła brania na ręce, ale wytrzymała. Wytrzymała nawet pocałunki we włochate czółko i w wilgotny nos. Spinki na grzywce i kokardki na szyjce. Miło jest mieć się do kogo przytulić.

Kiedy (jeśli) przyjdą dziewczyny, pokrzepi się ich ciepłem i energią, popije sobie legalnie, w towarzystwie, a nie do lustra. Dopiero rano będzie się martwić bałaganem, kieliszkami ze śladami szminki, talerzami z rozmażanym hummusem. Może dzisiejszego wieczoru również im się wyżali, choć tego jeszcze nie była pewna. Wstydziła się bowiem, że mąż co wieczór odwraca się do niej tyłkiem i zasypia, chrapiąc, a ona przenosi się z kocem na kanapę do salonu, gdzie przez następne godziny ogląda pornosy na laptopie, bo jakieś życie seksualne przecież mieć musi. Była mu jednak wierna i czekała na jego gest, bo nie lubił, gdy ona przejmowała inicjatywę. A jeśli po prostu przestała go pociągać? Gdzieś zniknął ten jej dziecinny urok, który tak go ujął. Głosik nadal miała cieniutki, talię jednak znacznie mniej. Za często się pocieszała ciastkami i czekoladą. Dziś rano, całując ją na pożegnanie, gdy pakował z Ignacym ostatnie rzeczy do samochodu, musnął jej pierś. Oboje wiedzieli, że nie mają czasu na nic więcej, więc w tym geście było mniej treści niż brudu za jej obgryzionymi z nerwów paznokciami.

Pojechali. I świetnie. Czekał ją tydzień samotności. Nie, nie wolno tak o tym myśleć. Lepiej nazywać go tygodniem wolności.

Cóż, wolności. Jeśli nie liczyć bębnienia w parapet, które dochodziło z pokoju na górze. Miała wrażenie, że ten dźwięk rozkłada jej mózg na placek, zero bruzd. Włączyła muzykę. Bębnienie dostosowało się do rytmu perkusji. Podkreśliła, żeby grało głośniej. Cover Stonesów. *I can't get*

no satisfaction. Święte słowa. Wykrzyczane przez Björk razem z PJ Harvey, pełne dziewczęcego gniewu. Zuzia chciałaby tak śpiewać. Z pasją. I zanuciła cienko do wtóru.

Cicha biel leci z nieba. Powoli. W rytmie. Wystukuję rytm śniegu na parapecie. Pukanie w klatkę piersiową zwalnia. Wolniej nabieram powietrza. Wypuszczam je przez nos. Na szybie robią się białe kółka. Szybko znikają. Przedtem w każdym piszę K.

– Nie maż palcami po szybie – to wielka S, bardzo głośno.

Pukanie w piersi przyspiesza.

– Namylałam się tych okien nie po to, żebyś mi wszystko pomazała brudnymi paluchami!

Na palcach mam zapach wanilii. Bakterie. Kurz. Martwe komórki skóry. Czy to jest właśnie brud?

Wielka S miota się po domu. Otwiera lodówkę. Stuka nożem w deskę. Zmienia bluzki. Wzdycha.

– Wycięłabym sobie tę oponę, gdyby wymyślono taki sprytny nóż.

Nakłada sobie grudki czarnego tłuszczu na włoski dookoła oczu. Wszystko układa się w wyraźny wzór: znowu przyjdą goście. A ja znowu będę musiała się ukrywać.

Zaraz przyjdzie Bietka. Zapowiedziała się wcześniej niż reszta. Powie jej się, że to w rurach stuka. Coś tam się jej powie. Albo zagłuszy stukanie głosem Björk. Fajnie byłoby wrócić do czasów, gdy wszelkie trudne rozmowy dało się zastąpić podkręceniem muzyki. „Jesteś infantylna” – narzekał czasem mąż Zuzi. Kiedyś ujmował to inaczej: „Jesteś dziecięco spontaniczna”.

Łazienka, rzut oka w lustro. Fryzura znowu przyklapła. Przy okrągłej twarzy wyglądała jak szczypiołek przylepiony u brzegu lśniącej patelni. Wzdychając, Zuzia wyjęła suchy szampon i spryskała włosy u nasady. Podniosły się trochę, a wtedy posmarowała olejkiem pielęgnacyjnym końcówki, żeby te z kolei trochę opadły. Kto ustalił, że tu ma sterzeć, a tu leżeć? Syzyfowe prace.

Pudrując lśniącą patelnię, usłyszała, że dzwoni telefon stacjonarny, niewytłumaczalny kaprys jej męża pod hasłem „W końcu nas na to stać”. Odebrała, nie patrząc na wyświetlacz.

– Halo?

W odpowiedzi cisza. Nie, nie cisza. Oddech, głośny i ciężki.

– Halo? – zirytowała się.

Oddech przyspieszył. Coś stuknęło. Koniec połączenia.

Pomyłka. Albo ktoś z call center nagle się rozmyślił przed rozmową.

Sobota wieczorem! Niektórzy mają straszną pracę.

Chyba że to znowu ten facet, co tu wydzwania od kilku dni i rzuca jakieś durne zdania. Ten irytujący niski głos Zuzia jakby skądś znała, ale zupełnie nie umiała przypasować do osoby.

Po plecach przebiegł jej dreszcz. Mur otaczający ogród nagle wydał się zbyt niski, a noc ciemniejsza niż zazwyczaj.

Zaraz rozwibrowała się komórka. Odezwał się nerwowy alt jednej z koleżanek, która obiecywała, że wpadnie następnym razem, bo dzisiaj śnieg. Zuzia milczała.

– Wyjrzyj przez okno – zachęcał alt. – Sama zrozumiesz.

Nie chciało się jej. Wiedziała, że mieszka przy drodze osiemnastej kolejności odśnieżania. Alt, nie doczekawszy przebaczenia, zrezygnował z tłumaczeń. No i dobrze, nie przychodźcie, najwyżej zjem wszystko sama.

A mur może niski, ale przecież agencja ochrony czuwała dzień i noc.

Zuzia wiedziała, że powinna zająć na górę, ale najchętniej zapomniałaby o zawartości pokoju na piętrze. Kiedy zaglądała tam niecałą godzinę temu, Kalina mazała palcem po szybie i bębniła w parapet. Pobębni, pobębni i wreszcie zaśnie. Byleby nie kręciła się między gośćmi – nie wszyscy znosili to nieruchome spojrzenie czarnych oczu, które jeśli spoczęło na jakiejś twarzy, parkowało tam na długie minuty. Zuzia sama czuła się wtedy nieswojo, jak robak na szpilce obserwowany przez beznamiętnego uczonego. Poza tym, i to było o wiele ważniejsze, nigdy żadnej z dziewczyn nie mówiła o Kalinie. Wymazywała ją z myśli, nie dopuszczała do pojawienia się w słowach. Jakby to miało spowodować, że Kalina zniknie również z rzeczywistości.

I zaraz odezwało się poczucie winy, z którym Zuzia była w zdecydowanie intymniejszej relacji niż z własnym mężem. Nie będzie dziewczynom nic tłumaczyć, po prostu powie: „To Kalina. Nie jest do końca zdrowa. Najlepiej nie zwracajcie na nią uwagi”.

Podkręciła głośniej muzykę. Czy to Björk wydaje to uparte din-don? Chyba nie, bo i Maksia zaczęła szczekać.

Podeszła do drzwi. Kamera skierowana w miejsce przed furtką pokazywała głównie biel. Zdawało jej się. Maksi też. Serce biło za szybko.

Znowu din-don. Wtuliła się w Maksię.

Obraz z kamery: biel, a w niej oko. Z rzęsami tej długości, że trudno je z czymkolwiek pomylić, zwłaszcza gdy ostatnio tak często ogląda się je w telewizji.

Bietka, ośnieżona i zdyszana, wparowała do przedpokoju i wypełniła go po brzegi. Maksia podskakiwała dookoła nich, a Zuzia tak się ucieszyła, że prawie zapomniała, że Kalina stuka w parapet piętro wyżej.

Zuzia była znacznie obfitsza niż cztery miesiące temu, gdy Bietka widziała ją po raz ostatni. W ramionach trzymała yorka – włochate ciało niewiele większe od kanapki z barku przy Nowym Świecie. Odstawiła psa na ziemię. Ukrył się za jej szerokimi łydkami i jazgotał dalej, a ona wyciągnęła dłonie, jakby zobaczyła koleżankę na lotnisku po wieloletniej rozłące. Przygarnęła ją i przytuliła. Pachniała winem.

– Jak fajnie, że jesteś – zaszczębiotała.

Bietkę kiedyś denerwował jej głosik, ale szybko zrozumiała, że pasuje do Zuzi, słodkiej, okrągłej, która najchętniej umeblowałaby świat mięciutkimi pluszakami i żywiłaby go różowymi żelkami.

Wprowadziła Bietkę do środka, prosząc, by starannie wytarła buty, a już najlepiej je zdjęła. Bietka postanowiła udawać, że nie słyszy, bo nie po to męczyła się w śniegu na szpilkach, żeby teraz zasuwać boso. Wiedziała, że Zuzia nie będzie nalegać.

Zuzia była jak dziecko, i to z tych najbardziej naiwnych. Bardzo zwracała uwagę, by nikomu nie robić przykrości, wolała patrzeć na jaśniejszą stronę mocy, a przy rozmowach o problemach sprawiała wrażenie nieobecnej. Zresztą jakie ona mogła mieć problemy? Bogaty mąż, superchałupa, kolejna, jeszcze większa od poprzedniego mieszkania w apartamentowcu, udany (ach, jak bardzo udany!) syn, zero trosk finansowych, w ogóle zero trosk, poza tymi, jakie poduszki położyć na kanapie.

Bietka uwielbiała ją za to. Chętnie grała się w jej serdeczności i to od czasów studiów. Obie uczyły się na anglistyce. Zuzia co prawda trzy lata wyżej, ale taka była bezpośrednia, taka życzliwa, że Bietka nie czuła żadnej różnicy wieku. Obie mieszkały w akademiku, więc

wykonały serię zamian, dzięki czemu wylądowały wreszcie w jednym pokoju. Na krótko jednak, bo po rozdeptaniu kolejnego karalucha Zuzia ułożyła jego szczątki na kartce, podpisując: „Znak od Boga, że należy się wyprowadzić”. Kolejne dwa lata tłukły się więc po różnych dziwnych kawalerkach z marnym dojazdem, kiepsko działającymi sprzętami i przypadkową zbieraniną mebli. Co Zuzia weszła do takiego „nowego” mieszkania, dostawała ataku śmiechu. „Jak jeszcze będzie sedes w kuchni, to padnę”. Raz był. Zuzia zgodnie z obietnicą padła, a potem, jeszcze bardziej chichocząc, otrzępywała z siebie paprochy, które pozbierała swetrem z niezamiecionej podłogi. Z nią żadne obskurne wnętrza nie było straszne. Głośno obśmiewała niedogodności, a potem zawsze udomawiała kolejne nory. Tu coś nakleiła, tam coś przykryła, włączyła lampkę nocną, ustawiła na regale swoje książki, na kanapie – swoje pluszaki, ze słynnym misiem ze smutną minką na czele, dzięki czemu czuły się prawie jak w domu. Jeśli tylko udawało im się pokryć czynsz i opłaty za pomocą tego, co dostawały od rodziców (mało! Zuzia miała tylko mamę, a starzy Bietki wcale nie śmierdzieli forszą), oraz licznych angielsko-polskich i polsko-angielskich chałtur.

– A może twój ojciec mógłby nam pomóc? – spytała kiedyś Bietka, gdy przyszedł wyjątkowo wysoki rachunek za prąd, a więc zagrażał im kolejny kryzys finansowy.

Zuzia zamarła. Wreszcie się odezwała obcym, grubym głosem.

– Nie sądzę.

– Ale żyje?

– Tak myślę. Choć wolałabym, żeby już nie żył. Nie, on nie wchodzi w grę. Zapomnij.

I wtuliła twarz w misia ze smutną minką. Tego wieczoru już z Bietką nie gadała.

Spłaciły jakoś ten rachunek, jak i wszystkie kolejne. Przecież mogły oszczędzać na jedzeniu.

Po czym na swoim piątym roku Zuzia zaciążyła i razem z pluszakami przeszła w zgoła inne rejony finansowe i mieszkaniowe, a Bietka biedowała dalej z innymi współlokatorkami. Już jednak z nikim nie mieszkało się jej tak dobrze. Nawet z mężem. Nadal więc wpadała do Zuzi, kiedy tylko się dało. Zuzia do niej o wiele rzadziej, ale przecież to ona miała dziecko, duże mieszkanie, dobry humor i zawsze coś do jedzenia w lodówce. Przeżyły w ten sposób we względnej symbiozie kilkanaście lat, podczas których Bietka skończyła studia, zatrudniła się w wydawnictwie prasowym, rozwiodła, dla pociechy napisała powieść, potem kolejne. Książki przyniosły jej mniej satysfakcji, niż przewidywała, a to dlatego, że mimo nakładu pracy nie słyszał o nich pies z kulawą nogą. Przestała się regularnie widywać z Zuzią dopiero ostatnio, gdy stała się osobą medialną. Zadzierać nosa? Bzdura. Zupełnie nie o to chodziło. Chodziło o czas. Może nie każdy wie, ale taki występ w telewizji, nawet kilkunastominutowy, to ze trzy godziny z życiorysu. Bo przecież dojeżdż tam, na tego Woronicza czy Powsińską, daj się umalować, poczekaj na swoje wejście, pokaż się w studiu, wystąp, zmyj tapetę przynajmniej częściowo, a przecież telewizyjna nie schodzi wcale tak łatwo, wróc do domu. A tu jeszcze radia, sesja do jednej i drugiej gazety... To też parę godzin w plecy.

Bietka nie widywała się z Zuzią również z powodu nasilonej pracy nad kolejną książką („Kuj żelazo, póki gorące” – popędzał wydawca), ale przede wszystkim – nie oszukujmy się – przez Ignacego, z którym naprawdę trudno jej się było rozstać nawet na godzinę. Poza tym trochę głupio. Zuzia stała się dla Bietki przecież kimś w rodzaju teściowej. I nawet o tym nie wiedziała.

I dowiedzieć się nie powinna, bo po co zakłócać jej dobrostan oraz ich wieloletnią przyjaźń.

Tak czy siak, przez te ostatnie miesiące Bietka tęskniła za Zuzią. Na szczęście wszystko można nadrobić. I to jest właśnie ten dzień, kiedy Bietka znowu pośmieje się z Zuzią, pogrzeje w ciepłe Hani, ponabija z Darii, powyglupia z Alką... Tak, tych złośliwych wyglupów też jej

strasznie brakowało.

W nowym salonie Zuzi płonął ogień w kominku, pachniało pomarańczą i cynamonem. Szare kanapy kusiły stosami biało-czarnych poduszek. Spod jednej wystawała włochata z buźką misia. Oczy miał z guzików, uszka różowe w środku. Zuzia wyjęła poduszkę, roześmiała się i schowała pod tamte, o wiele elegantsze. Wzięła Bietkę pod ramię.

– Chodź, pokażę ci dom. Nówka sztuka.

Ruszyły więc oglądać pastelowe ściany, półki z karton-gipsu na bibeloty, sprytnie podświetlane ledowymi reflektorkami, oraz lampy z plastikowych kryształków, które nosiły francuską nazwę.

– Zaprojektowała je Patricia Urquiola. Kosztowały oko z głowy, no mówię ci. Oko z głowy mojego męża oczywiście – uśmiechnęła się Zuzia krzywawymi ząbkami, dzięki którym – mimo że przekroczyła dwa lata temu czterdziestkę – chwilami ciągle wyglądała jak dziecko.

Cóż, Bietka nie chciała zaogniać sytuacji komentarzem, że całkiem niedawno widziała prawie identyczne lampy w całkiem przystępnej cenie w jakimś markecie budowlanym. Po co psuć Zuzi humor.

W kuchni jeszcze mocniej pachniało cynamonem. Nad błyszczącym stołem zwieszał się lśniący żółty żyrandol, a nad blatem z czarnego granitu z jasnymi drobinkami widniała listwa magnetyczna z zestawem noży godnym średniej wielkości restauracji.

– Mój mąż ma obsesję – roześmiała się Zuzia. – Kiedyś ostrzył je raz w tygodniu, a teraz po prostu kupuje nowe. Ostrzone laserowo. Uwielbia siekanego tataru. Siekany jest tysiąc razy lepszy od mielonego. Sam sieka, wyobraź sobie. To dobrze, bo ja przecież nie znoszę tataru – wzdrygnęła się Zuzia i oparła o blat o nazwie Cosmic Black.

Wszystko tu miało ładne nazwy. I wszystko wyglądałoby jak w „Elle Decoration”, gdyby nie kwiatki doklejone do gładkich białych kafelków oraz nadużywane mocno hasło na postarzonej tablicy metalowej przymocowanej do wyciągu kuchennego *Keep calm and cook*, czym Zuzia urozmaiciła nieco zbyt sterylne pomysły pewnego kosztownego architekta. Ona wszędzie umiała się zadomowić.

– Zobacz, mamy nawet młynek do odpadów w zlewie. – Zabuczała maszynką.

Weszły na górę, gdzie Zuzia pokazała obszerną łazienkę z podłogą w szachownicę. Nad wolno stojącą wanną widniał tokański krajobraz wyklejony z kafelków, obok, z podłogi, wyrastała imponująca bateria prysznicowa. Na parapecie leżały dwa pluszowe delfinki i jedna pluszowa foczka.

– Co myślisz o tym, by się związać z kimś młodszym? – zagaiła Bietka, kiedy już pochwaliła, co należało.

– Ja nie mogę – spłoszyła się Zuzia. – Przecież mam męża.

– Na razie teoretyzuję – wycofała się Bietka. – Ale gdybym na przykład to ja miała kochanka sporo ode mnie młodszego... Nie potępiłabyś mnie za to, prawda?

Zuzia zachichotała.

– Dlatego tak rozkwitłaś? Cóż, tańsze to niż botoks. A na pewno więcej z tego przyjemności.

Żebyś wiedziała, pomyślała Bietka i ruszyła w głąb korytarza, ale Zuzia zaraz ją zawróciła.

– Tam jest tylko pokój dzieciaka, wieczny bałagan.

Dzieciaka? Jakiego dzieciaka? – zastanowiła się Bietka, po czym uświadomiła sobie, że chodzi o Ignacego, i zrobiło jej się głupio.

– *À propos* przyjemności...

Zuzia powiodła ją do sypialni, z której była najwyraźniej bardzo dumna. To tu przy

purpurowej ścianie, na jedwabnej pościeli w purpurowo-złote wzory odbywały się harce małżonków. Pod ścianą stał rząd pluszaków. Niektóre z nich, te bardziej wyleniałe, Bietka całkiem dobrze znała.

– Ładnie, co? – uśmiechnęła się Zuzia. – Nie umiem się z nimi rozstać. Ile on ma lat?

– Dzie... dziewiętnaście.

– Żartujesz! – rozemocjonowała się Zuzia. – To zupełnie jak mój Ignacy! – Przytuliła misia ze smutną miną. – Gdzie go poznałaś?

– Na ulicy... – Zabrzmiało to fatalnie. – To znaczy pomógł mi nieść zakupy... To znaczy znałam go już dawniej...

Kurde po co ona to wszystko mówi?!

I wtedy z korytarza dobiegło stuknięcie. Zuzia wyraźnie się speszyła.

– Mówiłaś, że twój wyjechali na ferie? – zainteresowała się Bietka.

– Bo wyjechali – płonęła się Zuzia.

O co tu chodziło?

Zuzia włączyła muzykę. Przedwcześnie zgasła Amy Winehouse zaczęła się buntować („No, no, no!”) przez głośniki sprytnie wbudowane w zagłówek łóżka. Kto bogatemu zabroni? Ale też nikt nie umiał cieszyć się z takich smaczków tak uroczo jak Zuzia.

W korytarzu znowu coś stuknęło. I stuknęło dalej. W rytmie Amy.

– Mówiłaś, że jesteś sama – zaniepokoiła się Bietka.

– Ja tylko...

Ale Bietka nie czekała na wyjaśnienia Zuzi. Wyszła z sypialni i rozejrzała się po korytarzu z niejasną nadzieją, że Ignacemu jednak udało się zostać. Na korytarzu było ciemnawo. Gdzie tu włącza się światło?

– Bietka... – dziwnym głosem odezwała się Zuzia. Przestraszona?

Stukanie dobiegało z pokoju dzieciaka. Bietka podeszła. Hałas się wzmógł, przyspieszył. A ona o mało się nie przewróciła.

Na podłodze przy drzwiach, ledwie oświetlony padającą z okna poświatą, ktoś siedział. Stuk-puk, stuk-puk.

– Ignacy? – odezwała się Bietka, chociaż już wiedziała, że to nie on.

Czarny cień, rytmicznie walący dłonią w podłogę, był na to za mały. Za skulony. Nieforemny. Jezu...

Bietka wymacała przycisk, włączyła światło.

Wrzask.

Wrzask z podłogi, jakby kogoś przypiekali na wolnym ogniu. Wielkie rozwarte usta w twarzy, niedużej w porównaniu z nimi.

Kobieta, zgarbiona, kiwająca się, jakby napędzana krzykiem.

Zaraz dobiegła do nich Zuzia. Wyłączyła światło. Kobieta nadal wrzeszczała.

– Cisza! Cisza! – zawołała Zuzia nie swoim głosem, co tamtej wcale nie uspokoiło. Przeciwnie. – Odejdź stąd, Bietka – rozkazała Zuzia.

Zuzia, która krzyczy i rozkazuje? To nie zdarzało się codziennie. Tak jak i wrzeszcząca wariatka więziona na piętrze. W domu pełnym pluszaków.

Bietka odeszła posłusznie. Co teraz miała robić? Iść na dół? Wiać do domu? O co tu chodzi? Czy Zuzi trzeba pomóc?

Zuzia kucnęła obok kobiety, owinęła ją kocem, po czym przez koc otoczyła ramionami jak klatką. Zaczęły się razem kiwać.

Wrzask cichł powoli.

Bietka stała przy schodach.

Krzyk przerodził się w stukanie. Stuk-puk, stuk-puk.

Zuzia rozplotła ramiona, wstała, zostawiając tamtą na podłodze. Stuk-puk.

– To moja siostra – wyszeptła za plecami Bietki. – Ma na imię Kalina.

Siostra? Jaka siostra? Znały się tyle lat i Bietka dałaby głowę, że Zuzia jest jedynaczką. Nigdy nie było mowy o żadnej siostrze. O żadnej niepełnosprawnej siostrze.

– Taka już się urodziła – dodała szeptem Zuzia. – Najlepiej na nią nie zwracać uwagi, wtedy jest OK.

Nie zwracać uwagi?

– Mieszka tutaj?

– Odkąd się sprowadziliśmy. Obiecałam mamie, że weźmiemy ją do siebie, gdy wybudujemy nowy dom. Nie martw się, nie będzie nam dzisiaj przeszkadzać.

A więc jednak Zuzia miała jakieś życiowe problemy... Skrzętnie pochowane w pokojach na piętrze.

Stukanie, coraz głośniejsze, rozklepywało mózg na placek. Aż umilkło. Chwilę potem rozległ się dzwonek do drzwi.

– Bietka, zejdziesz ze mną? – padło już słodziej, zwyczajnie. – Bo ja... No, miałam dzisiaj dziwne telefony...

Bietka wzruszyła ramionami i zeszła za gospodynią tam, gdzie było ciepło, jasno i pachniało pomarańczami. Zuzia człapała w miękkich kapciuskach w serduszka. Ona kroczyła w szpilkach. Stuk-puk, stuk-puk.

Miękka biel na zewnątrz była kusząca, obiecywała spokój i ciszę. Natomiast tu, w samochodzie, kłębiły się wonie perfum, bo kwiatowe Hani walczyły o lepsze z orientalnymi Alki. Kłębiły się również emocje, bo Alka z Hanią, cały czas odwróconą do tyłu, szeptały gorączkowo o czymś bardzo emocjonującym, co jednak skrzętnie ukrywały przed Darią. Siedziała więc jak wynajęty kierowca, nie uczestnicząc w tym, co się działo obok niej.

Ale w sumie po co jej ta wiedza? Alka właściwie nie przyjaźniła się z nią, tylko z Hanią. Powiedzenie, że przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi, wydawało się Darii jedną z najbardziej nietrafnych ludowych mądrości, jakie w życiu słyszała. Alka bowiem była tak ostra i napastliwa, że Daria nie potrafiła się z nią przyjaźnić, a nawet jej się trochę bała. Alka miała więc też zapewne również ostre i napastliwe problemy, których rozwiązanie było zapewne bardzo proste: przestać być ostrą i napastliwą, co w jej przypadku wydawało się niemożliwe.

Z półsłówek, które do Darii docierały, wywnioskowała: znowu chodzi o męża Alki. Że zaniedbuje, że gnębi, że nie docenia. Gdyby ktoś spytał Darię o jej zdanie na ten temat, stwierdziłaby, że mąż również się raczej Alki boi. Ale nie miała zamiaru się wtrącać. Życie było jej jeszcze miłe. Choć może Hania coś wreszcie wskóra. Kto, jeśli nie Hania.

Daria poznała Hanię ze trzy lata temu w parafialnej poradni małżeńskiej. Naprawdę znały się tylko trzy lata? Dziś właściwie nie wyobrażała sobie życia bez niej. Hania przecież pomogła jej uratować małżeństwo. Przeprowadziła ją przez kryzys do zwycięstwa. I nigdy nie żądała wdzięczności, za to zawsze służyła pomocą. Nie Darii jednej, jak się właśnie okazywało.

Cóż, nie należy być zazdrosną. Alka jest jak psotny, złośliwy dzieciak we mgle. Poza tym przy byle okazji zije antyklerykalną nienawiścią, co w końcu Hani na pewno zacznie przeszkadzać. Darii przeszkadzało od pierwszej chwili.

A niech sobie gadają. Dobrze, że Alka korzysta z porad rozsądnej osoby. A Daria musi się uczyć kontaktów również z osobami z przeciwnej strony politycznej barykady. Przyda jej się. Nie miała również problemu z tym, że po babskich imprezach zawsze musi rozwozić towarzystwo. Problem miała z czym innym. Nie do końca rozumiała ten rytuał, chętnie uprawiany przez koleżanki, a nawet i rozsądną Hanię: spotkać się, zamroczyć, dać zawieźć do domu, by następnego dnia w esemesach narzekać na ból głowy. Taki bezsensowny studencki kołowrotek, przewidywalny jak biegunka po gruszkach popitych maślanką. Niegodny myślącego człowieka.

Sama nie znosiła wyglądu człowieka po alkoholu. Zapach też ją odrzucał. Ale przede wszystkim żenowała ją utrata kontroli. Za dużo się na to wszystko napatrzyła w dzieciństwie. Wybaczała jednak Hani, że ta czasem, w towarzystwie, lubi sobie podchmielić. Obyśmy tylko takie wady mieli.

Właściwie Daria nawet by tu nie jechała – jutro miała z rana ważne spotkanie, poza tym nie do końca doceniała babskie klimaty: ploteczki, wsparcie, „jaka jesteś piękna”, „wcale nie jesteś gruba”, „dobrze powiedziałas temu draniowi”, „mój mąż też nic nie rozumie”. Obiecała jednak Hani, to po pierwsze, a jej starała się nigdy nie zawieść. A po drugie: bardzo lubiła Zuzię.

Prowadziła więc w milczeniu, patrzyła, jak rosną liczby na mierniku kilometrów, jeszcze szybciej niż warstwa śniegu na zewnątrz. Niewiele było widać, a GPS co chwila zmieniał zdanie, proponując wykorzystanie dróg, których nie było, jakby ufał krzepięcym zapewnieniom rzeczniczki Agencji Budowy i Eksploatacji Autostrad.

– To gdzieś tam. – Daria machnęła ręką w zadymkę. – Ale jak mnie któraś nie popilotuje, spędzimy resztę nocy na błędzeniu.

Musiała tę kwestię powtórzyć, żeby do dziewcząt dotarło. Wreszcie Alka zwróciła swe nieco zbyt wymalowane oczy za okno, z czego jednak niewiele mogło przyjść, gdyż jako że poza czernią nieba i bielą śniegu widać było niewiele. Hania zaś skupiła się na GPS-ie i wygrzebała mapę ze schowka. Zapanowały cisza i współpraca. Czyli właśnie to, co Daria lubiła najbardziej. No i jak zwykle tego typu działania, prowadzone pod jej dyskretnym kierownictwem, to również zakończyło się sukcesem, bo niedługo potem na horyzoncie zobaczyły rozświetlone okna. Jeśli GPS znowu nie łągał, można było założyć, że to nowy dom Zuzi – w środku ośnieżonego pustkowieca poprzecinanego nielicznymi czarnymi sylwetkami nagich drzew. Drogi właściwie nie byłoby widać, gdyby nie rów poniżej. Ale i ten ledwie był widoczny zza firanki padającego śniegu. Tak jak i czarny krzak, niski i przysadzisty, który rósł prawie na środku szosy.

Krzak się poruszał. To nie był krzak. Daria zahamowała gwałtownie. Szosą ktoś dreptał, z trudem wydobywając stopy ze śniegu.

– Spytaj, czy dobrze jedziemy – poleciła Daria Hani.

Zagadnięta postać miała wschodni akcent i bardzo się ucieszyła, że jadą do „pani Zuziu”. Ona też chciała tam dotrzeć jak najszybciej. Ukrainka? To będzie naprawdę niekonwencjonalny zestaw gości.

Kobieta wepchnęła się na tylne siedzenie obok Alki i naprzemian to chuchała w rękawiczki, by rozgrzać zmarznięte dłonie, to tłumaczyła coś o śniegu, autobusie i pani Zuziu, ale Daria jej nie słuchała.

No wreszcie. Zaparkowała pod drzewem. Wsiadły.

Biel aż kłuła w oczy, a śnieg padał szeptem z czarnego nieba. Wiatr na szczęście ustał. Innym razem Daria zatrzymałaby się choć na chwilę, żeby popodziwiać bajkę o Pani Zimie, ale Alka

marudziła, że zimno i że oczy jej się rozmażą, a Hania przytupywała i otulała twarz szalikiem. Tylko Ukrainka milczała, choć przecież na pewno to ona najbardziej zmarzła podczas samotnej wędrówki. Niech wam będzie, wchodzimy.

Wysoki mur zamiast płotu musiał kosztować Zuzię ładny kawałek grosza, ale widać trzeba się porządnie grodzić, gdy mieszka się na końcu świata. Guzik dzwonka przy furtce z niechęcią poddał się palcom. Może też nie lubił śniegu, jak dziewczyny. Za murem piętrzył się asymetryczny budynek, z którego dobiegał psi jazgocik. Okna jarzyły się nieoszczędnie i zupełnie bez zasłon, jakby całą kwestię intymności załatwiał ten wysoki mur.

– Na bogato – skomentowała Alka. – I trochę ciasno jak na trzy osoby.

Ciasno?! – chciała zaprotestować Daria, ale po chwili zrozumiała. To przecież Alka, więc było ironicznie. Ciekawe, czy będzie miała odwagę powtórzyć to samo przy Zuzi. Miała nadzieję, że nie. Zuzia nie zasługiwała na to, by jej dokuczać.

Otworzyła im Zuzia, ciepła jak zawsze. Skąd ona bierze tę energię? – zastanawiała się Alka. – Dajcie mi jej baterie, a podbiję świat. No, przynajmniej Polskę.

Dom kusił ciepłem, światłem i mieszanką jakichś kwiatowo-korzennych nawaniaczy, które jednak nie głużyły woni świeżo wykonanego remontu. Do tego whisky, ogień z kominka i perfumy, mocne, duszące. *Angel*, których używała Bietka. Kurde. I tu już zdążyła się wepchnąć.

– Miejsce na dom wybraliście z fantazją – oznajmiła Daria, otrzepując ze śniegu swoje sztywne, zaprasowane w kant spodnie. – I chyba wybieraliście latem. Dziewczyny strasznie narzekały.

Zuzia uśmiechnęła się bez przekonania.

– Ale i teraz tu ładnie – łagodziła Hania.

– A ty skąd tu się wzięłaś? – w głosie Zuzi zadźwięczała nieoczekiwana twardość skierowana do Ukrainki, która za plecami trzech pań usiłowała ściągnąć buty, nie schodząc z wycieraczki.

– Ja nie dała rady dojść do autobusu – odrzekła dziewczyna śpiwnie.

Była krzepka jak ziemniaczek, okrągła, śniada i apetyczna jak czekoladowy budyń. Teraz dygotała z zimna w mokrych skarpetkach.

– Zgarnęłyśmy ją po drodze – wytłumaczyła Hania. – Mówiła, że tu mieszka. Nawet jeśli to nieprawda, dajmy jej coś ciepłego do picia.

– Uliana pomaga nam w domu – oświadczyła Zuzia. – Ale miała dziś wolne. Chciała jechać do matki.

– Na Ukrainę? – zdziwiła się Daria.

– Jej matka mieszka w Warszawie. Sprząta.

– A nie mogłaś dziewczyny podrzucić do przystanku? – zainteresowała się Hania. – Nie zdążyła na autobus.

– Przecież wiesz, że boję się prowadzić w taką pogodę! – poskarżyła się Zuzia.

– Nic się nie stało – łagodziła Uliana. – Pojadę do mamy innym razem.

Zuzia szepnęła jej coś na ucho. Uliana pokiwała głową i skierowała się w stronę schodów. Nogawki miała mokre prawie do kolan.

– No, no, powodzi się wam – skomentowała Daria. – Macie tę panią na stałe?

– A co się dziwisz? – Hania poszła w sukurs Zuzi. – Przy takiej wielkiej chałupie?

– A podatek i ZUS za nią płacicie?

Hania dźgnęła ją łokciem pod żebro.

– Żartowałam – powiedziała Daria. – Naprawdę.

Alka nigdy nie rozumiała dowcipów Darii. Samej Darii też niespecjalnie.

Zapach *Angel* przybrał na sile. No i rzeczywiście, zaraz za Zuzinymi plecami pokazały się szczupłe nogi w krótkich botkach na szpilkach, krótka dziewczęca kiecka, wąska talia, znikomy biust, podkreślony jednak jakimś sprytnym push upem, oraz imponująco lśniąca czarna grzywa Bietki z przedziałkiem na środku, wszystko pogrążone w woni jej perfum.

– Cześć, laski – zagaiła. – Alka, zmarzłaś? Wyglądasz jak dziewczynka z zapalkami.

Alka spojrzała z ukosa na Bietkę, odwróciła wzrok. W brzuchu aż zakłuło ją ze złości. Po co jej była wyprawa na koniec świata, żeby przez następnych kilka godzin patrzeć na tę nienawistną twarz, słuchać głosu, od którego dostawała krost na plecach? Wezwie taksówkę i wyjdzie. I wtedy poczuła, że ktoś łapie ją za rękę. Hania. Krzepiący uścisk ciepłej dłoni. Tak, przecież miała nie uciekać. Dla dobra ich wszystkich nie powinna również pyskować. Sama więc nie wierząc, że to robi, uklękła przed Bietką.

– Nie wygłupiaj się – roześmiała się Bietka.

Alka pochyliła głowę i odezwała się pokornie:

– Królowo ty moja. Strach otworzyć lodówkę, żeby nie wypadła z niej twoja korona.

– Korona? Jaka korona? – zdziwiła się Bietka teatralnie.

Wszystko zmierzało ku rasowej konfrontacji, a może nawet ku walce w kisielu i woni perfum, gdy odezwała się Daria:

– A właściwie dlaczego klęczysz przed Bietką?

– Bo jest „prawdziwą królową”. – Alka włożyła w to zdanie maksimum jadu.

– Jaką królową?

– Kryminału.

– Przecież królowa kryminału to ta ładna blondynka z lokami.

– Już nie. Gdyż Bietka przeprowadziła zamach stanu.

Na twarz Bietki wypłynął uśmiech triumfu i po cichutku się na niej mościł:

– Raczej bezkrwawą rewolucję. Nie przypuszczałam, że ten greps chwyci aż tak. Ale chwycił. Gra o tron. Prawdziwa królowa polskiego kryminału!!! A moja książka sprzedaje się dzięki temu jak wściekła. Tylko szkoda, że wy się trochę ze mnie śmiejecie.

Alka pokręciła głową, że nie, oczywiście, że nie. Nie śmieją się. A już zwłaszcza nie mają jej za złe. Ale minę miała wroga.

Bietka wzruszyła ramionami.

– Nie chciałam ci robić kuku. Ani nikomu. Alka, ja po prostu... No, tak wyszło i tyle. Ja przecież już tak mam. Muszę być najlepsza. Zawsze o tym wiedziałas.

Alka miała ochotę walnąć w tę ozdobną gębusię z usteczkami jak serduszko.

– Musisz być najlepsza? Być? Wystarczy, że czujesz się najlepsza.

– Zoży! – zaśmiała się Hania. – Jak ja tęskniłam za tymi klimatami!

Równocześnie przemówiła Zuzia;

– Kochane, jak cudownie, że jesteście! Strzelimy sobie selfika i wrzucimy na Facebooka. Niech tamte, co nie dojechały, zobaczą, ile straciły! No, róbcie dziubki. A teraz: kto co pije? Bo mamy morze alkoholu do przerobienia!

Konfrontacja z Alką była nieunikniona, Bietka powinna zrozumieć to już w momencie, gdy przystała na literacką grę o tron. Przecież to było oczywiste, że urazi nie tylko zdetronizowaną królową, która była doprawdy godną przeciwniczką, należało jej to oddać, ale także wszystkie

pisareczki o mniejszej wierze w siebie, z Alką na czele. Że poza tysiącami czytelników przybędzie również paru malkontentów. I naśladowców, co śledziła z satysfakcją. Naśladownictwo jest wszak największym komplementem. Nie minęło wiele czasu, a już ktoś się mianował prawdziwą królową romansu, kto inny – prawdziwą królową powieści obyczajowej, pojawił się nawet prawdziwy książę kryminału, co tylko Bietkę przyjemnie polectało. Nie czuła żadnego zagrożenia, zwłaszcza że tamci nie bywali w telewizji, a obecnie wszelkie panowanie nad duszami ludzkimi odbywa się za pośrednictwem mediów.

Bo przecież królową trzeba umieć być. Umiała to jej poprzedniczka, ale ona, Bietka, była w tym równie dobra, jeśli nie lepsza. Alka natomiast stanowczo się do tego nie nadawała, co powinna zrozumieć. Tron to nie tylko zaszczyty, ale również potwornie ciężka praca i słoniowa skóra, której nie przebije żaden „życzliwy” kolega, żaden hejter ani żaden dociekliwy dziennikarz, który zapatrzył się na Monikę Olejnik. Ale co Alka mogła o tym wiedzieć. Bietka naprawdę z przyjemnością przeglądała te jej niegroźne kryminałki, zawsze opowiadające o uciśnionych kobietach walczących z męskim światem. Ciekawe, jak by ten motyw przewodni skomentował dziadunio Freud. Co tam, wypije się z Alką, powie jej kilka komplementów, ponarzeka na znużenie telewizyjnym życiem i zalinkuje jej nową książkę na Facebooku (napisała ją wreszcie?), a wtedy dziewczę jej przebaczy. Chociaż właściwie nie miała czego.

Bietka, machając przydługimi rzęsami, pożaliła się, jak wiele wysiłku kosztują ją liczne występy w telewizji („I nie macie pojęcia, jak strasznie te ich podkłady niszczą cerę!”), aż wreszcie zniknęła im z oczu. Polazła do klopa na górę, bo na dole, jak uprzedziła Zuzia, chwilowo nie działała spłuczka. I dobrze, niech nie wraca jak najdłużej. Może przez ten czas Alka przyzwyczai się do sytuacji i zacznie tolerować byłą koleżankę, zamiast ją prowokować.

Na razie kazała sobie nalać wina, po czym przeszła w stronę bufetu oddzielającego kuchnię od salonu. Oliwki, krakersy, grube plastry sera. Beżowy hummus, zielone guacamole, jakaś biaława pasta, jakaś czerwonawa pasta... Obok pokrojona wzdłuż bagietka i *help yourself*. No i sushi, kolorowe jak plastikowe zabawki. Wszystkie imprezy wyglądały teraz podobnie.

– Zrobisz mi herbaty? – spytała Daria, rozejrzawszy się po talerzach.

– Pewnie. Mam pyszną. Gruzińską. I koniecznie spróbuj mojej lutenicy – odezwała się Zuzia, machając dłonią w kierunku miseczki z czerwoną papką. Wyglądała jak źle zmiksowany keczup. – Najlepiej z halloumi.

– Z czym? – zdziwiła się Daria.

– Z halloumi. – Zuzia wskazała żółtawe plastry sera w grillowaną kratkę. – I zaraz dokroję kabanosów, bo ty chyba lubisz, prawda, Daria? Dałam wam wszystko, co sprowadzamy. Bo ja weszłam ostatnio w import. Jedzenie z krajów byłego bloku wschodniego. Bułgarska lutenica, azerbejdżańskie balsamico z granatów, gruzińska herbata i ser na grilla. Zobacz sama, smakuje lepiej niż halloumi.

Poza herbatą Daria nie była pewna, o czym mowa. Może Zuzia z niej kpiała?

– Nowa firma? Super! – ucieszyła się Hania. – Zuzia, uniezależniasz się.

– Nie od jedzenia – zaśmiała się gospodyni. – A firma? Mój mąż się trochę z tego śmieje. Ale nie ustaję w walce. Coś trzeba robić, jak dziecko dorośnie.

Szczęśliwa Zuzia, dla której praca była wyłącznie jednym ze sposobów na wypełnienie wolnego czasu.

Daria odcięła kawałek tego halloumi. Przeżuła. Cóż, ser jak ser, ale jak nazwiesz go inaczej

i powiesz, że przywiozłeś z daleka, weźmiesz za niego w Warszawie dwieście procent więcej. Tak tu się robi interesy. Gdyby Zuzia nie była taka urocza, byłaby bardzo irytująca. Natomiast ta lutenica smakowała lepiej niż keczup. O wiele lepiej.

Alka patrzyła to na jedzenie, to na koleżanki. Daria, choć wyraźnie głodna, rozglądała się nieufnie po stole. Konserwatywna do bólu, pewnie wolałaby sałatkę marki sałatka z majonezem i talerz wędlin, czego z kolei Alka by pewnie nie wzięła do ust.

Jak to jest, że podziały ideologiczne zaznaczają się również w gastronomii? Choć nie do końca, bo Hania smakowała właśnie hummus, nałożywszy go na skraj bagietki. Na początku ostrożnie, tyle co na czubku noża, ale po pierwszym kęsie posmarowała już odważniej.

Te dwie, Hania i Daria, dobre kumpelki, były jednak totalnie różne. Hania w dzinsach, które świetnie wyglądały na jej od niedawna wyszczuplonej figurze, w dopasowanej bluzce koszulowej, z rumianymi policzkami i dziarskim bobem bez grzywki wyglądała jak dorosła panna z mokrą głową czy inna pozytywna panna z powieści Makuszyńskiego. Natomiast to, co miała na sobie Daria, pasowałoby raczej do urzędu pocztowego z lat dziewięćdziesiątych niż do babskiej balangi w drugim dziesięcioleciu dwudziestego pierwszego wieku. Odstroiła się w granatowe spodnie z kantem i białą bluzkę z poduszkami na ramionach, w której dekolcie ukrywały się stropione własnym brakiem urody zwiędłe koraliki na żyłce.

– Skąd ty bierzesz takie ciuchy? – zaśmiała się Alka. – Podobne spodnie nosiła moja wychowawczyni w liceum.

– Z szafy – odpowiedziała Daria bez mrugnięcia okiem. – Skoro są jeszcze całe, a mnie się figura nie zmienia, to nie będę się ich pozbywać. Żeby kupić takie same, tylko węższe. Albo z inną patką.

Alce zrobiło się głupio.

– Ja bym cię fajnie wystylizowała. Może wyskoczmy razem na zakupy?

– A wiesz, że może cię o to poproszę? Bo mają mnie ubierać w modne ciuchy na spotkania z wyborcami. Mówię, że to puste i niepotrzebne. Tłumaczę, że ludzie będą głosować na mnie, nie na moją garsonkę, ale podobno dla wielu osób strój polityka jest bardzo istotny. Też tak myślicie?

– Z wyborcami? Spotkania? – zdziwiła się Zuzia.

– Będę startować do Sejmu – oświadczyła Daria. – W tych najbliższych wyborach, w październiku. Radną już byłam, teraz czas iść wyżej. Mam być druga na liście w moim okręgu.

– Czyli? – spytała Alka.

– Łomża. A tam z naszej listy zawsze wchodzi do Sejmu przynajmniej pierwsze trzy osoby.

– Pewnie, że wejdiesz – uśmiechnęła się Hania. – Nie mam żadnych wątpliwości.

– Łomża? A co ty masz wspólnego z Łomżą? – strzeliła od razu Alka.

I Hania, i Zuzia spojrzały na nią z rozczerwaniem. Kurde, że nie potrafię powstrzymać tego ostrego ozora, no naprawdę. Przecież nie Darii wina, że jest taka irytująca.

– Co mam wspólnego? Poglądy – odparowała Daria.

Zuzia pospieszyła z herbatą, a Hania podsunęła Alce półmisek z kanapkami, jakby chciała jej dać znać: Zatkaj się.

Bietka wyszła z toalety na górze. Wypada zajrzeć do pokoju Ignacego? Nie, poczekam, aż impreza się rozkręci. Wystarczyło jednak, że zeszła na półpiętro, a już zrozumiała, że między

dziewczynami trwa właśnie swoisty turniej pod hasłem: która miała najgorszy tydzień. Zuzia zrobiła dobry początek opowieścią o oziębłym mężu (Syn zatem nie wrodził się w ojca, pomyślała Bietka), reszta dzielnie się licytowała, która ma jeszcze gorzej.

Hanię bolał kręgosłup, a prawdziwe emocje zamieniła na serialowe. Nie, na szczęście nie na *Barwy szczęścia*, lecz na archiwalne sezony opowieści o agencie specjalnym zatytułowane *24 godziny*. Daria kpiała z partyjnych specjalistów od piaru, którzy na potrzeby kampanii do Sejmu chcą z niej zrobić kogoś innego za pomocą fryzjerów, makijażystów i stylistów, a ostatnio nawet zaproponowano jej wygładzenie czoła jakimiś zastrzykami. Gładkie czoło. Jakby to było w polityce najważniejsze. Alka natomiast... Cóż, Alka żaliła się, że zarabia tak dużo w swojej korpo, że mąż przestał się do niej odzywać. Ot i mentalność: te dziewczęta największy pozytyw potrafią pięknie przerobić na negatyw. Chociaż takie odstrojone, umalowane, odświeżone, to wcale nie wyglądały jak bohaterki *Seksu w wielkim mieście*. Wyglądały raczej jak udupione na przedmieściach. Bietce było ich strasznie szkoda.

Lubiła babskie imprezy, gdy kłębiło się ich po kilkanaście. Pięc to było stanowczo za mało, żeby wpadły w szaleńczy, szampański nastrój, kiedy nie hamuje się myśli ani języków. Ale może problem nie tkwił wyłącznie w liczbie dziewczyn, którym chciało się dotrzeć na to zadupie? Bo patrząc na nie z półpiętra, Bietka stwierdziła, że się starzeją. Tyją, puchną, zwłaszcza pod oczami i w podbródkach, szarzeją, tracą entuzjazm i zainteresowania. Zaraz zamiast o nowych pomysłach na życie zaczną dyskutować o nowych antydepresantach. A przecież nie było im źle, na miłość boską!

Bietka już sama nie wiedziała, co ją bardziej drażni: czy narzekania dziewczyn na kolejne kilogramy zagryzane ciastem czekoladowym, czy też pouczenia Darii, wypowiedane pełnym słuszności głosem i często odwołujące się do Dekalogu. Czy ona myśli, że jest na mównicy? Daria nie zrzędziła. Daria była pełna wiary, nadziei i miłości, Daria przaśna jak szare, drapiące po tyłku płótno, Daria walcząca i pozytywna, która marzyła o niesieniu dobra.

Bietka zeszła do salonu, podkreśliła muzykę, puściła biodra w ruch. „Bang, bang”, zaśpiewała cienkim głosikiem Nancy Sinatry. Niech baby wzdychają, że tyle im umyka i przepada. Ona w odróżnieniu od nich zamierza po to sięgnąć. Sława i seks. Seks. Bo bała się myśleć o tym związku jako o miłości. Zdawała sobie przecież sprawę, że jej romans z Ignacym ma ograniczoną datę ważności. Ale co z tego? Na razie było jej na świecie cudownie. Miała zamiar być młoda, szczęśliwa i spełniona przynajmniej przez najbliższych dwadzieścia pięć lat. A potem się zrobi lifting i jeszcze zobaczy.

– Śliczna jest, prawda? – odezwała się Zuzia, patrząc na Bietkę.

To również było w niej miłe: nie szczędziła komplementów.

– A wiecie, dlaczego tak fajnie wygląda?

– Medycyna estetyczna – strzeliła Daria.

– Nie całkiem – uśmiechnęła się Zuzia. – Bietka, mogę powiedzieć? – I nie czekając, oznajmiła scenicznym szeptem: – Nasza Bietka ma młodszego chłopaka.

– O ile młodszego? – zainteresowała się Alka.

– Nigdy nie zgadniecie... – podbijała nastrój Zuzia.

– Ma dziewiętnaście lat – ucięła domniemania Bietka.

– Nie! – wrzasnęła w podziwie Hania. – Niemożliwe!

– Przecież Bietka sama wygląda na niewiele więcej – dorzuciła Zuzia serdecznie.

– Zakochałaś się? – spytała Hania. – A on?

Bietka pokrywała kolejnymi łykami wina narastającą niezręczność sytuacji. Zuzia ciągnęła:

– Domyślam się, że młody chłopak w odróżnieniu od starego męża oznacza brak kłopotów z erekcją.

Bietka przestała udawać, że nadal tańczy.

– Nie, co ja gadam – śmiała się Zuzia. – Młody chłopak oznacza kłopot z nieustanną erekcją. Na szczęście jest na to świetny sposób, którego obecna tu koleżanka, królowa promieniejąca, jest najlepszą reklamą.

– Fakt. To idealna różnica wieku, by się dopasować temperamentami – skwitowała Bietka. – Mogę polecić każdemu. I każdej.

Zuzia zachichotała.

– A jego matka wie o tym? – napomniała je Daria.

Bietka napchała sobie sushi do ust, żeby się jednak nie odzywać. Oj, Dario, Dario.

Pokój Kaliny był strasznie pusty. Od samego patrzenia na te białe ściany Ulianie robiło się zimno. Skuliła się na łóżku Kaliny, dała jej pisak do ręki i rozłożyła na podłodze kartki. Gdy dziewczyna rysowała, przynajmniej nie stukała, na czym tak bardzo zależało Zuzi. Pokrywała bazgrołami kolejne kartki, prawie nie patrząc, produkowała kolejne sterty makulatury.

– Lepiej, niż żeby mazała po szybach – podkreślała Zuzia i kazała mężowi przynosić z pracy stare wydruki, by Kalina mazała po białej stronie.

Uliana mieszkała z nimi od pięciu tygodni, od pięciu trudnych tygodni. Naprawdę trudnych. Choć przecież nie chodziło o warunki. Miała nawet własną łazienkę przy pokoju. Chodziło o to, że nie widziała światła w tym tunelu. „Doceń, co masz” – powtarzała matka, która od lat szykowała Ulianę do pracy w Polsce i od lat marzyła, że to nie będzie praca sprzątaczkii.

No więc nie była to praca sprzątaczkii. Tylko opiekunki tego wielkiego dziecka, Kaliny. Mama znalazła jej robotę, załatwiła zaproszenie, zostawało tylko zapłacić za miejsce w kolejce po wizę, maminy euro oczywiście, i już Uliana mogła ruszać do ziemi obiecanej, która dla większości jej rodaków znajdowała się w Polsce. Zostawiła Ukrainę, gdzie niedługo chleba w sklepie nie kupisz bez łapówki. Zostawiła ciotki i babcię, które płakały, ale powtarzały, żeby jechała, bo żadna przyszłość jej tutaj nie czeka. Tylko chłopaka nie zostawiła, to on ją zostawił, gdy prysnął do Moskwy, uciekając przed poborem do ukraińskiego wojska, i zaraz potem przestał się do niej odzywać. Żył, wiedziała o tym, inaczej nie wrzucałby kolejnych selfie na Facebooka. Niektóre nawet bez koszuli, bo wiedział, że jest ładnie zbudowany.

Na początku pobytu w Polsce Uliana myślała, że nie podoła. Wbrew zapewnieniom pani Zuzi, wbrew temu, co sama zobaczyła w domu opieki, Kalina wcale nie była spokojna i zamknięta w sobie, tylko aż do krwi waliła knykciami w ściany, jęczała, drapała w szybę, czasem wrzeszczała i nijak nie było wiadomo, o co chodzi. Jej lekarka twierdziła, że o zmianę. Nieważne, że Zuzia urządziła jej pokój dokładnie jak tam, w domu opieki, skoro tu były inne zapachy, inne powietrze, inne odgłosy, inni ludzie i inna rutyna. To wszystko powodowało, że Kalina stała się potwornie niespokojna. Dopiero po tygodniu wyciszyła się na tyle, że przestała się kaleczyć. Przypominały o tym tylko brunatne ślady krwi na ścianach, których jednak nie zamalowywano, bo zapach farby mógłby znowu wzmóc niepokój. Kalina rzadko zresztą stamtąd wychodziła, nawet łazienkę miała tuż obok. Jeśli zdarzało jej się opuścić swoje schronienie, stąpała niepewnie jak po cienkim lodzie, choć czasem Zuzia prowadziła ją pod kominek – widok buzującego ognia powodował, że niepełnosprawna kobieta zamierała, cichła i wpatrywała się w szybkę.

Mama Uliany zarabiała dziesięć, czasem dwanaście złotych za godzinę. Uliana plus minus tyle

samo, ale dodatkowo dostała trampolinę do lepszego życia, co podkreślała matka. Obie bowiem wiedziały, że gdy raz się wejdzie w kanał, w którym stoją mop, odkurzacz i szczotka klozetowa, to prędko się z niego nie wyjdzie. Nie tylko za męża, ale w ogóle. A Uliana, po pierwsze, miała wspaniałe mieszkanie i wyżywienie. Po drugie: nieustający dostęp do lodówki (odkryła w sobie słabość do lodów o różnych czarodziejskich smakach, jak mango czy malaga). Po trzecie: Zuzia na ogół pozwalała jej uczestniczyć w licznych parapełówkach, jakie się tu ostatnio odbywały. Co prawda, jeśli Uliana przysiadła na kanapie, to boczkiem, raczej podgrzewała zupę, niż ją jadła, i wносиła brudne naczynia, niż je brudziła, poza tym parzyła herbatę i otwierała wina, z czym Zuzia sobie jakoś nie bardzo umiała poradzić. Z winem, nie z herbatą. Ale nasiedziała się w ten sposób kilka razy wśród bogatych ludzi z Polski („A nigdy nie wiadomo, kiedy ci się to przyda”, powtarzała matka). Po czwarte: Zuzia wielkodusznie zalegalizowała jej pobyt tutaj, wpisując na zaproszeniu, że są spokrewnione. Ubezpieczenia jej nie płaciła, ale zaproszenie nie obejmowało pracy w Polsce („Zresztą nie można mieć od razu wszystkiego”, powtarzała matka. I dodawała, że na szczęście my, Holubenne, nie chorujemy, więc po co nam ubezpieczenie, to wyrzucone pieniądze). Po piąte: Uliana mieszkała w kraju, który nie był w stanie wojny. Jeszcze. Tak powtarzała, bo ostatnio bardzo bała się Rosjan, ale matka zabraniała jej w ten sposób mówić, bo nie daj Boże wykracze. Po szóste: mieszkała w mieście z przyszłością, gdzie praktycznie nie istniało bezrobocie, więc w razie czego na pewno sobie jakąś pracę znajdzie. „Ale o tym nie myśl na razie – nalegała matka – rób swoje”.

Tyle że co do mieszkania w mieście z przyszłością to prędzej się na to załapywała matka, która z podwarszawskiego Ursusa mogła do centrum stolicy dojechać w pół godziny kolejką. Uliana potrzebowała tyle czasu, by dotrzeć do przystanku autobusowego, a potem kolejnych czterdziestu minut, żeby w korkach dostać się do centrum. Twierdzenie więc „mieszkam w Warszawie” było w jej sytuacji nadużyciem.

Warszawa jednak przyjeżdżała do nich. Uliana poznała już na Zuzinych imprezach trochę warszawianek. Kobiet trochę od niej starszych i sporo od niej bogatszych, wrośniętych od pokoleń w miejscową rzeczywistość, podczas gdy Uliana została zaszczepiona jak gałązka gruszy na jabłonce, ciągle niepewna, czy się przyjmie. Czasem czuła się tutaj jak podróżniczka w egzotycznej krainie, choć przecież matka od lat uczyła ją języka, opowiadała o zwyczajach polskich pań i wyglądzie polskich mieszkań. Uliana nienawidziła jej tonu, gdy matka snuła gawędę o swoich pracodawczyniach. Były w nim służalczy podziw, ale i złośliwa pogarda, związana z tym, że niezależnie od wysokości zarobków i stopnia zadzierania nosa wszyscy brudzą sedes, wannę i gary tak samo. Zwłaszcza sedes.

No dobrze, właściwie Uliana nie miała powodu do narzekań. Jeśli sprzątała, to z własnej woli, po przyjęciu lub po Kalinie. Miała czas i na szlifowanie języka przy oglądaniu telewizji (dostała do pokoju małej odbiornik), i na wypicie herbaty z Zuzią („Mów mi po imieniu, przecież niewiele jestem od ciebie starsza”), i na coś jeszcze, o czym na razie nie chciała myśleć, ale i to jej się uda, na pewno, musi. A poza tym, nasłuchując, czy z góry nie odezwie się stukanie, które by oznaczało, że Kalina przestała rysować, miała możliwość siadywać z paniami, słuchać ich opowieści, patrzeć na stroje oraz czasem nawet nalać sobie wina, którego zwyczajnie nie lubiła, choć smak ewidentnie podbijała wysoka cena. Wysoka cena była zresztą jednym z motywów przewodnich jej zdarzeń w tym towarzystwie. Bo jakim cudem ktokolwiek ma tyle kasy, żeby postawić czterystupięćdziesięciometrowy dom na pięć osób, a potem narzekać, że tak trudno posprzątać te kilometry? No ale dzięki temu zarabiała Ukrainki. Albo tyle w portfelu, że się nawet nie odczuje wydania dziewięciuset złotych na botoks czy ośmiuset na zlikwidowanie

brzd przy ustach? Chyba to właśnie dzięki temu Zuzia wyglądała o dwadzieścia lat młodziej od matki Uliany, choć była tylko o osiem lat od niej młodsza.

Uliana starała się nawet myśleć po polsku, żeby wrosnąć, wrosnąć na zawsze, żeby ukraińskość nie zatrzymała jej w locie ku sukcesowi. A o tych wieczornych płaczach przy wcale nie pachnącej domem poduszce nikt nie musiał wiedzieć. Nie jej facet, który wybrał życie w Moskwie, gdzie zapomniał, skąd pochodzi. Nie Zuzia, śpiąca w objęciach męża na drugim końcu korytarza. I nie matka Uliany, czterdzieści parę kilometrów dalej na zachód, śpiąca twardym snem po posprzątaniu przynajmniej dwóch polskich mieszkań dziennie, jedno do obiadu, drugie po obiedzie, bo czasem panie nawet dawały w południe zjeść.

Zuzia dawała mamie Uliany zjeść, była naprawdę dobrym człowiekiem.

Będąc Zuzią, można też kupić dwadzieścia butelek wina, a ponieważ nie ma ich gdzie trzymać, dokupić do tego specjalną szafkę, która utrzymuje dwie temperatury: do czerwonego i do białego. A że nie ma sensu, żeby szafka chłodziła wyłącznie powietrze, należy ją wypełnić. Uliana szybko zrozumiała, że w tym alternatywnym świecie każdy zakup powoduje kolejny zakup, każde udogodnienie ciągnie za sobą kolejne uzupełnienia. Elektryczna suszarka do tkanin wymaga pachnącej wody destylowanej i pachnących pigułek. Jacuzzi aż się prosi o środki czyszczące do systemu rur. Zabiegi estetyczne oznaczają kupno specjalnych kosmetyków do podtrzymywania efektów. Nowe krzesła wymuszają wymianę stołu, za czym idzie wymiana dywanu, do którego już nie pasuje stary kolor ścian. Nowy kolor aż woła o nową tapicerkę, która z kolei żąda nowego obrusa. I nowych krzesel.

Durne te myśli. Niech sobie mają. Gdy nie ma wojny, można się ludzić, że te wszystkie rzeczy mają znaczenie. Ona też musi się skupić na tu i teraz, zasługuje na choć jeden wieczór bez zmartwień, i niech tam – wskutek tego, że spadło tyle śniegu – bez mamy. Bez tej biednej mamy z wiecznie zmarszczonym czołem, przygarbionej, jakby bez mopa nie umiała już chodzić prosto.

Nie, nie wolno jej płakać. Nie wolno też o tym myśleć. Szlaban. To ma być wieczór bez zmartwień.

Powietrze robi się gęste. Coś się zbiera.

Trudno oddychać.

Nie lubię tego domu, nie lubię tego pokoju.

Flamaster skrzypi.

Kartka na czarno. I kolejna kartka na czarno. I kolejna kartka na czarno.

W tej czerni chowa się mój strach.

Hania zawsze doceniała, jaką Zuzia jest cudowną gospodynią. Karmiła pysznie, poiła obficie, prawiła komplementy. Dyskretnie czuwała nad atmosferą, pocieszała, klepała po plecach, dolewała wina, co jakiś czas tylko rzucając zaniepokojone spojrzenie na górne piętro, gdzie jakiś czas temu zniknęła Ukrainka. Jadąc tutaj, gapiąc się w szybę, podziwiając pewność siebie Darii jako kierowcy, wysłuchując szeptanych zwierzeń Alki (budziły w niej straszny dyskomfort, bo wiedziała, że powinna służyć radą), a potem paplaniny Uliany z tylnego siedzenia (było coś uwodzącego w ukraińskim akcencie i beztrójce tej dziewczyny), Hania liczyła na klimacik babskiego wsparcia i tolerancji, chciała trochę sobie podchmielić, zjeść coś dobrego i pobyc z ludźmi. Z kobietami. Potrzebowała tego coraz bardziej. Towarzystwa. Życzliwości. Hałasu dookoła. Luzu i aprobaty.

Dzisiaj chciała popić, poprzekomarzać się, a nie doradzać i wspierać. Pech chciał, że

zadzwoiła do niej Alka. W dramatycznym momencie swego życia. I co jej miała powiedzieć? Nic mi do tego? Nie, nie Alce. Co zatem? Trwaj przy nim? Przełknij ból i upokorzenie, bo rodzina jest ważniejsza niż twoja wygoda? Niż twoje poczucie bezpieczeństwa? Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko jedno: nikt nie ma prawa bić żony.

Alka gorączkowo tłumaczyła, jak bardzo jest winna, wylewała z siebie małżeńskie dyskusje, kłótnie i upokorzenia, i że ostatecznie to ona głównie upokarzała męża, na co Hania wzdychała współczująco, kiwała głową. Lecz zagubiona Alka nie tego oczekiwała. Opuściła więc w końcu i z czasem wyraźnie poweselała. Hania nie miała złudzeń: ten cud sprawiło raczej wino niż jej mętne pocieszenia. Dobrze i to. Zuzia również popijała łyk za łykiem i zaśmiewała się ze swoich opowieści. Bietka pociągała z kieliszka ustawionego na blacie, a w przerwach tańczyła do piosenek Princess Chelsea, niezrażona tym, że jakoś żadna z koleżanek nie chce do niej dołączyć. Tryskała energią i dobrym humorem. Tylko Daria siedziała sztywno, z kubkiem herbaty w ręce, i wyglądała, jakby siłą się powstrzymywała od spoglądania na zegarek.

Hania porozumiała się spojrzeniem z Zuzią, która podsunęła Darii ciasto, a potem zniknęła na chwilę na górce, by zaraz wrócić ze spodniami, z których już ponoć wyrosła. Faktycznie, musiała być typem zajądającym stresy, bo odkładały jej się w talii jak słoje drzewa. Hania poczuła się jeszcze bardziej winna.

– Dżinsy?! Dla mnie?! Zwariowałaś?! – krzyknęła Daria, nagle wytrącona ze swego stuporu. – Nie noszę takich rzeczy.

Zuzia jednak stanowczo nakazała Darii przynajmniej przymierzyć. Daria opierała się jeszcze przez chwilę, ale Zuzia była nieubłagana. Nie lubiła, gdy ktoś się kiepsko bawił. Daria przestała więc walczyć, stanęła w kątku i wstydliwie zsunęła spodnie, by sięgnąć po dżinsy. Hania wpatrzyła się w jej nogi: coś z nimi było nie tak.

Nie ona jedna to zauważyła.

– Co ci się stało w łydki? – spytała Bietka, zatrzymując się w pół kroku.

– Nic – zdziwiła się Daria, ale naciągała dżinsy jak najszybciej, choć szybko się nie dało.

Ciągle więc było widać, że Daria ma nogi włochate jak facet, i to z tych bardziej obrośniętych. Hania nigdy jeszcze nie widziała kobiety z takim owłosieniem. Ale też nigdy, uświadomiła sobie, nie widziała Darii tak rozebranej. Daria, jeśli jeździła z nimi na majówki, zostawała zawsze w spodniach i w bluzkach, jakby się bała, że jakiś rozszałały paparazzo zrobi jej zdjęcie w bikini. Teraz widać było wyraźnie, że spod ciemnej sierści prawie nie prześwituje blada skóra. Poza białym plackiem na udzie, gdzie dość nierówno zrosła się blizna w kształcie półksiężyca.

– Co ci się stało?

– A, takie tam, z dzieciństwa. Nic takiego.

Całkiem duże nic takiego. I szkoda, że nikt w swoim czasie nie zszyl tej rany. Wygoiłaby się o wiele ładniej.

– Zawsze się zastanawiałam, co by się stało, gdybym przestała golić nogi – zaśmiała się Bietka. – Teraz już wiem.

– Strasznie szybko ci rosną, co? – zagała Zuzia pojednawczo.

– Nie wiem, bo nie golę – odparła Daria. – Owczy pęd. Wyrosłam z tego.

Wreszcie udało jej się wsunąć w Zuzine dżinsy. Wyglądała w nich nadspodziewanie współcześnie, również dlatego że sięgały jej do pół łydki.

– Ślicznie! – ucieszyła się Zuzia.

– Swoją drogą niezłe habazie – parsknęła Bietka. – Mąż nie protestuje?

– Przynajmniej leży na miękkim – skontrowała zaraz Daria.

– Dajcie jej spokój – odezwała się Hania.

– Mam prawo nosić na łydkach to, na co mam ochotę. To nie jest wbrew konstytucji – oświadczyła Daria i oddaliła się od centrum towarzystwa, a że na parterze nie było się gdzie schronić, poszła na górę.

– Daria, wracaj! – krzyknęła Zuzia. – No i patrzcie, coście narobiły.

Zapadła cisza.

– Sorry – uśmiechnęła się Bietka. – Pójdę ją przeprosić.

I weszła na schody.

Daria schroniła się w łazience na górze, bo miała chwilowo dość przetaczającego się po salonie, wspomaganego alkoholem oceanu solidarnej kobiecości, która hurmem napadała na każdą inność. Że ktoś nie pije wina. Że nie narzeka na męża. Że nóg nie goli. Te rumiane policzki, te szkliste oczęta. Ale ja nie będę taka jak wy. Nie chcę. Nie mogę. Nie powinnam. Wybierz jedną z trzech możliwości.

Nie piję. Nie golę nóg. Nie noszę dzinsów. Nie jadam sushi. Nie wiem, co to halloumi. Wolno mi? Po co Zuzia postanowiła ją przebrać? Ten dzieciak pewnie nie wyrósł jeszcze z ubierania lalek.

Daria uśmiechnęła się i przejrzała w łazienkowym lustrze, które sięgało do podłogi. Wyglądała... dziwnie. Jak większość kobiet na ulicy. Może i pozwolę podarować sobie te dzinsy. Będą akurat na wakacje. Podciągnęła skarpetki, żeby zasłonić włochate łydki.

Łazienka Zuzi musiała kosztować swoje. Kafle z motywem tokańskiej panoramy. Dwie muszle w kształcie wielkich otoczków wyrastające ze ściany. Dwie muszle? Jedna to sedes, więc druga pewnie bidet. Po co komu bidet?

Usiadła (bidet też miał swoją deskę, jak sedes) i usiłowała się rozluźnić. W dzinsach jednak było o to trudno. Po co ludzie noszą takie zbroje? Tyle w tym sensu, ile w wymyślnym kształcie muszli klozetowej. Albo w goleniu nóg. Jej wygodne wełniane spodnie zostały na dole. Poddźwignęła się odrobinę, rozpięła guzik w talii, rozsunęła suwak. Nieco lepiej. Oddychać. Wdech nosem, wydech ustami. Łyk wody z kranu. Miała nadzieję, że Zuzia przebadła to ujęcie, przecież tu na pewno nie dochodzi woda miejska.

Dlaczego tak ją uraził ich napad na jej obrosnięte nogi? Strasznie emocjonalnie zareagowała. A przecież nie pierwszy raz usiłowały poprawić jej wygląd, nigdy też nie miała wątpliwości, że robią to z dobrego serca. Przyzwyczała się i już przecież nie zwracała uwagi na te czapki, szaliczki i korektory dawane w prezencie. A teraz się tak najeżyła i uciekła. Cóż, tym razem za bardzo naruszyły jej intymność. Jakie to dziwne słowo, takie trochę wstydlive. Intymność. No właśnie, bo nie wiedziały, że w tym wszystkim chodzi o jej męża. A ich związek był ważniejszy niż wszelkie zasady, jakie sobie wymyśliły jej eleganckie koleżanki.

Ich związek. Małżeństwo. Potrzeby jej męża. Nie, nie myśleć teraz o tym. W ogóle o tym lepiej nie myśleć. Zapomnieć. A wtedy będzie tak, jakby nigdy się nie wydarzyło.

Skrzypnięcie podłogi pod drzwiami.

– Daria, gdzie jesteś?

Ruch klamki. Szkoda, że nie przekręciła zamka w drzwiach łazienki.

Bietka wgapiła się w nią wielkimi ciemnymi oczami okolonymi sztukowanymi rzęsami. Wcielenie niewinności. Stała chwilę, po czym ruszyła na przechadzkę po łazience, przypatrywała się kosmetykom, sobie w lustrze i choć pomieszczenie było całkiem duże, to na te wędrowniki brakowało miejsca, na niespokojne szczupłe nogi Bietki, jaśniejszej, z nadmiarem

energii.

– Przepraszam za te habazie. Nie chciałam cię urazić – powiedziała najśłodszy z swoich głosów, nawet na chwilę nie zatrzymując się w marszu, jeśli marszem można nazwać to, co się robi w samych rajstopach.

– Nic się nie stało. Przesadnie zareagowałam.

„Stańże wreszcie. To nie wybieg dla modelek”. Ale Daria wiedziała, że nie powinna zdradzać irytacji, zwłaszcza w tak delikatnej sytuacji, w jakiej się znalazły. W jakiej ona się znalazła.

Znała Bietkę od lat, prawie tyle, ile Zuzię. Kiedy jeszcze były z Zuzią sąsiadkami, często u niej Bietkę spotykała. Zupełnie inną Bietkę – przegraną, zgarbioną, znękaną z powodu męża i pracy w jednym z liberalnych tygodników politycznych, gdzie z powodu cięć personalnych przesiadywała nocami i w weekendy, zapiekłą w gonitwie za nie wiadomo czym. Nieraz ścięły się o politykę, choć Zuzia zawsze tonowała takie rozmowy. Ale teraz Bietka już nie pracowała w tamtym tygodniku. Teraz, z małymi ukłonami w stronę dziennikarstwa, robiła karierę literacką. Co jej chyba służyło, bo ewidentnie miała lepszą cerę, mnóstwo pary i nowych pomysłów.

– Dobrze, że tu do mnie zajrzałaś, bo miałabym do ciebie pewną prośbę – zagaiła Daria, wstając z bidetu. – Wiesz, że w najbliższych wyborach będę startować do Sejmu...

Bietka od razu się usztywniła, nie wypadało jej jednak wyjść, więc Daria ciągnęła, czując się jak akwizytorka:

– To nie musi być wywiad. Mógłby to być na przykład reportaż. Pogadałabyś z tymi, którzy mnie znają. Z tymi, co mnie lubią, i z tymi, co nie lubią. Napisałabyś o ludzkiej twarzy prawicy... Większy artykuł, na przykład w „Dużym Formacie”, tym dodatku do „Wyborczej” z dłuższymi tekstami.

– Po co ci to? „Gazeta Wyborcza” to chyba zupełnie inna opcja polityczna, prawda?

– „Duży Format” lubi takie publikacje z różnych stron sceny politycznej. Możliwie bezstronne.

– A przecież wy uważacie, że „Wyborczej” nie stać na bezstronność.

– No dobrze – zaśmiała się Daria. – Pozornie bezstronne. Pewnie dasz tam trochę prztyczków. To zjedna mi ostatecznie serca prawicy.

– Bo rany zadane przez „Wyborczą” należą do ran, którymi można się szczyścić, prawda? – błyskawicznie podłapała Bietka.

– A poza tym, gdy czytelnicy zobaczą, że nie taki diabeł straszny, to może przybyć mi zwolenników z tych niezdecydowanych.

– Wiesz co? Wezmę się do tego – stwierdziła Bietka nieoczekiwanie. – Myślę, że to ma szansę być ciekawe.

No to załatwione – zdziwiła się Daria. Bietka jest jednak w porządku. I już Darii głowa w tym, by była to obiektywna, niejednoznaczna opowieść o ciekawej kobiecie, która chce coś zrobić dla wspólnego dobra, wypuszczona na tyle wcześniej przed wyborami, żeby koledzy zobaczyli, że należy się z nią liczyć, i żeby jednak nie zapomnieli umieścić jej na liście wyborczej. Liczyła, że za tym pójdą kolejne publikacje, może nawet jakieś zaproszenia do telewizji...

Bietka spojrzała na nią uważnie, raz i drugi.

– Jeszcze jak dasz sobie zrobić ładną sesję foto... W tych dzinsach nawet nieźle wyglądasz.

Daria była za mądra, żeby cieszyć się z takich komplementów, i słusznie, bo Bietka zaraz dorzuciła:

– Zbyttnia uroda może pomóc, ale w polityce raczej szkodzi, weźmy, dajmy na to, ministkę

Muchę. Ona była za ładna, by ktokolwiek traktował ją poważnie. Ty masz akurat tyle urody, ile trzeba. Gdyby cię fajnie wystylizować.

– Ciekawe, że jakoś polityków mężczyzn nikt nie omawia pod kątem wyglądu – zirytowała się Daria.

– Powiało feminizmem – uśmiechnęła się Bietka złośliwie. – Tak, to dobry kierunek. Tylko pamiętaj, żeby w wywiadzie się od feminizmu odżegnywać. Ludzie się boją tej nazwy.

– Żadna ze mnie feministka – warknęła Daria. – Jestem po prostu za równym traktowaniem polityków mężczyzn i polityków kobiet.

– To jest właśnie feminizm – mądrzyła się Bietka.

Daria uznała, że nie będzie dalej brnąć w tę wymianę zdań. Załatwiła, co chciała, i wystarczy. Nie musi Bietki nawracać. Nie dzisiaj, w każdym razie.

Partia mało w Darię inwestowała, bo kobieta, i to nowa, nikt nie powinien więc mieć pretensji, że postanowiła wziąć swoje sprawy w swoje ręce. Jeśli ma mieć jakiekolwiek szanse, niech piszą o niej jak najwięcej. Hania mogła uważać, że Daria ma miejsce na liście, a zatem i mandat w kieszeni, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Skoro tekst ukaże się w lewackiej gazecie, może i prawicowa prasa zwróci na nią uwagę. Generalnie to chyba dobry ruch.

– Wiesz, że będziesz musiała sprzedać tam trochę prywatności, prawda? – kombinowała Bietka. – Co możesz pokazać bez wstydu, czym się pochwalić?

– Mężem?

– To na pewno. Przystojny człowiek sukcesu w wyprasowanej przez ciebie koszuli. O tym koniecznie trzeba wspomnieć w tekście. Polityka, ale i prawdziwa tradycyjna kobieta. To się spodoba.

– Nie do końca tradycyjna, bo bez dzieci – wypowiedziała wreszcie te bolesne słowa Daria. – Ale o tym wspominać publicznie nie muszę, prawda?

Jej koledzy z partyjnych list nie musieli się tłumaczyć z rodzinnych patchworków, Daria natomiast podejrzewała, że w jej przypadku ta kwestia pojawi się szybko. Kobieta w polityce to zwierzę ze wszech miar podejrzane, zwłaszcza kobieta, która nie ma dziecka, bo potwór, bo babochłop, bo nikt jej nie chciał, a może jakaś lesbijka. W tej partii zwłaszcza nie byłoby to dobrze widziane.

– Hm, szkoda. Dzieci zawsze wspaniale się komponują na fotach. Takie „zapraszamy do rodzinnego stołu”. Również w „Wyborczej” – zadumała się Bietka. – Może chociaż znajdzie się jakaś siostrzeniczka?

Nie. Nie będzie siostrzeniczki, a poza tym Daria nienawidziła słowa „foty” prawie tak samo jak słowa „gender”. Na wszystko są piękne polskie określenia. Nie fota, ale zdjęcie. Nie gender, ale płeć. Słowo chlupoczące jak materac wodny. Jak penis zanurzany w cipie.

Dość!

– Bietka, cieszę się, że się dogadałyśmy. Wróćmy do tematu w najbliższym czasie, prawda?

– Masz to jak w banku – uśmiechnęła się Bietka. – To co? Przeprosiny zaliczone?

– Jak najbardziej.

Bietka opuściła wreszcie łazienkę, a Daria znowu usiadła na bidencie. Teraz musiała upchać swoje emocje do skrzyneczki, uszczelnić ją wzdłuż brzegu i grać znowu Darię odpowiedzialną i z zasadami, opanowaną i pewną siebie, Darię o stalowej woli i czystym sumieniu.

Wystarczy kilka minut.

Bietka stanęła pod oknem na piętrze i gugała Darię w swoim telefonie. Na próżno.

Z informacji o niej wiało nudą. Potworną nudą. Trzeba się będzie niezłe napracować, żeby ożywić tego manekina do tekstu. Tym ciekawsze wyzwanie.

Była nieco zaskoczona prośbą Darii, ale w sumie rzecz mogła się udać... Bietka raz na jakiś czas pisała coś do gazet, lubiła to, zresztą ważne, żeby nazwisko nie wychodziło z obiegu. Reportaż o kandydatce na posłankę może być naprawdę niezły. Dwie młode kobiety, które pną się skutecznie do góry w męskim świecie. Jedna z nich jest autorką tekstu, druga – jego bohaterką... Tak, można by to ugryźć od tej strony... Żeby tylko nie okrzyknęli jej wieszczką prawicy. Trzeba więc będzie tam wsadzić kilka szpilek. Może nawet więcej niż kilka, przecież Daria na pewno to zrozumie. Trochę żartu, trochę ironii, trochę niewygodnych pytań, trochę...

I nagle coś jej się skojarzyło. Blizna, którą Daria miała na udzie. Bietka na pewno widziała ją już przedtem. I to całkiem niedawno. Ale niby gdzie? Przecież nigdy nie były razem na plaży ani na basenie. Sztywna, zapięta po szyję Daria nie chadzała w takie miejsca. Na pewno nie nosiła też takich krótkich spódnic. W ogóle nie nosiła spódnic, bo wolała spodnie z kancikiem. Więc gdzie mogłam widzieć tę bliznę? Łysy, zarysowany na czerwono fragment na owłosionej skórze? Na jakimś filmiku? Może? Coś, co oglądałam razem z Ignacym w łóżku. Żaden to wyróżnik, wszak wszystko, co robili z Ignacym, działo się w łóżku.

Wpisała do wyszukiwarki jedną frazę, drugą. Nie, to niemożliwe, nie Daria. Jeden filmik, drugi. Bzdura. Trzeci... Bingo! A jednak! Zdarzyło im się oglądać to z Ignacym, głównie dla śmiechu. W telefonie nie wszystko było widać, trzeba będzie potem wejść na tę stronę z komputera, ale blizna była wystarczająco wyraźna.

Była taka sama.

Cóż, rzecz wyglądała wcale obiecująco. Bardzo, bardzo obiecująco. Tyle że raczej nie o to Darii chodziło.

Nic to, nie piszę przecież reklamówki na zamówienie. Mam napisać dobry, rzetelny, ciekawy tekst. Jeśli to się potwierdzi, mój reportaż stanie się hitem. Oj, Dario, Dario. Niegrzeczna z ciebie dziewczynka.

Bietce strasznie się chciało śmiać.

Hania dolała sobie wina. Powoli wracał jej humor. Alka zaległa w kącie, głaskała Maksię i przestała posyłać światu spojrzenia pełne rozczarowania. Zuzia krzątała się przy półmiskach. Daria wróciła z góry o wiele pogodniejsza na szczęście. Dobra z niej dziewczyna i Bietka nie powinna się jej czepiać, co chyba sama już zrozumiała. Pewnie to jeszcze przeżuwała, bo nie pokazała się z powrotem. A ja powinnam wreszcie się rozluźnić. Jeśli jeszcze umiem.

Za młoda była na takie myśli. Miała przecież dopiero czterdzieści siedem lat, a już się martwiła, że przestała umieć się bawić. Cóż, nie miała wątpliwości, z jakiego powodu jest zbyt dojrzała jak na swój wiek. Może nawet przejrzała. Życie z mężczyzną starszym o dwadzieścia lat na początku bywa rzeczywiście fascynujące, ale po kilku latach należy spojrzeć prawdzie w oczy: żaden facet nie będzie mógł wiecznie udawać, że jest o pokolenie młodszy. Gdy jej mąż przestał, to ona wskoczyła o pokolenie wyżej. Takich też mieli znajomych, takie zainteresowania, taki prowadzili tryb życia. Jej praca w poradni przy parafii też nie sprzyjała młodzieńczym porywom, bo zawsze występowała z pozycji ciotki dobra rada. Tylko w towarzystwie przyjaciółek mogła poczuć się młodziej. Normalniej. Pod warunkiem że nie wymagały od niej samych mądrych wskazówek.

Na początku, gdy Mariusz, świeżo na emeryturze, wyprowadził się na działkę, gdzie miał zostać do pierwszych mrozów, Hania przeraziła się pustki. Poczuli się potwornie zagubiona, że

nikt jej nie mówi, co, jak i kiedy. Budziła się i zaraz chciała lecieć do kuchni robić śniadanie, i to od razu włączając wyciąg, żeby nie naśmierdzić w całym domu tą jajecznicą, ale w chwilę potem uświadamiała sobie, że nie ma po co się zrywać i nikt jej nie zwróci uwagi, że w domu czymś czuć. Błogosławieństwem było, że mogła wyjść do pracy, że od siódmej trzydzieści do piętnastej było ciągle jak przedtem. Potem jednak znowu rozciągała się otchłań nie do przebycia, pozbawiona małych sensów, drobnego krzątaństwa. Mariusz nie lubił, by siedziała całkiem beczynnie, więc zawsze przy telewizji prasowała, szyła, obierała jabłka na szarlotkę lub drylowała śliwki na przetwory. Ale teraz nie patrzył, więc to prasowanie, szycie i drylowanie straciło sens. Wieczór tracił sens. Samo gapienie się w telewizor go nie dawało. Zresztą dziwnie było z tą telewizją, gdy sama musiała decydować, co chce oglądać. Zaraz więc po powrocie z pracy napełniała słoiki, pojemniki, termosy na zupę i biegła na działkę do Mariusza, stawiała przed nim obiad, myła wczorajsze brudy, parzyła poobiednią herbatę, pakowała jego bieliznę do prania, mówiła, że pogoda w dzień, a wieczory chłodne, że trzeba podciąć róże, że antonówka opada i że przyjdzie z torbą, to zabierze i porobi przetwory. Słowa przeslizgiwały się po wierzchu życia, jej życia w każdym razie, bo co jej tam pogoda, róże i przetwory, gdy te lata minęły tak szybko, a ze wszystkich zostało milczenie przy obiedzie ze słoika i kilka nieważnych zdań, chyba jeszcze gorszych od ciszy. Może zresztą Mariusz czuł to samo, bo już w momencie, gdy po obiedzie stawiała przed nim szklankę z herbatą, zaczynał się nerwowo rozglądać i zerkać na zegarek. Życie z nim nie było wspólne, było obok. Co, jak zaczynała właśnie rozumieć, nie zaczęło się wcale na jego emeryturze.

Potem znowu wracała do domu, gdzie przestały obowiązywać jakiekolwiek zasady. Mogła wyrzucać paragony, a nie zostawiać je w szufladzie pod lustrem do sprawdzenia. Mogła się drzeć, śpiewając Nosowską przy klepaniu kotletów („Ciszej, głowa mnie boli!”), dowcipkować przez telefon („Bardzo śmieszne!”) i przypalać makaron („Tu nie ma czym oddychać!”). Przypalenie makaronu odcierpiała – parę godzin wietrzenia i wizyta zaniepokojonej sąsiadki. Ale nikt nie dał jej do zrozumienia, że w ten sposób przekroczyła wszelkie prawa boskie i ludzkie.

Bez karna. Bez ram. Bez reguł.

Pewnego dnia w pół słowa wyłączyła jakąś wypowiedź prezydenta i dopiero gdy ekran telewizora szerniał, zrozumiała, co tak ją zirytowało. Otóż prezydent, odkąd zgolił wąsy, strasznie przypominał jej męża.

Połowa października, gdy Mariusz miał ostatecznie wrócić z działki, zbliżała się coraz większymi krokami. Zastanawiała się, czy uda im się wpaśować w stare koleiny. Nie udało się. Bo nie było im to pisane. Mariusz zmarł.

Chodziła na grób raz w tygodniu, sprzątała, zapalała znicze jak inne wdowy, w większości starsze od niej o pokolenie albo i dwa, ale zamiast wspominać go czy rozmawiać z nim w myślach, gapiała się w niebo, na drzewa, słuchała ptaków albo innych ludzi. Rzadko patrzyła w lustro, tyle, żeby się przyczesać, ale kiedy wreszcie spojrzała uważniej, stwierdziła, że właściwie zniknęły jej zmarszczki dookoła ust, które, gdy Mariusz żył, zaciskała, by mu nie powiedzieć czegoś wykraczającego natężeniem emocji poza pogodę i antonówki. Nie była pewna, czy ulga, jaką odczuwa, nie jest grzeszna, tym bardziej że za karę Mariusz jej się śnił. Z takich snów budziła się cała spocona.

W dzień natomiast usiłowała ująć rzeczywistość w jakieś ramy, ale ciągle jej to nie wychodziło. Kiedyś bowiem miała przeświadczenie, że wie, jak działa świat. To proste, wszystko było podzielone na dwa. My i oni, dobro i zło, prawda i kłamstwo, cnota i grzech, życie i cywilizacja śmierci. Sama, lata temu, wcisnęła się w ten dwójpodział. Teraz jednak

stwierdzała, że wielu zjawisk nie obejmował. Bo na przykład teraz ciągle odkrywała odcienie szarości.

Kiedyś takie odcienie podsumowywała wygodnym określeniem „relatywizm moralny”. To było wtedy, gdy rozrzutnie używała słów:

„powinnaś”,

„twój obowiązek jako kobiety”,

„trwałość małżeństwa to wartość, o którą trzeba walczyć w dzisiejszym relatywistycznym świecie”,

„małżeństwo jest sztuką kompromisu”,

„pokonywanie kryzysów rozwija obie strony i daje dużo satysfakcji, i trudniejszego może, ale pełniejszego szczęścia”.

Dziś jednak, w świecie różnych odcieni szarości, do każdego z tych twierdzeń dopisywała znak zapytania. I niestety nijak nie umiała rozsądzić, czy ta nowa Hania jest równie wartościową osobą jak ta poprzednia.

Nie, nie zamierzała szerzyć tej zarazy, więc w parafii poprosiła (chwilowo, po śmierci męża) o przesunięcie z poradni do prac kancelaryjnych. Tam już spokojnie układała papierki, ale świat wcale nie chciał się z powrotem rozłożyć na dwie kupki. Gorzej, że koleżanki kochane, przyjaciółki od lat przez nią wspierane, do dziś w różnych sytuacjach powoływały się na jej słowa o trwałości małżeństwa, wartości kryzysów, o satysfakcji i pełniejszym szczęściu, jakie daje ich pokonywanie. Często powtarzały zwłaszcza te ostatnie słowa. To wszystko była prawda, ale... ale nie była w stanie głosić jej teraz jako zasady obowiązującej każdego w każdej sytuacji. Zmieniła się.

Najdobitniej zauważyła to dwa miesiące temu, gdy Zuzia znowu zadzwoniła do niej, że mąż ją chyba zdradza, bo nie chce seksu, pachnie czymś dziwnym, zapisał się na siłownię i zrobił jej pierwszy od ośmiu lat prezent. Wbrew oczekiwaniom Hania nie zaproponowała, że do niej pojedzie, choć Zuzia jeszcze wtedy mieszkała w środku miasta. Nie, nie pojawiła się jak bufor między dwoma żywiołami, nie mediowała jak mięciutki anioł zgody, jak to robiła tyle razy. Tym razem powiedziała po prostu do słuchawki: Cóż, masz rację. Wiele wskazuje na to, że cię zdradza. Choć przecież Zuzia czekała na zaprzeczenia w tej kwestii. A potem dodała: Z tej sytuacji są dwa wyjścia: możesz przymknąć na to oko i żyć jak do tej pory, licząc na to, że zależy mu na utrzymaniu *status quo*. A nawet modlić się, żeby mu zależało, żeby nagle nie okazało się, że ma gdzie indziej nową rodzinę, na dodatek z małym dzieckiem... A gdy Zuzia rozpaczliwie sapnęła na te słowa, Hania uznała, że nie powinna jej oszczędzać, lecz ją otrzeźwić: Albo możesz sprawdzić, czy masz rację. I gdyby okazało się, że masz, zapewnić sobie dobre pieniądze i rozstać się z nim. Mimo wszystko słowo „rozwieść” nadal nie przechodziło jej przez usta. „Rozstać” było mniej prawnicze, mniej definitywne, mniej grzeszne. „Rozstać się” mogło oznaczać separację, dozwoloną w niektórych wypadkach przez Kościół, albo cokolwiek, co sobie pod to podłoży Zuzia. Hani nic do tego.

„Nic mi do tego” – to też była nowa fraza w jej życiu.

No dobrze, nie po to zadzwoniła do niej Zuzia. Nie po wątpliwości, lecz po pewność i wsparcie. Hania już jednak nie dysponowała aksjomatami. Zostały one wyparte przez pytania. I poczucie winy. Bo gdyby od zawsze używała słów: „zrób, jak uważasz” i „postępuj, jak czujesz”, a nie „zaciśnij zęby i trwaj przy nim”, może życie jej koleżanek, Zuzi, Darii, Alki, wyglądałoby teraz inaczej? Szczęśliwiej?

Hania dobra rada, Hania nieustająca pomoc spoczęła w grobie obok Mariusza. Tutaj, na tej

szarej kanapie rozpierała się Hania „niczego nie jestem pewna”. A tam, na schodach, stoi Bietka. Wzywa ją gestem na górę. Ciekawe, co zmalowała. Bo raczej nie o radę jej chodzi. Na pewno nie o radę, sądząc z jej triumfującej miny.

Miła odmiana. No cóż, kieliszek w dłoń i sprawdzimy.

Coś się czai pod domem.

Coś się czai w domu.

Kotłuje.

Za dużo dźwięków dochodzi do mnie, za wiele ruchu, nad którym nie panuję. Dochodzi nie tylko z dołu. Ruch i dźwięki przeniosły się na górę, blisko, za blisko. Kartka za kartką, oznaczam kartkę za kartką, ale kartki za mało mnie dzielą od tego, co za drzwiami.

I w tym samym pokoju. Stukanie palców, stukanie klawiszy. Podsuwam się do małej U i przygniatam łokciami jej ręce, żeby wreszcie przestały stukać, dłońmi zasłaniam sobie oczy, jesteśmy za blisko, nie chcę jej widzieć.

Lepki stuk milknie. Nie ma ulgi, bo zaraz mała U wrzeszczy:

– Popsujesz laptopa, Kalina! Co robisz?!

Próbuje wyciągnąć dłonie spod moich łokci. Boli mnie każdy jej dźwięk, każdy jej ruch, chciałabym, żeby była cicho, żeby się nie ruszała, uciekam od niej i zasłaniam się przed nią. Aa, mówię, aa, aa, głośno, aa, aa, żeby nie było słyhać małej U, bo życie boli, atakuje.

Kiwam się, ściana raz bliżej, raz dalej, światło takie nieduże, z lampki przy łóżku. Aaaaaaa.

Tupot, trzask drzwi, syk wielkiej S:

– Uliana! To nie może tak być, że ty pukasz sobie w komputer, a Kalina krzyczy!

W jej słowach jest rytm, jęczę mu do wtóru, aa, aa, aa, moje dźwięki i dźwięki wielkiej S splatają się w powietrzu we wzór.

– Przepraszam, Zuziu. Kalina siedziała cicho i nagle tak wybuchła. Pewnie jest podniecona przyjęciem. Zaraz ją uspokoję.

Tak, mała U nigdy mnie nie rozumie.

Wielka S też nie.

Boli. Ale patrzę we wzór w powietrzu i znajduję w tym bólu spokój.

Tym, co Zuzię wkurza najbardziej na świecie, jest jej własna chora siostra – tyle już Uliana zrozumiała. Nie chora, autystyczna, prostowała zawsze Zuzia. Jakby to coś zmieniało. Siostra, którą Zuzia będzie musiała się opiekować do końca, swojego lub jej. Siostra, która zdominowała całe Zuzine życie. Uliana może zrezygnować z pracy i zostawić Kalinę, Zuzia nie zostawi siostry nigdy. Dlatego tak zależy jej na tej wolnej godzinie czy dwóch.

Ale przecież miałam dzisiaj mieć wolne.

Nie, w ten sposób nie wolno mi się bronić. Mogę natomiast powiedzieć co innego. To, co właśnie odkryłam, wchodząc do internetu z laptopa Ignacego. Wtedy skieruję gniew Zuzi w inną stronę. O tak, Zuzia się wścieknie, gdy się dowie, kto deprawuje jej wychuchanego synka.

– Zuzia, ja wcale nie bawiłam się komputerem – cichym głosem, by nie denerwować Kaliny, ale zaintrygować Zuzię. – Ja... odkryłam coś ważnego.

Bietka, zadowolona z tego, co udało jej się osiągnąć do tej pory, właśnie planowała następne kroki. Już kierowała się w stronę schodów, by zawołać kolejną dziewczynę, gdy z pokoju Kaliny na piętrze wypadła Zuzia.

– Bietka, pozwolisz na słówko?

To pytanie zwiastowało kłopoty, zwłaszcza że Zuzia była jakaś nieswoja. W rumieńcach, z zacisniętymi ustami, niepatrząca w oczy.

Poprowadziła Bietkę korytarzem w stronę sypialni. Zamknęła drzwi. Oparła się o nie i wyszeptowała pytanie. Bietka zmartwiła, ale zaraz pokręciła głową.

– Od razu wiedziałam, że Uliana mówi bzdury – odetchnęła z ulgą Zuzia.

Ukrainka?! A ta skąd mogła wiedzieć? Niemożliwe, żeby to jej zwierzał się Ignacy. Sama też nie miała szansy niczego podpatrzeć z tego zadupia. Musiała mu zatem zajrzeć do telefonu. Albo komputera. Patrzcie ją, James Bond z Ukrainy. Ciekawe, co chciała ugrać w ten sposób.

– Uliana strasznie się do nas przywiązała, więc czasami faktycznie jest za ostrożna. Przesadza. Broni naszej rodziny jak bulterier, naprawdę. Przepraszam, że jej uwierzyłam. Wiem, że nigdy byś mi czegoś takiego nie zrobiła.

Jej? – zdziwiła się Bietka. Ignacemu przecież. Kurde, jak strasznie za nim tęskniła.

Ciągle jeszcze mogła skierować tę rozmowę w dowolną stronę. Ale jeśli teraz skłamię, spali za sobą wszystkie mosty. Wściekłość Zuzi będzie po stokroć większa, jeśli za chwilę Uliana pokaże jej twarde dowody. Nie, niech to się już stanie, jak najszybciej – pomyślała Bietka. – Miejmy to za sobą, skoro zaszliśmy już tak daleko. I wykrztusiła, że Uliana jednak miała rację. I że trwa to już jakiś czas.

– Rozumiesz? – ciągnęła Bietka. – Ty przecież wszystko rozumiesz. Przecież sama mówiłaś, że nie ma nic lepszego dla kobiety niż młody ukochany. I, muszę ci powiedzieć, że nic lepszego dla młodego mężczyzny niż nieco starsza dziewczyna. Tak mówiłaś. Nie dalej niż kilka godzin temu.

Pogłaskała Zuzkę po ramieniu, licząc na jej dobrą pamięć. Marzyła, żeby Zuzia ją przytuliła, poklepała krzepiąco po plecach i powiedziała: „Przecież nie zrobiłaś, nie robicie nic złego. Ignacy jest pełnoletni, ty też”. Zuzia patrzyła na nią z niewyraźnym uśmiechem. Wreszcie się odezwała:

– Wszystkie chyba za dużo wypiliśmy. Ty też, kochana. Dlatego próbujesz tak niemądrze żartować. Ale ja się nie gniewam. No, chodź na tę kawę.

Odwróciła się, żeby wyjść z pokoju, przez co palce winowajczynie zsunęły się z jej ramienia.

I cała odwaga na nic. Zostanie między nimi ta rozmowa, niepokojąca jak płytko zakopane zwłoki.

– Twój syn ma w pachwinie podłużne ciemne znamię – nieoczekiwanie poszła za ciosem Bietka. – Prawie czarne.

Zuzia zamarła w pół kroku.

– Nie lubi, żeby go tam dotykać – dodała Bietka.

Zuzia zaczęła kręcić głową.

– Ale on... On przecież... – i zamilkła.

Bietka położyła dłoń na pulchnych plecach koleżanki, tamta jednak strząsnęła ją jak pająka. Nadal milczała.

– Zuzia, on jest pełnoletni. I nigdy nie zrobiłabym mu krzywdy. Rozumiesz? Nigdy.

– Bietka, zawsze byłam twoją przyjaciółką. Nie zliczę, ile razy broniłam cię przed dziewczynami, gdy mówiły, że jesteś wyrachowaną suką. Ja zawsze w ciebie wierzyłam. Rozumiesz? Wierzyłam w twoje serce, może schowane gdzieś tam głęboko, ale dobre. Znam cię przecież najdłużej z nich. I zawsze, zawsze byłam z tobą szczerą. A ty?

– Która mówiła, że jestem wyrachowaną suką? Alka?

Zuzia nabrała głęboko powietrza, westchnęła. Na policzki i dekolt wystąpiły jej rumieńce.

– Ja nie mam... ja nie mam już siły... Nie mam do was wszystkich siły. Tamte wszystkie wiedziały, tak? I żadna, żadna mi nic nie powiedziała! Tylko Uliana.

– Przepraszam cię... Nie, właściwie nie mam za co przepraszać – wycofała się zaraz Bietka. – Nie stało się nic złego. Sama mówiłaś, że się zmieniałam bardzo na korzyść. A widziałaś, jak zmienił się on? Spoważniał. Nabrał energii. Kreatywności. Widziałaś. To teraz już wiesz dlaczego.

I wtedy Zuzia wybuchła:

– Łaziłaś ze mną, udawałaś przyjaciółkę, jadłaś moje jedzenie i przytulałaś mnie, a przedtem gwałciłaś mojego syna!!! – wrzeszczała jak dzika. – A jeszcze teraz mówisz, że dzięki temu rozwinął się lepiej niż przez dziewiętnaście lat ze mną w domu. Jak śmiesz?! Jak w ogóle śmiesz?! Idź stąd, bo cię zabiję! Rozumiesz?! Zabiję cię!

Zacisnęła rozedrgane usta, odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Odgłosy nagle inne. Wielka S nie zagaduje. Nie śmieje się. Nie krzyczy. Zamyka się w tamtej łazience. Goście na dole i na górze mówią i krzyczą. Ta druga puka do drzwi, powtarza słowa. Idzie do nich mała U. Ktoś chodzi, ktoś tupie, ktoś mówi. Wszystko układa się w dziwny wzór. Nic nie rozumiem, muszę to uporządkować.

Woda mi stygnie, bo zanim mała U wyszła, zakręciła kran.

Pięść zwija się sama, wałę kostkami w brzeg wanny. 1, 2, 3, 4. 1, 2, 3, 4. Ten rytm oznacza zmianę. Oznacza niebezpieczeństwo. Strach. 1, 2, 3, 4. Chciałabym przejść do 1, 2, 1, 2, 1, 2, ale nie wychodzi, bo coś się zmieniło w powietrzu.

Coś jest nie tak. Coś jest nie tak.

Zuzia miała ochotę sprać tę gładką buzię, wymowne usta, porysować gładkie policzki i wybić niedawno wybielane zęby. Zmasakrować ją. Najpierw Bietkę, a potem syna. Wywalić go przez okno razem z jego lycrowymi spodenkami na rower, debilnym pismami motoryzacyjnymi i telefonem, który jakby przykleił mu się do ręki. Głupi szczeniak, głupi.

Ignacy w objęciach Bietki. Nagi Ignacy w objęciach nagiej Bietki. Ciekawe, czy odkłada wtedy telefon. Bo przecież nawet do obiadu nie.

Ohydna Bietka. Ohydne, perwersyjne babsko ze sztucznymi cyckami, którymi opierało się o ciągle jeszcze gładką klatkę biednego Ignaca. Czy ona naprawdę nie widzi w tym nic niewłaściwego? Jest przecież od niego dokładnie dwa razy starsza. Tylko o trzy lata młodsza od jego matki. Zupełnie jakbym ja związała się z osiemdziesięcioletkiem, nakręcała się Zuzia. Przecież ta cholerna Bietka widziała go w pieluchach. Widziała go przy przewijaniu. Przecież kupowała mu książeczki i samochody. Przecież to jak kazirodztwo. I pedofilia. A po tym wszystkim śmiała jeszcze przyjść do niej do domu dziś wieczorem.

Zuzia wolałaby chyba o tym nie wiedzieć. Nie, może lepiej, że się dowiedziała. Musi przecież chronić swoje dziecko. Już ona wie najlepiej, że on wcale nie jest dorosły. Może i musi się golić, ale ciągle siedzi w nim ten delikatny dzieciak, któremu zdarza się płakać. Dziecko, które jeszcze do niedawna siadało obok niej i kładło głowę na jej ramieniu. Teraz tą samą głowę robiło dobrze Bietce.

Czoło zaczęło ją łupać, brakowało jej oddechu. Ostatni raz czuła takie obrzydzenie, gdy w wieku siedmiu lat dowiedziała się, że jej matka z ojcem musieli przynajmniej dwa razy w życiu uprawiać seks, no bo ona i Kalina. A po raz kolejny, gdy ojciec uciekł z domu i nie pokazał się więcej, bo nie chciał spędzać życia na wychowywaniu niepełnosprawnej córki. Ani

tej drugiej, sprawnej.

Diabli nadali! Diabli nadali cały ten wieczór, nieudany jak jej życie, które cegła po cegle waliło się w gruzy, a nowina, którą właśnie usłyszała, była tego ukoronowaniem.

Czy Ignacy wie, ile Bietka nakładła sobie botoksu w czoło? Może powinna również uwzględnić podbródek. Przypomniała sobie profil kumpeli – podbródek zwisał jej półokrągłą pochwęką, gdy tylko nieznacznie opuściła głowę. Cóż, Ignacy mógłby spokojnie nazywać ją swoim pelikankiem.

Bietka nie umiała tak zostawić Zuzi. Musiała załagodzić, wytłumaczyć, stanąć pod łazienką i pukać, płakać i prosić:

– Zuzia, Zuzia, wysłuchaj mnie, ja przecież...

Ale tamta milczała.

– Co się stało? Co się stało? – Przed łazienką wyrosła Uliana. Bietka jednak nie zwracała na nią uwagi, bo właśnie prosiła:

– Zuzia, proszę.

– Co się stało? Co pani zrobiła? – głos Uliany stracił całą filuterność i przypominał głos Ukrainca z filmu wojennego.

Ktoś wbiegał po schodach, trzaskały jakieś drzwi, meble, a Zuzia nadal milczała za drzwiami swojego schronienia.

Uliana patrzyła na Bietkę jak członek plutonu egzekucyjnego. Bulterier, kurde. Zaraz pojawiły się również Hania i Alka. Oraz Daria, sztywna i trzeźwa. Nie, Bietka nie ma zamiaru słuchać pouczeń również od tej dziwaczki. Hipokrytki.

– Tak? Zawsze byłaś ze mną szczerą?! – wrzasnęła w stronę drzwi łazienki. – Naprawdę, Zuziu?! To ciekawe, że dopiero dzisiaj dowiedziałam się o twojej siostrze. Gdzie ją teraz schowałeś? Dziewczyny, wiedziałyście, że Zuzia ma siostrę? Mieszka tutaj. Uliana pilnuje, żeby nie wychodziła z pokoju.

– Bietka, co ty opowiadasz? – zdenerwowała się Hania nie na żarty. – Co ty znowu dziwnego opowiadasz?

Uliana pokręciła głową, położyła palec na wargach. Najwyraźniej przykazano jej, by milczała na temat Kaliny, ale Bietka nie miała zamiaru jej słuchać.

– Widzisz, Zuziu? Każdy ma swoje powody, żeby coś ukrywać. A jak jest w twoim przypadku? Kalina jest tu tylko chwilowo czy może się jej wstydzisz?

– Nie wstydzę się Kaliny – dobiegł je zza drzwi nabrzmiały płaczem głos Zuzi. – I nie jest tu tylko przejściowo. Zapewniam cię, Bietka. Moja niepełnosprawna siostra zostanie tu ze mną na zawsze. Natomiast ty... Chciałabym, żebyś już wyszła z mojego domu. Dość już dziś powiedziałaś.

Bietka rozejrzała się po twarzach przyjaciółek, ale unikały jej wzroku. Żadna nie powiedziała: „Zostań, Bietko”. Nawet Hania. A przecież to nie Bietka była tą złą, naprawdę. Nie ona.

Je chać czy czekać, aż im przejdzie? Jakby w ogóle miała jakiś wybór. Przez ten śnieg skazana była na przebywanie z nimi do rana.

Na razie poszła w głąb ciemnego korytarza, gdzie wsunęła się za ostatnie uchylone drzwi. Tak, to musiał być pokój Ignacego, pachnący nim, jego wodą kolońską, odrobiną ukojenia.

Zbierało jej się na wymioty. Oparła czoło o lodowaty parapet. Położyła się. W pościeli pachnącej Ignacym. Chociaż na chwilę.

Z daleka, zza drzwi łazienki usłyszała głos Zuzi:

– Przynieście mi wina – i jakieś posłuszne dreptanie po schodach.

Mdłości ustępowały. To dobrze. Bo zanim Bietka wyjedzie z domu Zuzi, ma jeszcze z kimś do pogadania.

Niech ten wieczór się na coś przyda.

CZĘŚĆ DRUGA



C

iemna sypialnia z kusząco uchylonymi drzwiami wydawała się Alce idealnym schronieniem na krótką drzemkę. Wino przez chwilę przydawało jej odwagi i dowcipu, co zawsze jednak potem kończyło się sennością. Tym bardziej że impreza ewidentnie siadała. Zuzia nie wychodziła z łazienki na górze, reszta dziewczyn to stukała w jej drzwi, to się gdzieś rozpełzała, a talerz z sushi stał pusty. Leżały na nim tylko te zwoje z ogórkiem, których Alka nie lubiła. Ciekawe, swoją drogą, o co Zuzi poszło. Ale w sumie nic Alce nie umknie, jeśli teraz prześpi się chwilę.

Ziewnęła.

Niepotrzebnie tu przyjeżdżała. Miała się rozluźnić, zabawić, a przede wszystkim pogadać z Hanią. Nic z tego się tak do końca nie udało. Nie potrafiła rozluźnić się w obecności Bietki. Nie mogła się zabawić, patrząc na jej triumfującą twarz. A Hania w samochodzie głównie słuchała, jakby zapomniawszy o wszelkich rozwiązaniach, które kiedyś podsuwała z taką łatwością. A potem, choć miały znaleźć spokojne miejsce i dokończyć rozmowę w cztery oczy, Hania gadała już ze wszystkimi, tylko z nią nie.

Spać. Nie było jej jednak dane.

Pokój wyglądał jak pomieszczenie z filmu *Cube* – puściusieńki, jeśli nie liczyć miękkiego dywanu i łóżka przykrytego narzutą. Pod ścianą stały dwa pudełka z przyborami do rysowania. Dywan pokrywały kartki z tymi przerażającymi liniami przypominającymi porwaną pajęczynę, w której miotała się mucha, zanim ją dopadł pająk.

Pokój Kaliny, na pewno.

Na razie bez lokatorki, ale przecież tamta zaraz się tu pokaże, i ciekawe, jak wtedy zareaguje na lekko pijaną kobietę drzemiącą w jej łóżku. Nie, należy zmienić miejscówkę. Alka podniosła się z trudem, nawet nie miała siły poprawiać narzuty, tylko poczłapała w głąb korytarza. Te ostatnie zamknięte drzwi to musi być pokój syna Zuzi. Tu na pewno nikt jej nie przeszkodzi.

Znowu ziewnęła.

Niemal zaraz po otwarciu drzwi wyczuła zapach. Gęsty, żylny, jak świeży tatar. Lekko skropiony drażniącymi perfumami Bietki. *Angel*, Thierry Mugler, przypomniała sobie. Anioł i surowe mięso.

Nagle otrzeźwiała. Wstrzymała oddech, ale nogi mówiły jedno: uciekać stąd. Nie ładować się w kłopoty.

W półmroku Alka widziała, że koc na łóżku znaczy wielka czarna plama. Czarne bryzgi spryskały też ścianę. Alka złapała się futryny, by nie wiać tak od razu, wymacała kontakt i włączyła światło.

Tak jak podejrzewała: bryzgi czerni zmieniły się w bryzgi czerwieni. Pod kocem widniał podłużny kształt z ciemnoczerwoną rozlaną plamą. Alka dała krok do przodu, żeby sprawdzić, czy powinna wierzyć własnym oczom. Poślizgnęła się. Lepkie kałuże znaczyły również podłogę.

Zamarła. Nie powinna się ruszać, nie powinna zostawiać śladów.

Nie, niemożliwe. To przecież powieść obyczajowa o grupie pań w domu na przedmieściach, a nie krwawy kryminał. Za dużo wypiła i tyle.

Pochyliła się. Chwyliła róg koca i uniosła go. Biel przedziałka, ciemne gładkie włosy. Takie ma Bietka.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała Alka. – Po co się tu kładziesz z głową pod zakrwawionym

kocem? Co chcesz osiągnąć tym happeningiem?

Bietka jednak milczała.

Alka uniosła koc nieco wyżej. Zobaczyła czoło gładkie jak patelnia, sztukowane rzęsy tragicznie nieadekwatne przy szklistych oczach. Dopiero teraz stało się jasne, jaką metodą Bietka nakładała makijaż. Nie równomiernie, tylko w newralgicznych miejscach. Teraz te newralgiczne miejsca nadal miały barwę ludzkiego ciała, za to w pozostałych skóra stała się żółtobiała jak u gumowej zabawki. Oczy wyglądały jak u popsutej lalki. Usta w ogóle nie wyglądały, pokryte krwią.

Alka szarpnęła kocem, bo się przylepił. Przylepił do rany na szyi.

Nie powinnam tyle pić, pomyślała. Ktoś szybko oddychał. Dotknęła plamy na kocu, spojrzała na czubki palców. Czerwień.

Zadrzała.

Odwróciła się od Bietki i podeszła do okna. Podeszwy przyklejały się do podłogi. Kilka wdechów i wydechów. Jutro pewnie nie będzie nic pamiętać.

Bieli na zewnątrz było tyle, że aż promieniowała do środka. Z rzadka tylko przerywała ją czerń tnących powietrze drzew. Drzew? Alka zmrużyła oczy. Chyba widziała też jakąś ciemną postać. Kto to? O tej porze, w tym miejscu, w tym śniegu?

Znowu spojrzała na łóżko. Pokręciła głową i wysunęła się z pokoju. Buty się lepily, aż miała dreszcze, więc zdjęła je zaraz po wyjściu za próg i rzuciła na korytarzu. Poszła pod łazienkę, gdzie Uliana nadal gadała z Zuzią przez drzwi. Otworzyła usta, ale nie mogła wykrztusić słowa. Uliana jednak wyczytała w jej twarzy tyle, żeby się nie opierać, gdy Alka wzięła ją za ramię i pociągnęła do pokoju Ignacego.

Niestety Bietka nadal tam leżała i nadal nie przypominała literackiej gwiazdy ze śniadaniówek. Raczej statystkę z horroru.

Uliana powiedziała tylko:

– Pani Bietka, nie udawaj.

Podeszła do łóżka, ślizgając się na bryzgach, i szarpnęła Bietkę za ramiona. Głowa opadła na bok, ukazując całe bogactwo wnętrza szyi. – Głupie żarty – stwierdziła Uliana. – Nikt ci przecież nie uwierzy.

Dopiero chwilę później zaczęła wrzeszczeć.

Zbiegły się wszystkie. Zuzia wpadła ostatnia.

Uliana dała krok do tyłu. Hania odciągnęła ją dalej od zwłok i przytuliła.

– Całe łóżko brudne – wyrzekała Zuzia. – Cała pościel do prania. Koc do wyrzucenia...

Hania porzuciła Ulianę i zatkała Zuzi usta, po czym przygarnęła ją do piersi.

– To niemożliwe – odmawiała litanie w jej bluzkę Zuzia. – Ja mam abonament w firmie ochroniarskiej i psa. Przecież by czekał, to niemożliwe. Przestańcie się wygłupiać, mam nadzieję, że vanish wystarczy na te plamy. Zapiorę je w zimnej wodzie.

Daria, starając się nie patrzeć na łóżko, trzęsącymi się dłońmi wyjęła komórkę z kieszeni spodni.

– Sto dwanaście? – upewniła się i wyszła z pokoju.

Zuzia oderwała się od przytulnej piersi Hani, rozejrzała się i westchnęła:

– Kalina! Boże, dziecko, gdzie jesteś?!

Wybiegła z pokoju. Jej nawoływania to narastały, to cichły w zależności od tego, którą część domu przemierzała w popłochu.

– Boże mój – szepnęła Uliana. – Boże, spraw, żeby to był tylko sen.

Alka natomiast stała jak słup, jak słupek właściwie, biorąc pod uwagę, jaka była nieduża. Stała i gapiła się przed siebie w jakiejś durnej katatonii.

– Alka! Dobrze się czujesz? – Gdyby Hania miała dłuższe ramiona, to i Alkę by przygarnęła.

Alka usiłowała pokręcić głową, ale się nie udało. Nawet oddech jej zwolnił. Przynajmniej nie powie nic głupiego. Przynajmniej nic głupiego nie zbroi. Będzie stała po prostu jak staromodna gromnica u boku trupa. Uroczyście.

Daria wróciła z telefonem.

– Miasto stanęło. Bo śnieg. Policja jedzie. Nie wiadomo, kiedy dojedzie.

– Jak to: stanęło? Z powodu głupiego śniegu?! – zdenerwowała się Hania.

– Padało kilka godzin – powiedziała Daria. – Nie nadążają.

Zamarły w milczeniu przy śmiertelnym łóżku.

– A pogotowie wezwałaś? – spytała Hania.

– Jakie pogotowie?! – zirytowała się Daria. – Do trupa?!

Uliana wysunęła rękę w kierunku Bietki.

– Nie dotykaj! – ostrzegła ją Daria.

– Ja tylko chciała zamknąć jej oczy – jęknęła Uliana.

– Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci... – wymamrotała Hania.

– ...Amen – szepnęła Uliana.

– ...Amen – szepnęła Daria.

Alka milczała. Wszystko przestało jej działać. Usta też.

Coś syczało, sapało, jakby ze zwłok ulatniało się powietrze. Alka, obyta z trupami dzięki temu, co studiowała do swoich kryminałów, wiedziała, że mają one prawo do odgłosów, stęknąć, pierdnieć, a nawet pozorów ruchu. To jednak nie był ten przypadek. Bo to spod łóżka dobiegło skrobnięcie. Stuknięcie.

Hania zgięła się wpół, by zerknąć pod spód.

– Zuzia! – wrzasnęła, aż wszystkie podskoczyły. – Twoja siostra jest tutaj!

Zuzia wpadła do pokoju zdyszana. Kolejne ślady poznały drewniane deski podłogi. Kucnęła, nie patrząc na Bietkę i zbierając spódnicę, by jej nie utyłać, i dygocąc, zajrzała pod łóżko.

– Wychodź, Kalina.

Nic.

– Wychodź, do cholery!

Zero reakcji.

– Wychodź!!! – teraz zażądała już z odcieniem hysterii. Nadal się trzęsła. Oparła się o futrynę i powtarzała: – Trup. Na łóżku mojego syna. Trup.

Daria pochyliła się, złapała Kalinę za stopę, zapała się i wyciągnęła ją spod łóżka, całą we krwi, nagą, zimną.

– Zrobił ci coś?! Powiedz, zrobił ci coś?! – krzyczała histerycznie Zuzia od drzwi. Siostra Zuzia od Drzwi. – Dlaczego ona jest goła?!

– Musiała wyjść z wanny – zabrzmiała śpiewna mowa Uliany.

– Kto jej miał coś zrobić?! – zdenerwowała się Hania.

– Jak to kto?! Morderca!

Boże, dlaczego tu tak zimno? Alka objęła się ramionami.

Kalina też trwała nieruchomo jak krwawy manekin. Ciało miała szczupłe, zagajnik w kroku

jednak ledwie zaznaczony, jakby natura, zostawiając jej umysł dziecka, wycofała się również przed cielesnym dojrzwaniem. Kalina skupiła spojrzenie na Bietce. To było nie do zniesienia, więc Hania schyliła się i przykryła skrajem koca twarz Bietki. Było w tym geście coś nierealnego, jakby odgrywała scenę dziesiątki razy oglądaną w telewizji. A wtedy Kalina, sztywno jak drewniany pajac, wymaszerowała z pokoju.

– Pobrudzi dywany – jęknęła Zuzia. I wypadła za siostrą.

Łóżko z podłużnym kształtem naznaczonym czerwoną plamą zdawało się wysysać całe ciepło z pokoju. Dziewczyny spojrzały na siebie i po jednej wyszły na korytarz. Hania wypchnęła zdrętwiałą Alkę i delikatnie sprowadziła ją na dół. Alka, dygocąc, wyjęła kurtkę z szafy w przedpokoju i narzuciła na siebie. Nadal czuła się tak, jakby połknęła bryłę lodu.

– Wychodzisz? – spytała któraś, ale Alka nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Kucnęła przy kominku. Grzała się.

Dziewczyny trwały w salonie na pół zmrożone, na pół spanikowane. Patrzyły to po sobie, to w okna tarasowe, niczym niezastłonięte, które śnieg zdążył przysypać do wysokości kolan. Przed kominkiem rozkraczały się szpilki Bietki w towarzystwie jej kopertówki. Ogień płonął, jakby nic się nie stało. Z łazienki dobiegał szum wody. To Zuzia myła Kalinę pod prysznicem. Wszystko bez sensu, zmywa przecież ewentualne dowody, uświadomiła sobie Alka. Ale już było za późno na interwencję. Gdzie ta policja? Niech ktoś im powie, co mają robić, niech ktoś zarządzi, zaopiekuje się i obroni. Niech pojawi się kilku twardzieli, którzy się wszystkim zajmą, a one będą mogły się poddać panice.

– Nikt cię nie obroni – szepnęła Alka. – Weź się w garść – znowu szepnęła do siebie, jak wariatka, jak najśłynniejszy warszawski bezdomny Czarny Roman rezydujący w centrum, który też zawsze był ubrany znacznie cieplej, niż powinien. – Weź się w garść – powtarzała sobie raz za razem jak koronkę do najświętszej Alki Panny. Nie zwariuj, nie szlochaj jak Uliana, nie połykaj uczuć jak Daria. Sprawdź, kto tu wszedł i to zrobił. Zlokalizuj zagrożenie, zneutralizuj je. Przynajmniej w teorii wiesz, co się powinno zrobić, głupia autorko głupich kryminałów. Niech raz się na coś przyda twoje mało opłacalne hobby.

– Czy ktoś ma jakąś broń? – szepnęła Hania. – Gaz? Paralizator? Cokolwiek?

Tak, bo wszystkie bierzemy katusze na babskie party.

Alka poszła do kuchni. Listwa magnetyczna była szczerbata. Brakowało jednego noża z czarnym trzonkiem, nie tego największego, trzeciego z prawej.

Nie, nie leżał na blacie. To był ten, którym mąż Zuzi krajał wołowinę na tatara.

Czy to właśnie ten nóż posłużył do przecięcia tętnicy Bietki? Czy łatwo się przecina taką tętnicę? Tak łatwo jak żyłkę, którą człowiek leciutko przeciąga po udach, rysując czerwone, szczypiące, broczące krwią linijki?

Alka z trudem podniosła rękę. Dotknęła noża najbliższego szczerbie. Odlepiła go od listwy magnetycznej. Wyglądał na ostry. Przejechała nim po opuszcze palca. Czerwona kreska, ból, szczypanie, kropla. Wystarczy przejechać, a już jest rana. Co dopiero, jakby mocniej przycisnąć. Albo włożyć w cięcie całą siłę.

Wsadziła palec do ust. Smak krwi dobitnie przypominał o tym, jak pachnie teraz pokój na górze. Jak pachnie rzeczywistość.

Stała tak, ssąc palec, z nożem w drugiej ręce, i dygotała tak, że kurtka powiewała jak żagiel w łopocie.

Musiała się uspokoić, musiała. Kolejne dwie czerwone kreski, szczypią, pieką. Dobrze, do

mózgu dopływają kolejne fale adrenaliny. Jeszcze serdeczny, mało używany. Koniecznie oszczędzić wskazujący i kciuk, te najbardziej przydatne.

Dłoń dygotała z bólu, rany szczypały. Alka poczuła się przytomniejsza.

Złapała mocno za nóż i ruszyła na górę, niechętnie, ale uparcie, krok za krokiem. Przystanąła przy zamkniętych drzwiach pokoju ze śmiercią w środku. Nie, w pokoju Ignacego nie było zasłon, nie było szafy, brakowało miejsca, gdzie można się schować, poza tym, które wykorzystała Kalina, krwawa Kalina. Może widziała, kto zabił? Może słyszała ostatni oddech Bietki? Oddech? Przy tak bardzo podejrzanym gardle? Charkot raczej.

Nie myśleć o tym.

W pokoju Ignacego poza łóżkiem stało biurko, komódka i dwa fotele ze stolikiem na kółkach, szare ściany, obecnie w krwawy deseń. Nikt by się tu nie schował, chyba że byłby wzrostu Tyriona Lannistera.

– Nie, nawet karzeł Tyrion nie dałby rady – szeptała Alka – to nie jest przecież *Gra o tron*.

Zagłędała do kolejnych pokoi, do kolejnych pomieszczeń. Sypialnia, gościnny, pokój Kaliny, łazienka, gabinet... Przy otwieraniu każdych drzwi czuła zwierzęcy strach, recytowała więc drżącym głosem, ale całkiem głośno:

– Wychodź! Policja już jedzie! Nie pogarszaj sytuacji, wychodź!

Nikt jednak znikąd nie wyszedł. Na górze bowiem poza Bietką, coraz bardziej oddalającą się od człowieczeństwa, nie było nikogo, co z każdym krokiem Alki stawało się coraz bardziej oczywiste. Widok z okien dobitnie podsumowywał sytuację: śnieg jest nienaruszony, a ścieżka zasypana, co oznacza, że przynajmniej od godziny, kiedy wreszcie przestało sypać, nikt nowy do domu nie wszedł. A godzinę temu Bietka jeszcze żyła. Alka ją widziała przy kominku, tańczącą, a potem wyciągającą chude nogi w botkach na niedorzecznie wysokich obcasach, które to wkładała, to zsuwała.

Na parterze było mniej zakamarków. Tu architekt skupił się raczej na tym, by wywrzeć wrażenie przestrzenią i światłem. Dlatego salon był tak ogromny, jakby szykowano go do uprawiania joggingu, kuchnia większa niż niejedna kawalerka, a holu ze względu na rozmiary nikt nie nazwałby korytarzem. No i niewielka toaleta z nieczynnym sedesem. Alka z obowiązku obeszła wszystko, ściskając nóż, najmocniej, gdy wchodziła do spiżarki. Po co komu aż tyle puszek z pomidorami? Wreszcie zrozumiała. Były same.

Stała w progu salonu. Sytuacja zmieniła się o tyle, że z łazienki przestał dobiegać szum wody, a z kanapy szlochanie. Ogień dogasał. Hania krzątała się w kuchni, kompulsywnie wycierając blaty i splukując talerze. Zamiotła nawet podłogę, po czym ukoronowała dzieło, włączając młynek do mielenia odpadów i wycierając zlew do sucha.

Alka otworzyła szklane drzwi kominka, dorzuciła kilka szczapek, przytknęła dłonie, bo ciągle ją toczył robak zimna.

Stuknęły drzwi łazienki, wyszła stamtąd Zuzia z czyściutką ubraną Kaliną z lekko wilgotnymi włosami. Chciała doprowadzić ją do schodów na górę, ale Kalina ciężko opadła na podłogę, doczołgała się do kominka i zaczęła się kiwać, oparta na pięściach. Jakby odmierzała czas wszystkim, które pozostały żywe w tym domu.

– Musi się czasem pokiwać, to jej pomaga. Rytmizuje świat i rozładowuje napięcie – wytłumaczyła Zuzia. – Nie będzie wam tutaj przeszkadzać, prawda?

Alka sama by się chętnie zsunęła na te luksusowe podgrzewane kafelki i coś sobie rytmizowała.

Zuzia wybrała w swojej komórce jakiś numer.

– Do kogo dzwonicz? – zainteresowała się Alka. – Daj spokój policji, bo się tylko wkurzą, że co chwila wydzwaniamy.

– Do syna.

– Do syna? – zdziwiła się Alka. – A po co straszyć dzieciaka w środku nocy?

– On już nie jest dzieciakiem. A poza tym chcę, żeby wiedział. Że jest już wolny. Bezpieczny.

– Zuzia, o czym ty mówisz?

– Myślałam, że wszystkie już wiecie. Poza mną.

Gorycz w jej głosie pogłębiała się w miarę, jak Zuzia opowiadała ponurą historię uwiedzenia nastolatka przez znaną mu od zawsze ciocię, która przecież widywała go jeszcze w pieluchach i kupowała mu książeczki edukacyjne.

– Chcesz powiedzieć – nie mogła uwierzyć Alka – że Ignacy i Bietka...? Ten mały Ignaś...?

Zuzia pokiwała głową i po raz kolejny wybrała numer syna. Wreszcie odłożyła telefon.

– Nie odbiera – westchnęła. – Pewnie śpi. Dzisiaj przecież cały dzień jechali.

I wtedy bang, bang, odezwał się telefon. Ten stacjonarny, który wisiał na ścianie w kuchni. Bang, bang. Zuzia wstała, spojrzała na wyświetlacz.

– Oddzwania?

– Chyba nie, bo numer zastrzeżony – powiedziała dziwnym głosem.

Wytarła dłonie w ścierkę, po czym z pewnym wahaniem przełączyła na głośnik, żeby wszystkie słyszały.

– I jak? Dobrze się bawisz? – chrypnął cicho baryton. – Nie masz wyrzutów sumienia?

– Ty to zrobiłeś?! – wyjąkała Zuzia. – Ty?!

Ale tamten przerwał rozmowę.

Zuzia czym prędzej odsunęła od siebie telefon, jakby w środku siedziało groźne zwierzę, po czym opadła na kanapę.

– Kto to? – szepnęła Hania.

– To on – jęknęła Uliana. – On zabił pani Bietkę. Boże moj!

Gdyby to on zabił, byłoby o wiele łatwiej, myślała Alka. Może nawet powinniśmy pozastanawiać się nad tą wersją do czasu, aż pojawi się tu policja. Wspólne zagrożenie jednoczy. Wewnętrzne zagrożenie zaraz nas skłóci.

– Kto to był? – spytała któraś.

– Nie wiem. Chyba mam stalkera – wyjaśniła Zuzia.

– Kogo? – spytała Uliana.

– Prześladowcę. Wydzwania do mnie. Czasem tylko sapie, a czasem mówi dziwne rzeczy.

– Kto to?

– No mówię, że nie wiem – zmarszczyła czoło Zuzia. – Ale wydaje mi się, że go znam. Myślę o tym, odkąd zadzwonił po raz pierwszy.

– A kiedy zadzwonił po raz pierwszy? – zainteresowała się Daria.

– Dwa dni temu. Ignacy akurat wyszedł na zajęcia, mąż do pracy, a ja piłam poranną kawę. Wtedy zadzwonił telefon. Stacjonarny. Numer zastrzeżony. Odebrałam, ale nikt się nie odezwał. Myślałam, że to jakaś bzdura, reklama może, ale po kilku minutach znowu zadzwonił. Mówił...

– Co mówił? Ja nie słyszała.

– Uliana, ty siedziałas wtedy z Kaliną. Spytał... jakiś facet spytał, czy na pewno spełniłam wszystkie swoje obowiązki. To ja na to, że kto on jest i o co mu chodzi, ale się rozłączył. Potem znowu dzwonił, wczoraj. I znowu jeden głuchy telefon, a potem to pytanie.

– O jakie obowiązki chodzi? – spytała Hania.

- To chyba nie jest teraz najważniejsze – zganiała ją Daria.
- Nie wiem – odpowiedziała Zuzia bezradnie. – Nie wiem.
- I mówisz, że poznasz ten głos?
- Nie wiem – powtarzała Zuzia. – Chyba tak. Męczy mnie to. Może słyszałam go w telewizji.

Albo w sklepie. Kurde, nic nie wiem.

- Skup się – nalegała Daria. – Przecież to... Przecież to jest główny podejrzany.
- On? – spytała Zuzia słabym głosem.
- A kto?

Zuzia kręciła głową.

- Ale dlaczego... Dlaczego ja... Dlaczego u mnie...

Wargi Alki były nadal pewnie jeszcze nawet bardziej sztywne niż usta Bietki w tej chwili, a dłonie – bardziej lodowate niż... Co za idiotyzm. Czy da radę powiedzieć dziewczynom, że idą z podejrzeniami w złą stronę? Czy w ogóle powinna im to mówić?

- Jak on tu wszedł? – zastanawiała się Uliana.
- Gdzie teraz jest? – denerwowała się Hania.

Alka siedziała jak podlana cementem. Czy to już katatonia? Otworzyła usta. Zamknęła. Znowu otworzyła. Odchrząknęła, aż zapiekło w przełyku.

– Przecież Alka obesza cały dom po... No, po fakcie – powiedziała Daria spokojnym głosem. – Wszędzie zajrzałaś?

Zmusiła się do kiwnięcia głową.

– Na ścieżce nie ma żadnych śladów, a śnieg przestał padać godzinę temu – dorzuciła Daria. Jedna przytomna. – Strasznie go dużo.

Alka znowu kiwnęła głową.

- Czyli nikt tu nie wszedł od tamtej pory, a w domu nie znalazłaś nikogo obcego.

Alka potwierdziła, choć nie podobał jej się prokuratorski ton Darii.

- Z tego wynika, że jesteśmy tu same.

– Co chcesz powiedzieć, Daria? – głos Zuzi drżał. W hysterii przesuwiała wzrok z twarzy na twarz.

Kalina znieruchomiła. Po chwili podczołgała się do okna balkonowego i wpatrzyła w czarno-białą noc. Pięści jak dwa białe brukowce oparła na szybie.

- To musiała zrobić jedna z nas – oznajmiła uroczyście Daria.

I od tej pory wszystko nabrało nowego znaczenia.

CZĘŚĆ TRZECIA



Zuzia wciągnęła powietrze łapczywie jak odkurzacz, dźwięk też wydała całkiem podobny. Zaraz wpadnie w hiperwentylowaną stężoną emocję.

– Nie wierzę. Nie wierzę – zaklinała rzeczywistość.

Hania poklepała ją po dłoni.

– Zuzia ma rację. Po co którakolwiek z nas miałyby to zrobić? – odezwała się, starając się zachować spokój. Dość już było paniki dookoła. – To niemożliwe, nikt przecież nie załatwia spraw w ten sposób.

– Na pewno nie żadna kobieta! – zawtórowała jej Uliana.

– Przestańcie histeryzować i użyjcie wreszcie mózgu! – odezwała się nagle Daria. – A jeśli macie dalej gadać takie głupoty, to najlepiej w ogóle przestańcie się odzywać! Każda z nas miała sposobność. Dom jest wielki. Każda miała możliwość znaleźć się z Bietką sam na sam.

– To ty gadasz głupoty! – szlochała Zuzia, pokładając się na fotelu. – U mnie w domu nie ma morderców!

Hani było jej coraz bardziej żal. Podeszła do tej biedaczki, której parapetowa zmieniła się w stypę, wytarła jej serwetką mokre oczy i nos, po czym objęła, bo czasem gesty znaczą więcej niż słowa. Ona też potrzebowała dotyku. Drżały tak obie, przytulone, a Zuzia szlochała coraz głośniejsze, jakby na dobre rozkręciła kranik z histerią. Zaraz potem suczka Maksia szczeknęła i doskoczyła do Hani, żeby bronić swej pani, a Kalina jęknęła jak przerdzewiałe zawiasy, oderwała tyłek od podłogi i rzuciła się na czworakach do nóg Hani, by zacisnąć stalowe dłonie na jej łydkach. Zabolało. Hania pochyliła się i złapała ją za te ręce, choć powinna je raczej nazwać imadłami, gdyż kościane obręcze zaciskały się coraz mocniej. Suczka Maksia szczekała jak oszalała, doskakując do Hani to z tej, to z tamtej strony.

– Kalina, zostaw mnie – zażądała Hania specjalnym głosem, jakiego używała w stosunku do niepełnosprawnych. Wyrozumiałym, lecz stanowczym.

Nie zadziało. Może dlatego że Maksia zagłuszała zarówno wyrozumiałość, jak i stanowczość. Kalina nasiliła uścisk.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła Hania. – Zostaw! Zróbcie coś, odciągnijcie ją ode mnie! Zuzia!

Uliana się poderwała, ale sztucznie spokojny głos Zuzi z fotela zatrzymał ją w miejscu:

– Kalinki nie można teraz dotykać, bo będzie jeszcze gorzej. Maksia, siad! Kalinka, zostaw! Zuzi nic się nie dzieje. Wszystko jest w porządku. – I tonem zaklinacza węży powtórzyła: – Wszystko. Jest. W porządku.

Pies posłuchał i zamilkł. Kalinka ani drgnęła. Hania znowu jęknęła. Zuzia wstała z fotela i precyzyjnie się obok Hani, by kucnąć przy Kalinie i znaleźć się w promieniu jej smolistych oczu.

– Hania chciała być dla mnie miła. Ona mnie nie dusiła. Ona mnie kochała – ciągnęła.

Łzy napłynęły Hani do oczu, łydki bolały jak cholera, ciepło sunęło w górę ciała. I nagle ból ustał. Kalina opuściła dłonie i przeniosła puste spojrzenie na swoje palce. Poruszyła wargami, a potem znowu zaczęła się kiwać. Hania odsunęła się od Kaliny i pochyłona masowała zmasakrowane mięśnie.

– Czy żadna z was o tym nie myśli? – odezwała się nagle Daria, tak nagle i tak głośno, że wszystkie drgnęły. – Skoro ta twoja Kalina siedziała pod łóżkiem w sypialni, musiała widzieć, kto to zrobił. Rozumiecie? Ona widziała.

– O Boże – zaniepokoiła się Hania. – A wiecie, co w serialach kryminalnych robią ze świadkami?

Zapadła cisza i wyssała resztki tlenu z pokoju.

– Z jakimi świadkami?! Przecież ona nic nie powie – odezwała się wreszcie Zuzia. – Kalina jest jak duże dziecko i tyle. Nic nie rozumie i czasem broi.

Ale Daria ciągnęła swoje:

– Więc albo Kalina widziała, kto to zrobił, albo... Bo, rozumiecie, przecież takie osoby nie działają według zwyczajnych reguł – dodała, najwyraźniej dumna, że użyła słowa „zwyczajnych”, a nie „normalnych”. – Albo więc widziała sprawcę, albo sama nim jest.

– Co?! – zdenerwowała się Zuzia. – Zwariowałaś?!

– Jest silna, jak widać, i agresywna. Poza tym działa pod wpływem mało wytłumaczalnych impulsów. I przecież siedziała pod łóżkiem na miejscu zbrodni.

– Zwariowałaś – powtórzyła Zuzia.

– Przecież my jej w ogóle nie znamy, Zuziu – odezwała się Hania z pretensją w głosie. – Ja ciągle nie rozumiem, dlaczego nigdy wcześniej nie powiedziałaś nam, że masz siostrę.

Zuzia uparcie kręciła głową.

– No dobrze, może jej impulsy nie są niewytłumaczalne – wycofała się Daria. – Może ta twoja Kalina chciała cię po prostu obronić, jak teraz przed Hanią. Może chciała bronić waszej rodziny przed tą, która uwiodła Ignacego, skrzywdziła jego, jego matkę, wszystkich. Usunęła Bietkę, bo była pewna, że robi dobrze. Tak jak się wyrzuca śmiecie czy strzela do agresora. Bietka była agresorem. Przecież taka Kalina myśli. Inaczej niż my, ale też czuje. A świństwo, jakie Bietka zrobiła Ignacemu, no i tobie, było niewyobrażalne. – I wyższym głosem, pieszczotliwie jak do dziecka, spytała: – Kalinka, zrobiłaś to? Pozbyłaś się tej wstrętnej Bietki?

Kalina kiwała się zajadle, przód–tył, przód–tył.

Zuzia podskoczyła, jak dźgnięta w tyłek.

– Przestańcie, dobrze?! – Była cała czerwona. – Znam swoją siostrę. Wiem, na co ją stać. Wiem, jaka jest. Przecież ona unika kontaktu fizycznego. Nienawidzi być dotykana i nienawidzi dotykać innych. Uspokaja ją dotykanie przedmiotów. Drewna. Szkła. Kafelków.

– Cudzych łydek – nie umiała sobie darować Daria.

– Przez spodnie. Nie dotknęłyby gołej skóry. Nie wystawiłaby się na cudzą krew. To nie ona, rozumiecie?!

Zuzia szukała w ich twarzach akceptacji, ale co z tego, skoro jedna była zamrożona, druga – prokuratorska, trzecia – szlochająca, czwarta przytulała szlochającą, a piąta kiwała się w przód i w tył, w przód i w tył, jak chude wahadło odmierzające szalony czas tego wieczoru.

Kiwam się. 1, 2, 1, 2, 1, 2. Tak jak wahadło mojego zegara z kukułką. Wielka S sześćdziesiąt cztery godziny temu wyłączyła kukanie. Szkoda. Lubiłam kukać razem z zegarem i zawsze chciałam, żeby kukanie trwało jak najdłużej, ale to zdarzało się rzadko.

Kiwam się i układam świat. Trzeba go na nowo ułożyć.

Mała U na kanapie. Trzęsie się. Pojękuje. Z oczu leci jej woda.

Ja też się trzęsłam. Pod łóżkiem wielkiego I.

Potem zalał mnie ciepły strumień, zacisnęłam powieki i zasłoniłam uszy. Przecież goście wielkiej S nigdy się tak nie zachowują, żeby się kłaść na łóżku i zalewać mnie czymś ciepłym.

Widziałam stopy, które stały tuż przy mojej twarzy. Długie, płaskie, z robalami paluchów.

Oddzielała mnie od nich kałuża. Rośnie.

Ciepła jak ludzkie ciało.

Ratuj mnie, wielka S. Ratuj.

Próbowałam się kołysać. Za ciasno.

Za dużo tego, muszę też z siebie wszystko wylać. Gdzie są moje kartki. Gdzie.

Zuzia wiedziała jedno: Kalina tego nie zrobiła. I drugie: Kalina rozumiała więcej, niż się komukolwiek wydawało. A w każdym razie na pewno więcej widziała. Czowała. Przyswajała całą sobą. Jak choćby wtedy, gdy Zuzia rozszłochała się w ramionach Hani, a Kalina usiłowała ją obronić.

I właśnie po to, żeby chronić siostrę, Zuzia wmawiała koleżankom, że Kalina niewiele rozumie i niewiele widzi. Choć przecież sama Zuzia wiedziała najlepiej, że mała wchłania w siebie więcej, choć inaczej niż inni. Więcej, niżby się chciało. Siostra wciągała w siebie wszystko, jak sucha gąbka.

Zuzia ciągle pamiętała tamtą noc, jakby to było wczoraj. Kalina przyjechała z zakładu na kilka dni do nich, na święta, jeszcze w poprzednim mieszkaniu, niby takim wygodnym i nowoczesnym, a przecież akustycznym jak komóдка z pudełek od zapalek. Maciek obudził się z pierwszego snu i nagle przygarnął Zuzkę do siebie. Jeszcze paliła się jej lampka nocna, jeszcze czytała, ale książka zaraz zsunęła się na ziemię. Kochali się pierwszy raz od dwóch tygodni. Już zdążyła zapomnieć, jak głośno potrafi poskrzypywać ich łóżko. Nagle usłyszała coś dziwnego, jakby echo. Maciek stękał, echo mu odpowiadało. Zamarła. Wypłatała się z jego objęć, wstała. Podeszła do drzwi pokoju, w którym położyli Kalinkę. Tak, to stamtąd dobiegały odgłosy. Nacisnęła klamkę. Siostra podskakiwała na łóżku, tak żeby skrzypiało, i pojękiwała zupełnie jak jej szwagier. Ten sam niski głos, ten sam rytm. Nie przerwała również na widok siostry. Zuzia nie wiedziała, co zrobić, jak uciszyć złośliwą papugę o smolistych oczkach. Maciek też nie. Stali tylko i patrzyli, po czym wyszli, zamykając cicho za sobą drzwi. Od tamtej pory Maciek zawsze starał się kochać jak najciszej. Starał się kochać. A potem przestał się starać. I to już nie była kwestia cienkich ścian, bo w nowym domu mieli sporo grubsze.

Zuzia miała przecucie, że nowy dom nie przyniesie im szczęścia, miała je już w momencie, gdy przyjechali oglądać działkę. Co prawda stać ich było na porządny kawał ziemi, bo cena była niższa niż na ogół pod Warszawą, ale też trudno było powiedzieć, że działka znajduje się na przedmieściach stolicy. Z centrum jechało się przecież tutaj długo, i to w korku aż do momentu, gdy wolno było już skręcić, a potem mijało się gospodarstwa, pola, lasy, hurtownie i lakiernie samochodowe, znowu pola i ugory, by dotrzeć do porośniętego drzewami kawałka przy drodze gruntowej między polami, gdzie ulica jeszcze się nie nazywała. Maciek snuł wizję sielskiego szczęścia, a Zuzia... Zuzia miała przecucie. Nie chciała zmieniać mieszkania. W apartamentowcu wszystko było swojskie, do ogarnięcia. Tam oni też byli jak wszyscy. Prawie wszyscy. Wszyscy, których było stać na mieszkanie tam. Ale już nie wszyscy wkraczali w kolejny etap. Bo ten prowadził, niektórych przynajmniej, do własnych domów na peryferiach miasta albo w ogóle nie w Warszawie, grunt, że do domów, piętrowych, z domowym kinem, z wielkim ogrodem, z wielkim grillem, z wielką kuchnią, z wielkim garażem, z piętrem do wykończenia dla dzieci, kiedy dorosną, chociaż te nigdy nie chciały lądować na piętrze w domu na zadupiu, spędziwszy całą wczesną młodość na kiszaniu się w samochodzie z rodzicami. Późną młodość wolały spędzić na kiszaniu się gdziekolwiek, gdzie dociera komunikacja miejska. Zuzia starała się więc nie myśleć o tym, że Ignacy będzie coraz rzadziej wracał do domu, aż wyląduje w mieście, w łóżku jakiejś obcej kobiety, która zacznie podawać w wątpliwość

wszystko, co mówi i robi Zuzia. Wystarczająco przygnębiające było to, że coraz rzadziej się będzie im chciało, jej i mężowi, jechać do miasta, by pożyć jak ludzie. Zostaną więc skazani na najbliższych sąsiadów (na razie nie ma), najbliższy supermarket (daleko za horyzontem), najbliższą pizzerię (tak daleko, że zapomnij o pizzy na telefon), najbliższy zaśmiecony lasek (chyba że wytną). Nie mówiła jednak o tym Maćkowi, bo taki był podniecony spodziewanym początkiem nowego piękniejszego życia.

Ale najgorsze w posiadaniu tego czterystupięćdziesięciometrowego domu było to, że Zuzia nie miała już żadnej wymówki, by nie wziąć do siebie Kaliny. A przecież po śmierci matki wdrożyła się już w ten rytm: dwa telefony tygodniowo i wizyta w niedzielę rano, gdy inni szli do kościoła. Zuzia zjawiała się wtedy w domu opieki, drogim, prywatnym, ale obcym, do którego matka nigdy by Kaliny nie oddała. To jednak miała być sytuacja przejściowa. Zuzia, gdy jeszcze mogła rozmawiać z matką, i teraz, gdy modliła się do niej, bo jak inaczej nazwać jednostronne usprawiedliwienie, wyszeptywane przed siebie w noc, tłumaczyła, że jeszcze chwila, jeszcze się z mężem pokłócą o projekt, jeszcze się pokłócą o wykończenie, jeszcze się pokłócą o to, że tyle pieniędzy już poszło, a końca nie widać, aż wreszcie się pogodzą i może jednak nie rozwiodą, a dom w końcu stanie. Wchodziła więc pełna wyrzutów sumienia co niedziela do domu opieki, słuchała, co pielęgniarka opowiada jej o (wątpliwych) postępach Kaliny, gdy ta kiwała się nad stolikiem we wspólnej sali i rysowała labirynty, stawiała znaczki, smarowała szlaczki.

Zuzia nigdy nie umiała dociec, na ile świadomie jej siostra odwzorowuje te wszystkie kółeczka, wężyki, daszki i zawijaski, które niekiedy przypominały litery lub cyfry. Siedziała z nią, nie całowała, nie przytulała, tego siostra nie lubiła, ale siedziała z nią, opowiadała, co w domu, jak się buduje dla Kaliny pokój, jak będzie im dobrze razem, choć miała prawie pewność, że chwila wykończenia domu nigdy nie nadejdzie, bo przecież miało to potrwać rok, góra półtora, a trwało już ponad trzy, wieczność całą tymczasową. Maciek zmienił się w maszynę do zarabiania, a ona w maszynę do użerania się z fachowcami. Ignacy zaś łąził gdzieś bokami („a to przecież również dla ciebie, synu”).

Kalina kiwała się nad swoimi bazgrołami w domu opieki, dom rósł powoli, aż wreszcie Zuzia zrozumiała, że nieubłagane zbliża się moment, kiedy trzeba będzie wziąć los niepełnosprawnej kobiety na swoje barki, do końca życia, bo tu jednak nikt nie przewidział opcji błogosławionego rozvodu.

Nie miała pewności, czy dotrwa w jednym domu z mężem do chwili, kiedy śmierć ich rozłączy, ostatnio była nawet coraz mniej tego pewna. Wiedziała natomiast, że takiego momentu będzie musiała dożyć z Kaliną. Choć przecież siostry nigdy nie wybierała na towarzyszkę życia.

Może więc byłoby prościej, gdyby ktoś zaciukał Kalinę jako niewygodnego świadka? Kalina nie męczyłaby się ze światem, a świat przestałby się męczyć z nią. Zuzia przełknęłaby jeszcze kilka znieczulających porcji wina, a w tym czasie ktoś zająłby się niepełnosprawną kobietą-dziewczynką, która widziała za dużo.

Wzdrygnęła się. Jak ona może!

Podeszła i kucnęła, by przytulić Kalinę, ale ta, dotknięta, zamarła, jakby ją zniecka zalano betonem. Oddech jej przyspieszył. Zuzia знаła te objawy. Zwiastowały kolejny wybuch. Cofnęła więc dłonie, ale została przy siostrze. Nikomu nie da zrobić jej krzywdy.

Kalina siedziała na podłodze obca jak zawsze, z tym spojrzeniem, co to nie wiadomo, czy wdzięczne, czy pełne pretensji. Milczała, nawet niczym nie stuknęła, ale – jak zawsze – zdominowała towarzystwo. Nie odzywając się, samą swoją obecnością.

Tak samo zdominowała życie ich rodziny, gdy tylko się pojawiła, i potem, gdy miała trzy lata

i okazało się, że raczej nie będzie jak inne dzieci. A wkrótce, że zupełnie nie będzie jak inne dzieci. Szybko do Zuzi dotarło, że lepiej nie zapraszać koleżanek do domu i nie chwalić się małą siostrzyczką, bo doprawdy nie należy do przyjemności oglądanie nieprzyjemnego bachora, co to ani dotknąć, ani pogilgotać, ani pogulgotać.

Takie to życie właśnie. Niby siostra a córka, niby siostra a obca.

Zuzia długo się buntowała, że takie dziecko urodziło się akurat im. Przez Kalinę odszedł tata, znaczy nie odszedł, odjechał maluchem, i zostały z mamą same. Przez Kalinę mama nigdy nie miała na nic czasu. Nigdy też nie było na nic pieniędzy, bo wszystko szło na lekarzy Kalinki, na rehabilitanta Kalinki, na jakieś tam warsztaty terapii zajęciowej Kalinki. Nigdy nie było na nic dla niej, Zuzi. Nie dość, że nie miała ojca, to jeszcze mamy też prawie nie miała, „bo sama rozumiesz, że Kalinka mnie bardziej potrzebuje”. Mama wszędzie Kalinę prowadziła, wszystko jej pokazywała, ładnie ją ubierała, kupowała jej lepsze ciuchy niż Zuzi, jakby chciała zrównoważyć niesprawiedliwość losu. Zuzia więc starała się być słodka, ugodowa i dziecinna, żeby usłyszeć czasem od matki dobre słowo. Rzadko, bo rzadko, ale czasem zasługiwała nawet na przytulenie, najczęściej wtedy, gdy udało jej się mamę rozbawić. Więc rozbawiała ile sił.

Czasem marzyła, że tata wróci, przywiezie górę prezentów, dla niej, nie dla Kaliny, i powie, że tęsknił za swoją dużą córeczką. I że kocha ją najbardziej na świecie, nie tak jak mama. No i wreszcie wrócił. Po kilku miesiącach nieobecności. Obdarował mamę kwiatami – trzema czerwonymi goździkami z plastikową żółtą wstążeczką zwiniętą w spiralę. Mama stała z tymi kwiatami, a on przeproszał. Tłumaczył, gdzie był i co robił. Chodziło o to, że wszystko się przeciw niemu przysięgło. A teraz dodatkowo popsuł mu się samochód. Znaczący maluch.

Zuzia nie słuchała tłumaczeń, bo cieszyła się z prezentu. Dostała od taty spory kawałek bloku czekoladowego. Taki sam, tłusty, z okruchami herbatników, można było kupić w spożywczym na wagę. Dla Kaliny tata nie miał nic. Na Kalinę zresztą wcale nie patrzył. Stał i tłumaczył mamie, że na reperację samochodu potrzebuje ledwie czterdziestu tysięcy. No, czterdziestu dziewięciu ośmiuset siedemdziesięciu trzech złotych. Dokładnie tyle zaśpiewał sobie mechanik. Matka, przekonana szczegółowością tej sumy, odłożyła goździki na stolik i poszła do sypialni, gdzie pod pościelą w szafie trzymała pieniądze.

– To jeszcze z tych oszczędności, co składaliśmy na kolorowy telewizor – oznajmiła chłodno.

Mała Zuzia miała jej za złe, że patrzy na ojca tak lodowato. Dlaczego mama go nie przytuli? Dlaczego nie pokaże, że mu wybacza? On jednak dzielnie udawał, że nie ma do żony pretensji. Wziął pieniądze i poszedł do warsztatu reperować samochód, żeby nim wrócić do domu. A potem już mieli żyć długo i szczęśliwie, planowała Zuzia, pochłaniając ostatnie okruchy bloku czekoladowego.

Tymczasem tata więcej się już u nich nie pokazał. Nigdy. Choć obie czekały. Obie, bo co do Kaliny, nigdy nie można było mieć pewności, na co czeka. Zuzia szybko zrozumiała, że o tacie lepiej w ogóle nie wspominać. Inaczej mama wpadała w szał i wrzeszczała, że ograbił je z samochodu i pieniędzy, że narobił dzieci, a wcale się nimi nie interesuje, że najlepiej zwalić cały ciężar wychowywania chorego dziecka na żonę i jeszcze zabrać jej ostatni grosz. Żeby chociaż list przysłał z pytaniem, czy jakoś dają sobie radę. Nic z tego. Wyjechał z Międzyrzecza, wyjechał z Podlasia chyba w ogóle, bo jakoś nikt ze znajomych nigdzie go nie widział. „Żeby chociaż wiedziała, że nie żyje – wzdychała mama – przynajmniej byście jakąś rentę po nim dostały”.

Zuzia wysłuchiwała tych żalów jak refrenu, którego szybko nauczyła się na pamięć. Nienawidziła go. Tak jak i wspomnień o ojcu. A już najbardziej wspomnienia głupiej nadziei,

którą poczuła, gdy pokazał się z tymi kwiatami w progę. Z ulgą wyjechała z Międzyrzecza na studia do Warszawy. Mama na szczęście nie śmiała jej prosić, by jednak została. Wymogła tylko obietnicę, że gdy jej zabraknie, Zuzia zajmie się Kaliną. Zuzia zgodziła się od razu, bo wiedziała, że mamy nigdy nie zabraknie. A poza tym nie mogła się doczekać nowego życia w Warszawie.

Ach, jak było fajnie nareszcie niczym się nie martwić poza tym, za co przeżyć do końca miesiąca. A potem jeszcze, po trzech latach studiów, poznała Bietkę, uroczą, złośliwą, obrotną i szaloną. Przy niej Zuzia czuła się wolna totalnie. Do domu jeździła tylko na święta i uciekała stamtąd czym prędzej, bo w Międzyrzeczu zawsze miała wrażenie, że na twarzy wylądowała jej plastikowa torba. W Warszawie mogła oddychać swobodnie. A jeśli miała łzy w oczach, to tylko ze śmiechu.

A potem poznała Maćka. Sporo od niej starszy, pracował, zajmował nawet jakieś kierownicze stanowisko. Na początku tylko wpadał do niej na szybki lancz, który przynosił ze sobą, i na pół godziny kochania się z Zuzią, jeśli Bietka była wtedy na uczelni. Czasem wygoszparował nawet czterdzieści minut. Kupował jej słodycze, zamontował wypasiony ekspres, żeby mógł u niej pić dobrą kawę, przyniósł satynową pościel, pachnące cedrem mydło (Bietka uwielbiała z niego korzystać). Seks z nim był pospieszny, ale przyjemny, łączący ich osobne życia coraz gęstszą siecią niteczek. Zuzia jednak nadal bała się do niego przywiązywać. Był przecież żonaty. A poza tym faceci zawsze odchodzą, prędzej czy później. On jednak regularnie powtarzał, że nie wyobraża sobie życia bez niej. Bez uroczej, dziecinnej, pulchnej śmieszki, która w chwili orgazmu pokrzykiwała cienkim głosikiem „O, kurwa, o, Jezu”, co go nieustannie śmieszyło.

Z któregoś orgazmu Zuzia zaszła w ciążę. Starala się nie myśleć o tym, że dziecko może być jak Kalina. Maciek przetrwał rozwód, a za resztki podzielonej fortuny kupił mieszkanie w apartamentowcu. Mama Zuzi nie przyjechała na ślub, bo Kalina nie lubiła podróży, a nie było jej z kim zostawić. Zuzi było przykro.

– Nie martw się. Zajmę się tym – obiecał jej Maciek. Po czym dał stałe zlecenie do banku, żeby teściowa już zawsze miała pieniądze na opiekunkę.

– Na drugi ślub będzie jak znalazł – śmiała się Zuzia, bo nie miała zamiaru płakać.

Potem urodziła syna i codziennie przyglądała się, czy mały nie zdradza przypadkiem tych samych objawów, co Kalina. Natomiast Maciek awansował, naprawdę wysoko. Tak wysoko, że nie bardzo widział z tego szczytu Zuzię z Ignacym i jej niepokojami. Bieda im dzięki temu nie groziła, za częste widywanie się również, co wpłynęło niestety na częstotliwość orgazmów, bo wszak Maciek był zajęty i zmęczony, a Zuzia zmęczona i zajęta. Przyjaźniła się z Bietką, krzepiła się jej siłą i bezczelnością. Przy niej była weselsza i bardziej odważna. Przy niej ochoczo wrastała w Warszawę. Poznała Darię, sąsiadkę z piętra w apartamentowcu. Przez nią Hanię, która szybko stała się jej naprawdę bliska. A dzięki Hani całe mnóstwo cudownych kobiet, starszych i młodszych. Regularnie organizowała dla nich babskie spotkania. Piły wtedy, wygłupiały się i wymieniały ciuchami.

Mama nigdy ich nie zapraszała. Nie miała siły. No a poza tym Kalina nie lubiła zmian. A potem mama umarła. W apartamentowcu nie było miejsca dla Kaliny, więc Maciek znalazł jej tamten zakład pod Warszawą. I zaczęli stawiać wypasiony dom, w którym dodatkiem niezbędnym do wykończenia miała być Kalina. Każdy krok w kierunku listwy z nożami jak z „Elle Decoration” przybliżał Zuzię do nieustannego słuchania miarowego stukania w parapet i nieustannej obecności gadzich oczu, skupionych na czymś gdzieś nad jej głową albo gdzieś za jej plecami. Żeby one jeszcze wpatrywały się w nią, ale nie, Kalina właściwie nie zauważała siostry. O ileż milej byłoby się męczyć, gdyby w kiwaczku była odrobina wdzięczności,

przytulności, słodczy, a nie tylko najeżona obcość, rytmiczna agresja, której nawet nie da się cieleśnie oswoić, bo przecież z dotykiem ani przystąpić.

Muszę przestać, pomyślała Zuzia. Jest, jaka jest, ta moja Kalina, a gdy tak spojrzeć na nią z profilu, to chwilami wygląda prawie jak mama. Łzy napłynęły jej do oczu. Że mamy już nie ma. Że taty nigdy nie było. Że Kalina będzie zawsze.

Zuzia podniosła się z kucek. Nogi jej lekko zdrętwiały, ale starała się zdusić jęk, żeby dodatkowo nie denerwować Kaliny, która kiwała się miarowo wśród tego całego rozgardiaszu. Jedyna stała w jej życiu. Kiwająca się stała.

Niech się kiwa. Przecież Uliana, zaryczana, roztrzęsiona, na pewno się nią teraz nie zajmie.

Zuzia lekko chwiejnym krokiem przeszła do kuchni, gdzie chwyciła nóż z magnetycznej listwy i wyjęła z lodówki kabanosy. Ciach-ciach, kroić kielbaski na zgrabne kawałki. Ciach-ciach. Łzy w oczach, łzy na policzkach, nóż w ręku... Spojrzała na swoje dłonie, które dokonywały rzezi kabanosów. O Jezu. Kto to wszystko zje? Trzeba wystawić wszystko na stół, ciasto pewnie też. Choć najchętniej zjadłaby wszystko sama. To może na chwilę by ją ukoilo, pokryło cukrem i tłuszczem śmiertelną trwogę na widok podłużnego zakrwawionego kształtu, który kiedyś był Bietką.

Wiedziała, że już nigdy nie pozwoli Ignacemu spać na tamtym łóżku. W tamtym pokoju. Nie była nawet pewna, czy ktokolwiek z nich jeszcze usnie w tym domu. Będą go musieli opuścić, tak czy siak. Sprzedać.

A Kalina z powrotem znajdzie się w domu opieki.

Zuzia weszła do salonu, postawiła na stole półmisek ze stertą kabanosów, po czym naląła sobie do szklanki resztę wina, wytrząsając ostatnie krople z butelki. Znajdzie się kolejna. Gdy przyjadą gliny, to wszystkie będą na cyku. Ona na pewno. Błogosławione butelki wina z zakrętką! Inaczej nie uporałaby się teraz z korkociągiem.

– Napijemy się? – zaproponowała. – Wszystkim nam się przyda.

Wino sprawiło, że emocje nieco opadły, zastąpione posiorbywaniem i postukiwaniem kieliszków o różne blaty. Nawet Ukrainka dostała kapkę alkoholu, z czego wynikało, że jedyne trzeźwe pozostają one dwie – Daria oraz Kalina kiwająca się znowu w kącie pokoju, przy balkonie. Siostra Zuzi była oczywiście trzeźwa wyłącznie w sensie chemicznym, bo przecież umysł miała zdecydowanie zamroczony. Właśnie zaczynała pojękiwać do wtóru kiwaniu, co doprawdy było przykrym, wiercącym w głowie dźwiękiem, który ciągle narastał. Między Zuzią a Ukrainką zaczęły się jakieś gorączkowe szepty, po czym Ukrainka pobiegła na górę i wróciła z kartkami przypiętymi do podkładki z klipsem oraz z pudełkiem kredek. Położyła Kalinie podkładkę na kolana, w dłoń wsunęła kredkę, którą tamta chwyciła mocno jak tonący koło ratunkowe. A potem błyskawicznie, jakby kto wyłączył światło, umilkła. Przestała się też kiwać, za to zatopiła się w jakichś zmaganiach ze sobą, których wyniki bez patrzenia notowała na kartkach. Pokrywała kolejne kartki pajęczynami kresek, ale po kilku taśma fabryczna nieco zwolniła, a pajęczyny stały się rzadsze, mniej nerwowe.

Daria nie miała wiele do czynienia z niepełnosprawnymi. No jeszcze z dziećmi raz na jakiś czas, ale z dorosłymi – wcale. Unikała ich, pewnie dlatego że kompletnie nie dało się przewidzieć, jak się zachowają. Tymczasem obserwowanie takiej Kaliny nieoczekiwanie okazywało się całkiem ciekawe. Czy tamta po prostu musiała mieć zajęte czymś ręce, czy też usiłowała coś przekazać światu?

Z pajęczyny kresek wynurzyło się kółko, które po chwili zmieniło się w ludzika z wielką

głową. Na szyi wyrosły mu żółte kulki.

– Wygląda na to, że narysowała ciebie – powiedziała Hania, dotykając naszyjnika z bursztynu na szyi Darii.

– Trochę chyba przeceniasz naszą artystkę – zaprotestowała Daria, ale zaraz zamilkła, bo Kalina wynalazła w pudełku czerwoną kredkę i zaczęła pieczołowicie uzupełniać rysunek postaci z żółtymi kulkami na szyi. Tym razem rysowała jej po obu stronach głowy duże czerwone krople.

– To chyba jednak nie ty – skomentowała Hania. – Z tymi wielkimi uszami.

Daria pokiwała głową, bo rzeczywiście to nie mogła być ona. Przecież zdjęła te wielkie czerwone klipsy jeszcze na klatce schodowej swojego domu, gdyż – pewnie słusznie – przewidziała, że wywołają nieprzychylnie komentarze. Grzechotały teraz w kieszeni jej spodni, tych wełnianych, które złożyła na krześle. Nikt z obecnych nie mógł o nich wiedzieć, nawet Hania. A na pewno nie niepełnosprawna kobieta-dziecko, która, wysuwając język, pokrywała właśnie ich przedstawienie czerwonymi smugami.

– Kiedy oni wreszcie przyjadą? – westchnęła Hania i skuliła się na kanapie, przykrywając Darię i siebie kocem. Zimno przenikało do kości i Alce znowu chciało się spać. – W amerykańskich serialach policja lata helikopterami – dodała.

I nagle odezwała się Ukrainka:

– Zuzia, każdy sąd cię uniewinni – powiedziała grubym, wzruszonym głosem.

– O czym ty mówisz? – czknęła Zuzia.

– Ja rozumiem. Chciałaś go chronić. Chciałaś chronić Ignacego.

Zuzia odsunęła się od niej, bo jeszcze przed chwilą siedziały przytulone, i patrzyła szeroko otwartymi oczami.

– Bietka była naprawdę złym człowiekiem – podsumowała Uliana. – Ale żadna z nas ciebie nie wyda. Żadna.

Spojrzenia skupiły się na Zuzi. Wszystkie poza jednym, które wlepiało się w kartki przed sobą. Albo gdzieś tam.

– Uliana, co ty gadasz? – zdenerwowała się Alka. – Wszystkie wiemy, że Zuzia miała motyw. Całkiem silny. Ale przecież stałaś cały czas pod drzwiami, gdy zamknęła się w łazience. A właśnie wtedy ktoś zrobił krzywdę Bietce. – I spojrzała na Ulianę.

Ta zamilkła na chwilę, oblizwała wargi, po czym pokręciła głową.

– Nie stałam tam cały czas.

– Stałaś tam i pukałaś.

– Nie cały czas – dalej kręciła głową Uliana. – Zuzia poprosiła, żebym jej wino przyniosła. No to ja poszłam na dół.

– I twoim zdaniem miała wtedy dość czasu...

– Ja nie wiem – rozsypała się Uliana. – Tam były pani Hania i pani Daria. Ale potem też zeszyły na dół. A ja tylko mówię, że ją rozumiem. I popieram. W pełni.

– Ja też bym chyba cię nie potępiła – podjęła temat Hania. – Zuziu. Zrozumiałabym to.

Zuzia natomiast milczała – tylko zbladła i przesuwiała spojrzenie od jednej do drugiej.

– A ja myślałam – powiedziała Alka wolno – że wzajemnie sobie z Zuzią możecie dać alibi. W takim razie i ty go nie masz, Uliana. Nie masz alibi.

Uliana chyba dopiero teraz zrozumiała, w co się zaplątała.

– Ja przecież... Z tym alibi. Ja przecież na dole otwierałam wino. Widziały mnie wszystkie.

– Wszystkie?

– Tak. Znaczy nie. Daria i Hania. Znaczy jak zesłam, to zostały na górze. Potem przyszły. Potem ja poszłam na górę, ale nie od razu, musiałam umyć kieliszek.

I wtedy Zuzia eksplodowała:

– Zwariowałyście?! – krzyknęła. – Jak możecie w ogóle mówić o mnie takie rzeczy?! Uliana, mieszkasz u mnie, jesz ze mną, gadasz ze mną i jeszcze nie zdążyłaś mnie poznać? I zdejmij wreszcie te nogi z kanapy!

Uliana posłusznie zsunęła stopy z tapicerki i spuściwszy głowę, usiadła grzecznie jak pensjonarka. Co tam się dzieje w tej ślicznej śniadej główce ozdobionej wielkimi ciemnymi ślepiami z firankami rzęs?

Zuzia rozejrzała się po twarzach koleżanek.

– Więc oświadczam uroczyście, że co prawda miałam dzisiaj ochotę Bietkę pobić, ale nie zrobiłam tego. I nie zabiłam jej.

Zabrzmiałoby to wszystko bardzo poważnie, gdyby Zuzi głos się z lekka nie płątał.

– Ile wypiałaś? – zainteresowała się Daria. – Zuzka, nie pij, czeka nas jeszcze kilka godzin przesłuchań.

– Ech – warknęła Zuzia. – Nikogo nie zabiłam, rozumiecie? W życiu bym sobie nie brudziła krwią olejowanej podłogi. Miała być bardzo odporna i łatwa w konserwacji, nie można tylko dopuszczać do silnego zabrudzenia. – I lzy pociekły jej z oczu. – Myślicie, że damy radę tu teraz mieszkać? Nawet po cyklinowaniu?

Alka już widziała, jak Zuzia tłumaczy się w ten sposób jakiemuś policyjnemu twardzielowi w skórzanej kurtce, któremu nigdy się nie trafiło czyszczenie podłogi i któremu trup w pokoju syna nie będzie śnił się po nocach.

Uliana się stropiła.

– Przepraszam. Ja tylko chciałam powiedzieć, że niezależnie od tego, co zrobisz, zawsze będziesz moją Zuzią. – I objęła Zuzię apetycznym ramieniem.

Tamta jednak od razu wyplątała się z uścisku i wysunęła dolną wargę, co działo się zawsze, gdy czuła się obrażona. Alka nagle coś skojarzyła.

– A tak w ogóle gdzie wyście łąziły? – spojrzała na Darię i Hanię. – Gdzie byliście, gdy Uliana zeszła na dół?

– Przestańcie już z tymi oskarżeniami. Wszystkie jesteśmy zdenerwowane – odezwała się Zuzia i sięgnęła po wino. Nalała sobie, po czym pod spojrzeniem Darii odsunęła kieliszek. – Żadna z nas nie jest zbrodniarką. Alka, przecież wiesz o tym. Niezależnie od tego, co tu się stało. To Hania, z którą przegadałaś niejedną wieczór. Ile razy ci poprawiała humor? Ile awantur rozładowała w zarodku? Tam stoi Daria. Nieraz z niej kpiłaś, a ona nigdy się za to na ciebie nie obrażała. A pamiętasz, ile wieczorów spędziłaś z nami w moim starym mieszkaniu? Pamiętasz, jak się zawsze razem śmiałyśmy? A Uliana... Uliana jest w porządku. Uwierz mi, nie wzięłabym do domu kogoś niegodnego zaufania. Nie, Alka, nie możemy się wzajemnie prześladować.

I jednak przysunęła sobie kieliszek z powrotem.

Pierwsza zauważyła to Daria, która ciągle spoglądała na Kalinę trochę jak na karalucha w terrarium: z obrzydzeniem, ale i swoistą fascynacją. To ona dostrzegła, że z zaciśniętej pięści Kalinki wystaje coś białego. Pociągnęła za skrawek papieru i oderwała biały trójkącik. Na skrawku widniała litera A.

– To ona umie pisać?

– E nie, chyba nie – wyjaśniła Zuzia. – Raczej po prostu naśladowuje formę graficzną tego, co widzi. – I przejechała spojrzeniem po grzbietach książek wypełniających biblioteczkę w salonie.

Kalinka wspierała się na pięściach wypełnionych tajemniczą zawartością i patrzyła w wieczność.

– Bo że umie rysować, to już wiemy – powiedziała Daria. – Rysowała przecież nas.

– Was? Chyba trochę przesadzasz – powątpiewała Zuzia.

Daria podeszła do Kaliny, a właściwie do stosu kartek, wśród których jeszcze niedawno leżał rysunek postaci z żółtymi koralikami, z czerwonymi klipsami w uszach. Teraz jednak nie dostrzegła na kartkach żadnych postaci. Wszystkie obrazki zostały zamalowane czarnymi podłużnymi plamami w kształcie sarkofagów.

– Widzisz – powiedziała z goryczą Zuzia, która stanęła za nią, patrząc na ciemne plamy. – Cóż, może i nas narysowała. W końcu wszystkie jesteśmy w czarnej dupie.

Kalinka zaczęła pojękiwać, znowu wprawiając się w ruch wahadłowy. W miarę kiwania jej dłonie rozluźniały się, zbielełe pięści rozpląszczały na podgrzewanych kafelkach, nabierały koloru. Wydawały się ogromne przy pajęczko cienkich rączkach. Kiwając się i pojękując, sunęła na tyłku do okna.

Daria uchyliła się, żeby jej przypadkiem nie musnąć, nie chciała przecież wylądować w imadłach tych palców. Tam, gdzie Kalina siedziała przedtem, została wymięta kartka. Ta, którą tak długo trzymała w dłoni. Daria podeszła i podniosła wilgotnawy, wymięty papier z oddartym rożkiem. Wzdrygnęła się. Na rysunku widniało wielkie B, otoczone znacząco wielką czerwoną aureolą. Pokazała je Zuzi.

– Boże, Kalinuś, dziecko kochane! – wykrzyknęła tamta i drgnęła, jakby chciała podejść do siostry skulonej pod drzwiami balkonowymi. Powstrzymała się jednak, schowała twarz w dłoniach.

Uliana zajrzała Darii przez ramię.

– To ma sens! – wykrzyknęła.

– Jaki niby sens?

Uliana położyła kartkę na stole, wygładziła ją, po czym przyłożyła rożek, który Daria oddarła wcześniej. Nad B w czerwieni zawisło znaczące A. W końcu ciszę przerwała Daria:

– B to Bietka. Tak to widzę. A to musi być zatem Alka.

– Bzdury gadacie. I niby co to ma znaczyć? A ten robał? – Zuzia bodnęła palcem w ogromnego czerwonego węża, konwulsyjnie zwijającego ogon pod siebie.

– Zuzka, a mnie się jednak wydaje, że nie doceniasz swojej siostry – powiedziała Daria.

Zuzia przełknęła ślinę.

– Może? – powiedziała drżącym głosem. – Mama się z nią jakoś porozumiewała. Ja nie umiem.

Zapadła pełna skrępowania cisza. Wreszcie przerwała ją Uliana, lojalna wobec Zuzki jak pies. Ciekawe, jak to jest mieć taką wierną duszę.

– Dbasz o siostrę najlepiej jak można. Wiem przecież.

Daria władowała sobie kilka oliwek do ust, cóż za elektryzujący smak, i zgarnawszy parę flamastrów, podeszła do Kaliny przypląszczonej do podłogi. Pochyliła się nad nią, zachowując jednak najwyższą ostrożność. Przez chwilę czuła, jakby zbliżyła się do kosmity: ani ciepła, ani zapachu.

– Narysuj, Kalina, co się stało tam, na górze. – Machnęła ręką w kierunku sufitu. – Narysuj, co się działo, gdy siedziałś pod łóżkiem. – I wyciągnęła do niej dłoń z flamastrami.

Kalina odwróciła wzrok od czerni za oknem. Ale nie patrzyła na Darię, raczej przez nią. Lepki wzrok przenikał cielesne powłoki, tłuszcz, flaki, jakby gdzieś w niej albo poza nią umiał znaleźć coś jeszcze. Kalina chrząknęła i odsunęła się od Darii, przesuując tyłek po podłodze. Nie miała wcale zamiaru sięgać po nic.

Wyciągnięta dłoń Darii opadła.

Nie chcę się odrywać od podłogi. Muszę mieć w życiu coś stałego.

Udaję, że mnie nie ma.

D ma w ustach oliwkę z pestką. Tylko milimetry dzielą ją od śmierci. Pestka zaraz zatka jej dziurkę do oddychania. Zamieram. Patrzę na D. Boję się. Rzucę się zaraz na nią. Wydłubię pestkę z gardła. Kiwam się jak modliszka w telewizji. Zaraz skoczę.

Pestka zaraz zatka dziurkę do oddychania.

D kaszle. Kaszle. Kaszle. Wielka S wali ją w plecy. Pestka wyskakuje na dywan.

Podsuwam się do Maksi. Wtulam nos w jej futro. Pachnie sobą. Piszczy.

– Kalina, nie duś psa – krzyczy wielka S.

Fala dźwiękowa odpycha mnie do tyłu.

– Ależ ona się fantastycznie czołga. Jakby coś ją pchało – mówi A.

A widzi więcej niż inne.

Jak my przetrwamy te minuty, kwadrans do pojawienia się policji? – zastanawiała się Alka. Miała chęć uciec z tego buzującego emocjami domu, wypełnionego agresywnymi, bliskimi samosądu kobietami. Wyjść na dwór i zaczerpnąć powietrza nieskażonego morderstwem. I najlepiej już tu nie wracać. Skulić się pod śniegiem i tak jak Bietka nie musieć już nic nigdy robić.

Zbliżała się właśnie do tego trudnego momentu, w którym wszystko i wszyscy zaczynali ją denerwować. Sztywna Daria, wpatrzona w rysunczki Kaliny, jeszcze czerwona od kaszlu. Hania, która obejmowała ją macierzyńsko. Skulona Uliana, wzdychająca jak silnik, co nie może zapalić. Zuzia przytulająca trzęsącymi się dłońmi szklanekę z alkoholem. No i Kalina z tą dziwną pustą twarzą, jakby nikt tam w środku nie mieszkał, która znowu zapisywała bazgrołami kartkę za kartką.

W pracy Alka docierała do tego etapu irytacji mniej więcej po dwóch latach, wtedy zaczynała się rozglądać za nową posadą. Tu starczyło kilka godzin i jedno morderstwo. I, jak w cholernej korporacji, nie mogła zostawić tego wszystkiego od razu. Powinna się zatem czymś zająć, żeby wytrzymać. Żeby doczekać, aż policja zmieni dynamikę tej wkurzającej grupy. Tylko czym? Sprzątaniem? Śledztwem? Jedzeniem? Piciem najchętniej. Ale może jednak śledztwem. Nie będzie siedzieć jak dupa wołowa, czekając na zmiłowanie panów w mundurach i w cywilu, którym śnieg przeszkodził w wykonywaniu obowiązków służbowych.

Poruszyła palcami, poruszyła ustami. Tak, znowu wszystko działało. Podeszła do torebki i botków Bietki, równie bezużytecznych jak jej ciało rozciągnięte na górze. Ustawiła równo buty pod ścianą (jak można chodzić na takich szcudłach?), wzięła do ręki torebkę, lakierowaną, granatową, ze złotą rączką i jakimś wymyślnym logo z przodu. Bardzo formalna torebunia na bardzo nieformalne babskie spotkanie. Alka nienawidziła wystrojonych kobiet.

– Miałyśmy nic nie ruszać, zanim przyjadą – oświadczyła kategorycznie Daria, nauczycielka, prokurator, przysłała posłanka.

Alka jednak nie zwracała na nią uwagi. Niech się kobitka przyzwyczai, że w Polsce mamy

demokrację, a nie tyranię. Zresztą Daria jeszcze nie zasiadała w Sejmie. A ona, Alka, zrobi to, co postanowiła, czyli sprawdzi, co Shazza polskiego kryminału uważała za stosowne zabrać na babskie party. Tu bowiem może się kryć odpowiedź, kto miał powód ją skrzywdzić.

Prezerwatywy (osiem). No cóż, pogratulować optymizmu. Pękata kosmetyczka. Futerał z granatowymi okularami Chanel. Reszta pań patrzyła na nią jak zahipnotyzowana, zaraz się zaczęły schodzić, sroki cholerne. Chusteczki. Książka obłożona w gazetę. Alka odchyliła okładkę. Niemożliwe. Jej powieść. Ta przedostatnia.

– Obłożyła, żeby ci nie robić reklamy. Oj, dziewczyny... – zauważyła Hania i zamilkła, bo Alka nadal grzebała w torebce.

Portfel, szczotka do włosów, szminka luzem. Nie było telefonu. W portfelu całkiem dużo kasy, karty do bankomatu, karty rabatowe, wróżba z chińskiego ciasteczka wsunięta pod przezroczysty plastik.

– „Gwiazdy są dla Ciebie w dobrym miejscu. Pojawi się tak wiele okazji, że trudno będzie Ci wyłapać te najlepsze” – przeczytała głośno Alka.

I nagle Daria zerwała się z kanapy. Wyrwała Alce torebkę, aż rzeczy posypały się na podłogę.

– To nie jest zabawa. To jest zabójstwo. A skoro powiedzieli, żeby nie ruszać, to lepiej nie ruszać.

Daria pozbierała pieczołowicie rzeczy Bietki, przez co, jak pomyślała Alka, na każdej z nich zostawiła stempelki swoich palców, włożyła je do torebki, a torebkę położyła na półce w przedpokoju, tej nad wieszakiem.

– Nie pijcie więcej, bo się zachowujecie... Zachowujecie się dziwnie. Niewłaściwie. A ty, Alka, zachowujesz się najbardziej niewłaściwie. Może nie ma w tym nic dziwnego, że Kalina umieściła cię na swoim rysunku.

– Ale przecież... – zaczęła tonem negocjacyjnym Zuzia. – Daria, nie możesz... Przecież Alka nie... Chyba nie...

Mam was dość, pomyślała Alka. Bez słowa skierowała się do schodów.

– Dokąd idziesz?

Nie odpowiedziała.

Spod drzwi pokoju Ignacego przeciskała się smuga światła. Alka jak najciszej nacisnęła klamkę. Stała w progu i przywołała w pamięci obraz, jaki zastała tu (spojrzała na komórkę) czterdzieści już minut temu. Patrzyła uważnie, starając się nie pomijać wzrokiem łóżka z tragiczną zawartością, ale też nie skupiać się na nim. Co mówił jej ten pokój? Martwa Bietka z podciętym gardłem okryta kocem. Z głową, jak dziecko bojące się koszarów. Czule? Strachliwie? Z obrzydzeniem?

I nagle coś zauważyła. Poprzednio to przegapiła mimo jadowicie żółtego koloru. Może dlatego że niewiele żółci prześwitywało spod czerwonego, brunatniejącego rzuciku. Szmata? Taka z troczkami, lśniaca. Alka widziała ją już przedtem. Na dole, na wieszaku w kuchni. Żółty kuchenny fartuch pokryty plastikiem. Ktoś odział się w fartuch, by zaszlachtować Bietkę, lecz nie zachłapać się krwią. Potem rzucił go w kąt. A więc nie była to zbrodnia w afekcie, lecz z premedytacją, premedytacją trwającą przynajmniej tyle, by zdążyć przynieść z dołu żółty fartuch i nóż, ten do przyrządzenia tataru.

Ktoś odziany w kuchenny fartuch z zimną krwią poderżnął Bietce gardło. Zbrodnia kuchenna, choć ofiarami takich padali raczej mężczyźni. Zbrodnia kuchenna dokonana na kobiecie przez kobietę.

Plus minus, jak w powieściach Alki. Na ten temat też zdążyły się dzisiaj z Bietką ścierać.

– Znowu piszesz kolejną książkę o twardym komisarzu z nałogami, który ściga przemysłowego mordercę, który również jest facetem? – prowokowała Alka, choć niby nad kieliszkiem ogłosiły z Bietką zawieszenie broni. – A ofiarą jest znowu jakaś biedna dziewczyna? Piękna i bezbronna?

Bietka na to, że statystyki mówią o ponad dziewięćdziesięciu procentach zabójstw dokonanych przez mężczyzn. I że ona trzyma się twardej danych, zdobywanych w pocie czoła podczas researchu, a nie nadrabia braków wiedzy wymyślaniami.

Alka od razu zaatakowała, że trzymanie się faktów to nuda, koleżanko, nuda, i dobre do gazety, a nie do książki. A poza tym kultura od wieków tłumiła agresję w kobietach, ale ona jest, buzuje, i najciekawiej zastanawiać się, kiedy się uwolni. Najciekawiej tworzyć rzeczywistość, a nie ją biernie naśladować.

Bietka odparowała, że to futurologia i tylko z grzeczności nie nazywa jej bzdurą. Kobieta może być ofiarą lub przyczyną zbrodni, a sprawczynią na tyle rzadko, że powstają na ten temat reportaże, nieliczne zresztą.

Akurat, zdenerwowała się Alka. Niejedną nękana latami przez męża kobieta w końcu nie wytrzymała i wbiła prześladowcy nóż w brzuch czy w gardło.

– Zbrodnie kuchenne? – zaśmiała się wtedy Bietka. – A co w nich ciekawego? Ja, kiedy robię research, znajduję naprawdę fajne historie. Życie pisze najlepsze scenariusze, a dobra dokumentacja jest sto razy ciekawsza dla czytelnika od kiepskich wymysłów.

Mówiły coraz głośniej. Alka, że na szczęście starcza jej wyobraźni, żeby snuć własne historie, a nie popełniać plagiat z rzeczywistości. Bietka, że wyobraźnia wyobraźnią, ale skoro ktoś w ogóle nie wykonuje dokumentacji, jak Alka, to głównym motorem jest tu raczej lenistwo. I tak sobie przygadywały, czemu przysłuchiwały się Daria, siedząc sztywno na kanapie i sącząc colę, oraz Uliana, która, irytująca w swym wazeliniarstwie, starała się nie zaśmiać, żeby żadnej się nie narazić.

Ta rozmowa odbyła się może ze dwie godziny temu.

– A nie mówiłam? – stwierdziła Alka półgłosem. – Kobiety też zabijają, koleżanko.

Jakież to było głupie gadać do trupa.

Nie wolno wpaść w panikę. W histerię też nie wolno.

Sytuacja wygląda tak, podsumowywała Alka, bo wszak tym właśnie była, prawdziwą królową literackich podsumowań. Zawsze można być prawdziwą królową czegoś. Więc sytuacja wygląda tak: w nowym domu, zbudowanym gdzieś na zadupiu wszechświata, odbywa się parapetówka. Ma się na niej pojawić mnóstwo dziewczyn, które w pewnym wieku wolą bawić się same. Mogą bowiem wtedy rozluźniać paski, świntuszyć, narzekać na brak libido i na mężczyzn. Więc mają pojawić się na niej same dziewczyny, ale z powodu pogody dociera ich tylko pięć, razem z gospodynią i jej niepełnosprawną siostrą jest ich zatem siedem. Dobra liczba, taka bajkowa. Ale w ciągu kilku godzin ulega zmniejszeniu do sześciu, a do tego któraś z tych sześciu musi być tego zmniejszenia przyczyną. Do domu wydzwania również jakiś facio o niskim głosie, który komplikuje akcję, ale jeśli nie ma peleryny niewidki, to raczej znajduje się gdzieś w odległości nienaruszonego prześcieradła śniegu. Zabiła więc któraś z nich. Która?

Która z nich miała sposobność wydostać z kuchni nóż i fartuch, po czym zwabić Bietkę do pokoju Ignacego? A potem jeszcze zmusić ją, by się położyła?

Alka rzuciła okiem w tamtą stronę. Plamy krwi wyglądały tak, że właściwie Bietka w momencie śmierci mogła również siedzieć. Siedziała czy leżała? To podstawowe pytanie, bo mówiło o relacji łączącej Bietkę z zabójczynią. Któraś z nich musiała mieć jakieś wystarczająco silne argumenty, by zwabić Bietkę na łóżko, wyciągnąć nóż (skąd? zza pleców? zza paska?)

i stojąc z tyłu, przejechać nim po pełnej zaufania szyi Bietki (z tyłu, bo inaczej za bardzo by się schlapała), a potem ułożyć ją (sikała jeszcze wtedy krwią czy nie?) równo na materacu i przykryć z głową. Z twarzą.

Alka wyszła z pokoju, oparła się o drzwi, opadła na podłogę. Wyciągnęła przed siebie stopy. W lewej skarpetce miała dziurkę.

Kto miał powód, by zabić Bietkę?

Zuzia, to na pewno. Rozwścieczona locha broniąca młodych. Młodego. Rozwścieczona słodka pluszowa locha, która usunęła rywalkę do serca syna. Usunęła potwora, który zbrukał dwa razy młodszego od siebie chłopca. Tak, Zuzia mogłaby zabić w obronie swojego dziecka.

Ale Zuzia? Serdeczna, szczerza, przytulna Zuzia? Nieprawdopodobne. Gdyby Alka miała obstawiać, kto wykończył Bietkę, zagłosowałaby raczej na Darię. Dlaczego? Bo Alka nie ufała politykom. A już politykom prawniczym nie ufała wyjątkowo. Nawet takim *in spe*. Zwłaszcza gdy przemawiają prokuratorskim tonem. I mają włochate nogi.

Zaraz, zaraz, ta ostatnia myśl była wybitnie seksistowska, godna właśnie jakiegoś prawnicowca. Bo, według popularnej propagandy, to na ogół feministki nie golą nóg. Daria, niby stereotypowa, ale zupełnie się z tego stereotypu wyłamywała. I Alka, nieoczekiwanie, poczuła do niej nutę sympatii, do tego mieszańca, niedostosowańca, do tej ideowej pańci. Czy taka osoba mogła zabić? Dla idei. Dla idei tak. Ale jakąż to idea miałaby kazać mordować drugiego człowieka? Nawet tak irytującego jak Bietka? Brakowało motywu. Zresztą Daria za bardzo była przywiązana do myśli o karierze politycznej. Przecież gdyby wyszło na jaw, że to ona zabiła, mogłaby już na zawsze zapomnieć o polityce.

Nie, to nie Daria.

Więc może jednak Hania? Opiekunka. Wsparcie. Ten jej wiekowy mąż umarł kilka miesięcy temu, jakoś późną jesienią, wszystkie były na pogrzebie. Hania po tej jego śmierci znacznie złagodniała. Twarz jej się wygładziła, sylwetka wyprostowała. Może jakaś życzliwa siła z góry, nazwijmy ją Bogiem, chciała wynagrodzić Hani wierność przykazaniom i uprzejmie pozbawiła ją kuli u nogi, żeby jeszcze zaznała nieco radości w życiu? No więc jaki Hania miałaby mieć motyw, by pozbywać się Bietki? Może chciała ochronić syna Zuzi przed zakusami podrywaczki? Ale przecież nie w ten sposób. Hania nie wyciągałaby noża, raczej przeprowadziłaby ze wszystkimi umoralniające rozmowy, które, o dziwo, okazałyby się skuteczne. Jak zawsze.

Nie, to nie Hania.

Uliana? Może to ona chciała ochronić swoją mentorkę i jej syna? Uliana z obcej ziemi, mówiąca z obcym akcentem, która przyjechała do Polski popracować, a tak naprawdę – jak podejrzewała Alka – dobrze wyjść za mąż i jakoś się ustawić w życiu. Ta umie planować, umie wyczekać, umie się powściągnąć, by coś otrzymać. Szybko stała się niezbędną w rodzinie, a więc jest chętna i inteligentna. Tylko po co miałaby zabijać? Zresztą gdyby zabójstwo wyszło na jaw, zaraz by ją deportowali, a ukraińskie więzienia muszą być jeszcze gorsze niż polskie.

Nie, to nie Uliana.

Kto zostaje? Kalina. Nieobliczalna Kalina o dłoniach jak imadła, która zostawiła na łydkach Hani sine ślady. Tak, ona mogła wyczuć gniew Zuzi i zaatakować w obronie siostry. A potem, przestraszona tym, co zrobiła, schowała się pod łóżkiem, na którym wykrwawiała się jej ofiara. Ale musiałyby zabrać z kuchni żółty fartuch, a po wszystkim jeszcze schować gdzieś nóż! I ukryć się pod łóżkiem dla zagmatwania sytuacji.

Nie, to nie Kalina.

W takim razie zostaje ona, Alka. I pewnie do podobnego wniosku dojdzie policja. Miała

motyw: zazdrość. Miała sposobność. Policja też szybko na to wpadnie. A potem będzie maglować je wszystkie, aż dojdzie do jakichś ustaleń, niekoniecznie prawdziwych. Wystarczą im przecież prawdopodobne. Skażą ją, zamkną sprawę, wytrą ręce w spodnie i pochwalą się wykrywalnością w statystykach.

Alka znowu zaczęła dygotać. Przerzucała w pamięci coraz bardziej pijane kwadransy tej imprezy. Dziewczyny kręciły się po domu, łąziły to na górę, to na dół, wrzeszczały, dyskutowały, jak to na damskich spotkaniach. Alka nie była w stanie ustalić, która mogła zajrzeć na chwilę do kuchni, a potem wykorzystać drugą chwilę na szybkie zabójstwo. Takie dwie chwile łatwo było gdzieś zmieścić w tym całym zamieszaniu. Nawet Zuzia, nawet w sumie Zuzia, zostawiona na kilka minut sama w łazience, dałaby radę. W końcu ani od kuchni, ani od pokoju Ignacego nie dzieliły jej kilometry.

Cholerny kryminał Agathy Christie, cholerna struktura cholernego zamkniętego pokoju, gdzie zabić musiał ktoś z obecnych, a na nieszczęście brak kamerdynera. Narastająca atmosfera wzajemnych podejrzeń na przemian z duszną nutą paniki.

A gdybym teraz wyszła z domu? – zastanowiła się Alka. Buty miała dobre, jakoś przez te zaspas doczłapie do głównej drogi, byle dalej stąd, tam już przecież coś złapie.

No tak, zwieje i z miejsca potwierdzi, że jest główną podejrzaną. Zazdrosną o powodzenie konkurentki przyjaciółeczką pisareczką.

Myśl, dziewczyno, myśl. Trudno jednak było się skupić, łóżko z Bietką dyrygowało rzeczywistością jak odpływ wodą w wannie.

Myśl.

W całym swoim życiu przeczytała tysiące kryminałów i obejrzała ich setki. Niestety, ze wszystkich metod śledczych, z którymi miała do czynienia, mogła w tej sytuacji zastosować tylko jedną. Metodę Dale'a Coopera z *Miasteczka Twin Peaks*, który też w pewnym momencie nie miał pojęcia, za który sznurek pociągnąć, mimo że był agentem FBI. Otóż agent Cooper zufała intuicji i powtarzał nazwiska ewentualnych podejrzanych, rzucając kamyczkami do butelki. Po czym obciążył podejrzeniami tę osobę, przy której nazwisku butelka się stłukła. Czy podejrzenie okazało się słuszne? Alka już nie pamiętała.

Kamyczków tu nie było, raczej nie, choć w łazience mogły się kryć jakieś pachnące ozdóbki. Kryły się tam też zapewne jakieś buteleczki.

Co za bzdura! Kurde, położyć się, nakryć z głową i samej również odpłynąć w miejsce, gdzie kończą się wszelkie kłopoty. Te chętki jej terapeutka nazywała depresyjnymi myślami samobójczymi, choć przecież Alka wiedziała, że każdy średnio wrażliwy człowiek miewa je parę razy w miesiącu. I co, może cały świat ma depresję?! Nie, to życie jest tak cholernie trudne i smutne. Tego się nie leczy. To należy przetrwać.

Butelka. I pachnące kamyczki z wypasionej łazienki. Niech rzeczywistość da jej jakąś wskazówkę.

Alka wyjęła kamyczek z butelki, pozbierała te, które do niej nie trafiły.

Wyszło coś przedziwnego. Wynik dobitnie wstrzeliwał się w to, co sama mogłaby obstawiać jako autorka kryminałów: zabójcą jest zawsze osoba najmniej podejrzana. Ta pozornie bez motywu. Ta pozornie niezainteresowana.

Uliana.

Pierwszy pokój w korytarzu po prawej – puściusieńki, pełen zasmarowanych kartek. Tu spiała Kalina. Zaraz za nim łazienka i pokój Uliany. Potem kolejna łazienka. Na końcu pokój

Ignacego, w którym spoczywała snem wiecznym Bietka, i ostatnia łazienka. Zuzia z mężem musieli się znacznie wykosztować na sedesy, armatury i glazurę.

Więc wchodzimy do pokoju Ukrainki.

Przytulny, jakby Zuzia urządziła królestwo córce, której nigdy nie miała. Przytulny, ale i niekosztowny – białe łóżko z szufladami – Ikea, kapa na nim – również Ikea. Tak jak i plakat nad łóżkiem, szafka nocna, komódka, wszystko z rustykalnej serii Hemnes. W reszcie mieszkania stały meble na oko o wiele droższe. Nieduży telewizor na ścianie. Ciuchy, głównie sportowe, jakieś podkoszulki, bluzy, dresy, dwa koronkowe staniki, trochę za drogie jak na te okoliczności, więc może takie, z których wyrosła Zuzia, o czym mogły również świadczyć ich kolory, pastelowy błękit i róż godny Barbie. Biedna Zuzia. Takich dużych staników, jakie musi nosić, od kiedy przytyła, nie produkują w pastelach, lecz w bielach, cielistościach, ewentualnie w czerniach. Kokieteria nie przystoi powyżej pewnej liczby kilogramów. Dużo bluzek na ramiączka, pewnie mają czekać na lato. Uliana widać optymistycznie zakładała, że utrzyma się w Polsce przynajmniej przez kilka miesięcy. *Carrie* Stephena Kinga, jakieś stare wydanie, pewnie wyciągnięte z którejś z półek na dole. Polskie tłumaczenie, dziewczyna zatem podchodziła do życia ambitnie. Albo lubiła horrory. Zapisane papiery, stosik poskładanych na pół kartek A4 z pajęczynami Kaliny po jednej stronie i z notatkami po drugiej. Alka pochyliła się nad ciasno upchanymi słowami. Nie знаła ukraińskiego, ale przecież kiedyś uczyła się rosyjskiego.

Ten dziwny zawijas powtarzał się po wielekroć. To chyba Z, a więc Zuzia. Inicjał U mógł oznaczać Ulianę. Byłoby jednak dziwne, gdyby pisała o sobie w trzeciej osobie. Zaraz, zaraz, czy ukraińskiego U nie wymawia się jak polskiego I? A zatem Ignacy.

Alka prawie nie usłyszała szybkich kroków po schodach. Gdy zorientowała się, że ktoś naciska kłamkę, było już za późno. W progu stała Uliana. Patrzyła na nią szeroko rozwartymi oczami.

– Ja... Ja tylko... – plątała się Alka, bo przecież nie będzie się tłumaczyć przy pomocy agenta Coopera i butelki.

Uliana nic nie mówiła. Patrzyła. Twarz miała papierową, bez wyrazu. Alka wstała, złożyła kartki na jej łóżku i wyszła. Jeszcze w drzwiach przystanąła, popatrzyła na pootwierane szuflady, uchyloną szafę, pokręciła głową, ale twarz Uliany ani drgnęła. Wstyd. Jak mogłam.

Zaraz jednak weszła za kolejne drzwi, do pustego schronienia Kaliny. Położyła się na łóżku, okryła narzutą, z głową. Wstyd piłował w brzuchu tępą piłą. I nagle grzmotnęła w coś stopami. Zerwała się w potwornym *déjà vu*.

W nogach łóżka leżał zamknięty laptop, mrugający złowieszczo pomarańczowym światełkiem. Alka podniosła pokrywę, ekran się rozświecił. Jej dzieciom też się nie chciało wyłączać komputera między użyciami, ale chyba to nie Kalina przeglądała Ignacowy profil na portalu społecznościowym? Szafirowa ramka, Ignacy Mościk, twarz w połowie zakryta kaczym dziobem, w rozkroku między dystansem do siebie a kompleksami. Na profilu nic ciekawego, Ignacy nie pisał tam nic osobistego, wyrażał tylko radość z jakichś nowych gier, linkował piosenki, artykuły i memy, z tych bardziej inteligentnych i złośliwych, unikając jednak ściśle politycznych. Widać było, że młody życie prowadzi gdzie indziej. W łóżku Bietki zapewne.

Dziewiętnastolatek i trzydziestodzieściolatek. Libido mieli wyrównane, a i umiejętności po jakimś czasie również. Sytuacja idealna, choć Alka nie umiała sobie wyobrazić siebie w łóżku z nawet najprzystojniejszym nastolatkiem. Prędeż w rozmowie, choć pewnie szybko zaczęłyby go pouczać – oni wszyscy byli strasznie naiwni. Dzieciaki. Co z tego, że już mogli głosować.

Gdyby to zresztą od niej zależało, prawo wyborcze przysługiwałoby najwcześniej od lat dwudziestu pięciu. Jeśli nie od trzydziestu.

Przewijała powoli, żeby zrozumieć, kto i po co zaglądał na profil Ignaca, ale trudno było to pojąć. Doszła aż do sierpnia. A tam przebieranki na rocznicę powstania – młody fotografował się w powstańczym rynsztunku i z biało-czerwoną opaską na rękawie, na niektórych zdjęciach przytulając dziewczęta, również z opaskami. Niewinna rozrywka pokolenia nieznającego wojny. Alka nie miała pojęcia, że Ignacy, niegdyś przyszczaty, a teraz całkiem przystojny, lubi bawić się w powstanie warszawskie. Przystojni chłopcy w koszulkach z dziewczętami w kwiecistych sukienkach, bandaże na fałszywych ranach, broń (fałszywa?) w dłoniach, zabawa w walkę, zabawa w umieranie. Niektórzy nazywali to patriotyzmem.

To była najciekawsza rzecz na profilu Ignacego.

A może znajdę coś w wiadomościach prywatnych? Cóż. Nic ciekawego. Imprezy, fajki, buchty.

„Kino może?”

„Nie, bo z ojcem na narty jadę”.

„Tylko nie zdemoralizuj staruszka”, takie tam bzdury.

I wreszcie jest! Informacja od Bietki:

„Dziś po osiemnastej, powiedz, że masz imprezę, i zostań do rana”.

Krótko i konkretnie, zupełnie inaczej niż w pokrętnych zagadywaniach rówieśniczek. Dalej znowu jakieś młodzieńcze śmiecie, przerzucanie się zdaniem. Jak oni dziwnie piszą, zadumała się Alka. Gdy przeglądała maile i esemesy swoich dzieci, miała nadzieję, że z tego się wyrasta, ale nie, dziewiętnastoletni Ignacy nadal produkował mało gramatyczny i zupełnie nieortograficzny bełkot. Wyławianie z tego sensu przypominało wyławianie widelcem śliskich klusek z garnka mętnego wrzątku. To z kimś takim sypiała Bietka? Cóż, pewnie jednak lepiej sypiać, niż rozmawiać.

Alka już miała zamknąć laptop, gdy nagle kolejna z prywatnych wiadomości przykuła jej uwagę. Opowieść o pomocy domowej. Seksownej słudze, jak ją nazywał Ignacy w liściku do kolegi. Że łązi w bieliźnie, niby ma swoją łazienkę, ale łązi, trudno się skupić, gdy wiadomo, że ona siedzi półnaga tuż za ścianą. I że kiedyś były świetne czasy, bo wszyscy chłopcy posuwali pomoce domowe, a tu, po pierwsze, byłoby niepatriotycznie, a po drugie, pewnie wygadałaby matce. Ale gdy kolejnego dnia kolega nawiązał do tego posuwania, że pewnie dlatego Ignacy spóźnia się na zajęcia, Ignacy się oburzył. Żeby nie pisać tak o Ulianie, bo on właśnie z nią rozmawia. I ogląda jej zdjęcia z Ukrainy, zdjęcia z prawdziwej wojny.

„Znowu cię nie ma. Siedzisz z seksowną sługą?” – pytał Ignacego kumpel następnego dnia.

„Odpierdol się od Uliany” – odpowiedział nowo narodzony rycerz Ignacy. „To porządna, dzielna dziewczyna”.

Na ten patos kolega zamilkł, a Alka westchnęła. Tak, Ignacego z Ulianą musiała połączyć wojna. Jej – prawdziwa, jego – udawana. Chłopiec, który bawił się w sztuczne rany i pozował z bronią, zachwycił się prawdziwymi przeżyciami.

Co robili razem przez całe poranki? Gdzie była wtedy Zuzia? Kto zajmował się Kaliną? Uliano, ty wielka zagadko. Słodka zagadeczko z Ukrainy. Naprawdę kochasz się w synu chlebobawczyń?

Alka zamknęła laptop. Na klawiaturze zostaną odciski jej palców. Głupia. Głupia, ale przecież jakoś się wytłumaczy. Jakież to wszystko pokręcone! Mało interesujący niegdyś Ignacy wyrastał na najbardziej pożądane trofeum w tym domu. Bietka, Uliana... Ciało Bietki akurat w jego

pokoju? Może to nie przypadek?

Krok za krokiem do schodów i na dół. Zlazła. Stała w progu salonu, ciepłego, pachnącego cynamonowo-pomarańczowym nawianaczem oraz stężoną kobiecością. Czy Uliana wygląda na osobę, która godzinę temu kogoś zabiła? Zarumieniona, owinięta po szyję w koc gapiła się w ogień w kominku.

Miała sposobność, przecież ciągle kręciła się między parterem a piętrem. Miała motyw, bo podobał się jej Ignacy, którego sprzed nosa sprzątnęła jej Bietka. No i kto wie, czy nie miała wprawy. Wojna na Ukrainie mogła zostawić naprawdę głębokie blizny.

Uliana była wściekła, wściekła, wściekła! I bezsilna. Bo co miała zrobić? Poskarżyć się Zuzi? A może policji, kiedy ta się wreszcie pojawi? Tylko kto będzie słuchał Ukrainki? Przeczuwała, że coś takiego może się zdarzyć. Dlatego na początku, kiedy tylko się sprowadziła, spytała Zuzię o klucz do pokoju.

– Nie będzie ci potrzebny. Nie zamykamy się przed sobą – odpowiedziała Zuzia ciepło, jak to ona. – W tej rodzinie sobie ufamy.

Cóż. W rodzinie może tak. Tyle że teraz niby sobie tu siedziały razem, na równych prawach dzieliły jedzenie, picie, słowa i niepokoje, a potem napompowana agresją Alka przetrząsnęła jej pokój. Czy wlaźłaby tak do pokoju Zuzi? A skąd. Ale do pokoju Ukrainki każdy ma prawo wejść. Przeszukać. Sługa–pani – jasny układ, który rozciągał się również na koleżanki Zuzi. Ukrainka = nie nasza = główna podejrzana = szukamy dowodów.

Czy gniewna pani byłaby w stanie przeczytać notatki po ukraińsku? Powinnam je palić zaraz po napisaniu, gryzła się Uliana. Od razu drzeć na drobne kawałeczki, wrzucać do sedesu i spuszczać wodę po tych moich splątanych emocjach, zupełnie zbędnych u służki. I po niepewności, i po strachu, że mnie wyrzucą, bo się nie sprawdzę. A przede wszystkim po tęsknocie za beztroską, której namiastkę miała, gawędząc przy śniadaniu z Ignacym, gdy Zuzi zdarzało się wyjść z domu na pilatesy czy ultrasonograficzne rozbijanie tłuszczu w talii.

Ignacy, który początkowo strasznie się spieszył na zajęcia, potem się rozluźniał, rozsiadał, gawędził. Z nią, Ulianą.

– Właśnie mam fakultet. Właśnie mam ekonomię – kwitował upływający czas i włączał ekspres, by zrobić im kolejne cappuccino. A Uliana uwielbiała cappuccino, choć w życiu nie odważyłaby się dotknąć ekspresu, żeby go nie popsuć.

To były miłe wspomnienia. Ignacy, buczenie ekspresu, a do tego spokojne stukanie z góry, bo wyciszona Kalina potrafiła godzinami pukać sobie w stolik czy w podłogę i kiedy się tym zajmowała, wiadomo było, że nic się z nią złego nie dzieje.

Ale nie o tych drobnych radościach pisała Uliana na luźnych kartkach, które podbierała Kalinie. Pisała głównie o tym, czym nie chciała truć matki, lecz co musiała z siebie wylać. Powoli bowiem zniknęło zadowolenie, że znalazła się w ziemi obiecanej. Naprawdę obiecane byłyby raczej Anglia albo Niemcy, ale to za duża różnica w geografii i języku. Zresztą w Polsce mieszkała przecież mama. Tyle że tutaj powoli zniknęła nadzieja na szybką odmianę losu, na jakąkolwiek odmianę. Uliana czuła, że po każdym kroku w przód robi jeden w bok i jeden do tyłu. Nic się nie mogło zmienić, gdy tkwiła w domu na końcu świata, opiekując się tą biedną dziewczyną. Mogła najwyżej przytyć, gdyby jadła wszystkie ciastka, którymi częstowała ją Zuzia. Mogła sobie podciąć żyły. Mogła kogoś poznać.

Zuzia powtarzała jej przy tych ciastkach, że życie na pewno uśmiechnie się do młodej dziewczyny ze wschodnim zaśpiewem w głosie, ponoć seksownym, i sprawnymi wszystkimi mięśniami, łącznie z mięśniem Kegla, tym istotnym przy uprawianiu seksu. Uliana ćwiczyła go

codziennie przy oddawaniu moczu, wstrzymując co chwila strumień. Tego pożytecznego zwyczaju też nauczyła ją Zuzia, bo przecież nie matka. Choć Zuzi chyba ów miesiąc wiele nie pomógł, bo z tego, co widziała Uliana, z mężem spotykała się częściej przy stole niż w łóżku.

Zuzia więc była pewna, że życie kiedyś uśmiechnie się do młodej, atrakcyjnej dziewczyny o pogodnym usposobieniu. Do dziewczyny, która potrafiłaby uprzyjemnić drugą, a nawet i trzecią młodość. Taki to uśmiech Zuzia miała na myśli, a i Uliana potakiwała wtedy grzecznie, że o niczym innym nie marzy, niż uprzyjemnić trzecią młodość jakiemuś polskiemu brzuchaczowi. Nie od razu, wiadomo, tylko w bliżej nieokreślonej przyszłości. Bo przecież na razie Uliana miała zajmować się Kaliną. Jak najdłużej.

Tyle że Uliana nie była w stanie zmusić się do marzeń o takiej właśnie odmianie losu. Co zrobić, nie lubiła dojrzałych ciał, a już zwłaszcza nie lubiła przejrzałych dusz. Dość się napatrzyła na przyjęciach u Zuzi na puszenie się panów w średnim wieku. Perswadowała sobie, tłumaczyła, nic jednak nie była w stanie poradzić na to, że przy wszystkich bogactwach kandydata na kandydata, niezależnie od tego, czy przyjechał tu porsche, czy bmw, to gładka skóra, niezużyty jeszcze zapach, gęste włosy plasowały się na szczycie listy. I zastąpić tego nie mogły Ulianie żadne pieniądze, żadne czerwone kabriolety. Tak, podobali jej się młodzi, młode chłopaczki, niekiedy nawet młodsze od niej, o niepokalanych ciałach i otwartych umysłach, które na razie niczego nie musiały udowadniać światu. A już najbardziej podobał się jej uśmiechnięty, życzliwy Ignacy, ciekawy jej opowieści, częstujący ją kawą i podziwiający wyzwoleńczą ukraińską historię, dla niej pełną mrozu, strachu i smrodu, dla niego – romantyzmu. Nieraz dopytywał się podniecony, czy ona też strzelała. Naiwność tego pytania w pełni rekompensowała biel zębów, które pokazywał w nieśmiałym uśmiechu.

Ignacy wydawał się odpowiedzią na jej modlitwy i czymś najlepszym w obecnym życiu. Uliana myślała o nim coraz poważniej od momentu, gdy po raz pierwszy zobaczyła, jak wychodzi spod prysznic, z lśniącym gładkim torsem, biodrami owiniętymi króciutkim ręczniczkiem, mokrymi włosami i pałającymi oczami, które w nią wlepił. Gdyby wtedy do niego podeszła, wzięłby ją, niezależnie od tego, co wcześniej robił pod prysznicem. Była pewna.

Nie podeszła.

Ale weszła do jego łazienki, gdzie starła dłonią wodę z brodzika, a potem przyłożyła mokrą dłoń do twarzy, po czym sama się zawstydziła, co robi. Spojrzała na siebie surowo w lustrze, narysowała na nim palcem serduszko, po czym długo pucowała szkło, żeby zetrzeć ślady, z pilnością zapewne większą, niż kiedykolwiek czyściła cudze lustro jej matka.

Uliana wchodziła często do jego pokoju, gdy Zuzia myślała, że siedzi z Kaliną. Wąchała poduszkę, oglądała zdjęcia i śledziła tajemnice na Facebooku. I w ten właśnie sposób dowiedziała się, że na związek z Ignacym szanse na razie ma niewielkie. Bo może jej polski czytany nie był jeszcze wybitny, ale na tyle rozbudowany, by się domyśliła, co jest grane między Ignacym a Bietką. Cóż, nie zdziwiło jej, że taki chłopak kogoś ma, chociaż zdziwiło ją, że ma kogoś takiego jak Bietka. Facebook wprawdzie nie mówił dokładnie, ile owa Bietka ma lat, ale wzięwszy wszystko do kupy, na niektórych zdjęciach nie wyglądała na mniej niż trzydzieści pięć, choć ubierała się i czesała tak, żeby sprawiać wrażenie dziewczynki.

W pierwszym odruchu Uliana chciała biec do Zuzi, żeby ratować Ignacego z objęć tej kobiety. Ale nie pobiegła. Z paru powodów. Po pierwsze: rzecz trwała już od jakiegoś czasu i z powodu różnicy wieku nie mogła trwać wiecznie. Po drugie: gdyby Zuzia się dowiedziała o tym romansie, od razu odciąłaby młodego od łóżka kochanki. A takie brutalne cięcie spowodowałoby, że rzecz zyskałaby urok zakazanego owocu oraz nową dynamikę. Nie, lepiej było czekać

cierpliwie, aż gęste paliwo między nimi wypali się samo.

Uliana więc czekała. Miała czas. I była blisko. Mogła pokazywać się Ignacemu w koszulkach na ramiączkach (może nogi miała takie sobie, ale ramiona naprawdę ładne), przesiadywać godzinami przy cappuccino, opowiadać mu o prawdziwej wojnie to, co chciał usłyszeć. I udawać, że nie widzi jego zarumienionej twarzy, błyszczących oczu, gdy wracał późno do domu. Zakochała się? Nie dopuściłaby do tego. Z kochania blisko do rozpacz, za blisko. Ale lubiła tego ślicznego dzieciaka. Naprawdę lubiła. I współczuła mu, martwiła się, że wpadł w łakome palce tej pani, którą często widywała w telewizji czy na kartkach kobiecych pism czytanych przez Zuzię. Starsza, ale sławna. Twarz dziewczynki, rzęsy lalki, lecz twardość w oczach. Tak, to musi potrwać jakiś czas – myślała Uliana i odziewała się do śniadania w kolejną koszulkę bez rękawów. Muszę być cierpliwa. Wytrzymam.

Aż tu nagle dzisiejszego wieczoru Bietka przestała stanowić problem. Zbicie jednego pionka znacznie zmieniło rozkład sił na szachownicy.

Wszystko się jeszcze ułoży. Krok do przodu, jeden w bok, jeden do tyłu.

Uliana zamknęła oczy. Między innymi dlatego by nie patrzeć na panią Alkę, która zgwałciła jej pokój, naruszyła jej prywatność. Czy Alka była w stanie coś wyczytać z jej notatek? Nie, na pewno nie. Przecież bazgrzę jak kura pazurem, tak mawiała matka.

– Herbaty zrobić? – spytała.

Pytanie trwało zawieszony w ciszy, ale i tak wstała, nalała wody, pstryknęła przycisk czajnika.

– Zaraz wracam – dodała, jakby ktokolwiek się tym interesował.

Wdrapała się na schody, starając się nie myśleć o tym, co leży w ostatnim pokoju po prawej. Weszła do siebie, wyciągnęła swoje notatki, które po rewizji przeprowadzonej przez Alkę wepchnęła byle jak do szafki, i poszła z nimi do łazienki. Stała nad sedesem i zaczęła drzeć na małe kawałki. Jak to się nazywało? Lubiła zapamiętywać takie dziwne słowa. Confetti. Więc darła swoje uczucia na confetti.

Czas wracać, parzyć herbatę i być pogodną dziewczyną, jaką każdy chce mieć u siebie w domu.

Może policja wyciągnie z tego splątanego kłębaka jakąś nić, pomyślała Alka i dołała sobie wina. Jezu. Niech to wreszcie się skończy. Uliana poszła pewnie do siebie porachować straty. Gdyby można było cofnąć czas, Alka wymazałaby ze swojej biografii przeszukiwanie pokoju Ukrainki. Wstyd, naprawdę wstyd. Zresztą ta rewizja była niepotrzebna. I tak przecież Alka dowiedziała się wszystkiego z laptopa.

Czy Uliana flirtowała z Ignacym? Prawdopodobnie. W klasycznym układzie: panicz i pomoc domowa. Jak u Dulskiej. I jak u Dulskiej pojawiała się w tle starsza seksowna cioteczka. Bietka.

Ale to jeszcze nic nie znaczyło. Nie stanowiło motywu. Mogło być bardzo niewinne. I pewnie było.

Alka znowu ruszyła w stronę schodów. Drzwi do pokoju Uliany uchylone, w środku ciemno. Smuga światła spod drzwi jej łazienki. Alka zapukała. Chrząknięcie. Zapewne odmowne. Weszła.

Tamta spuściła wodę i schowała coś za sobą.

– To było niedopuszczalne nadużycie – ukorzyła się Alka. I zaraz przetłumaczyła na bardziej zrozumiałą polszczyznę: – Przepraszam. Strasznie przepraszam, że ci przeszukałam pokój. Ale tych twoich notatek nie przeczytałam.

Spojrzenie Uliany. Tak, nie była głupia, więc nie powiedziała ani słowa o tym, że Alka na

pewno próbowała.

– Wiesz co? Ja też kiedyś pracowałam jako pomoc domowa. W Londynie. Sprzątałam. Znam ten ból, naprawdę. I tym bardziej mi przykro, że zrobiłam ci coś takiego.

Błysk zainteresowania.

– Znam tę samotność – ciągnęła Alka – brak perspektyw, nieustanną niepewność, poniżenia. Pamiętam, jak rozpląszczały mi się bruzdy na mózgu od tych durnych zajęć. No, jak głupiałam. Ale jak widzisz, los się odwrócił. Zarobiłam na wkład kredytowy na moje pierwsze mieszkanie i wróciłam. Uliana, jeszcze będzie lepiej. Teraz może tego nie widzisz, ale będzie.

Tamta stanęła wreszcie na spocznij.

– I to niezależnie od tego, czy poznasz jakiegoś faceta.

Zdziwione spojrzenie. Tak, Uliano. Mamy za sobą podobne przeżycia.

– To zależy wyłącznie od tego, czy okrzepniesz, poczujesz się silniejsza – dodała Alka.

Uliana wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym uśmiechnęła się, może nieco krzywo, ale zawsze. I przełożywszy notatki do drugiej ręki, wyciągnęła dłoń do Alki. Skórę miała miękką i ciepłą.

Alka, w najlepszej komitywie z Ulianą, popijała wino przy barku. To znaczy Alka sączyła je powoli, natomiast Uliana przełykała bez specjalnego nabożeństwa, szybko i ze skrzywieniem ust, jak wódkę. Daria starała się nie patrzeć na te szczeniackie rytuały. Wołała pikać w telefon, usiłując się dowiedzieć, jakie są procedury policyjne w przypadku znalezienia ciała. Innymi słowy: kiedy wreszcie będzie mogła pójść do domu spać. Marzyła o samotności. Marek już pewnie śpi, i dzięki Bogu. Niechże to całe policyjne zamieszanie zacznie się jak najszybciej. Wszystko w tym kraju działa skandalicznie. Jak to możliwe, żeby zwykły śnieg sparaliżował wszelkie służby? Przecież powinny istnieć jakieś procedury. W październiku, gdy jej partia wygra wybory, zrobią z tym wreszcie porządek.

Na Boga, właśnie po to nigdy nie piła, żeby wrócić o ludzkiej godzinie do domu, wyspać się i mieć siły na kolejny dzień. A jutro, w miarę świeża, miała pokazać się jako jedna z atrakcji na konferencji prasowej na temat kobiecych nowych twarzy w partii. Teraz wszystko wskazywało na to, że jeśli nawet zdąży na tę konferencję, to na pewno nie będzie w miarę świeża. Media mogą się zresztą dowiedzieć, że znalazła się w kręgu podejrzanych o zabójstwo. Coś trzeba będzie może na ten temat powiedzieć. A nie będzie to dobrze widziane, o nie.

Procedury policyjne, według Google, zapowiadały się na skomplikowane i długotrwałe, mogły potrwać przynajmniej kilka godzin i wymagały obecności na miejscu zdarzenia wszystkich jego świadków. Po domu będzie się kręcić mnóstwo osób – policjanci, prokurator, lekarz, technicy... Nie będzie łatwo. Powinna zatem przespać się teraz. Znaleźć spokojne miejsce gdzieś na górze, bo na dole nie chciało być spokojnie.

Zajrzała jeszcze do poczty na swojej komórce. Od ostatniego sprawdzania, jeszcze w domu, nie dostała nic ciekawego poza potwierdzeniem jutrzejszego spotkania i poleceniem, żeby ubrała się kolorowo. Zirytowało ją to. Ciekawe, czy panom też zasugerowali wzór krawatów. Aha, jest jeszcze mail od Alki sprzed kilku godzin. O co chodziło? Alka tak rzadko do niej pisała.

Nie, to niemożliwe, pomyślała Daria po paru minutach. To mi się tylko śni.

Ale właśnie odechciało jej się spać.

– Bietka nie żyje – powiedziała głośno. – Bietka nie żyje.

Alka zaczęła kręcić się niespokojnie. Odstawiła kieliszek i wpatrzyła się w telefon Darii.

– Przecież wiemy – zdziwiła się Hania.

- Bietka nie żyje, powieść kryminalna – przeczytała Daria.
- Co ty opowiadasz? – znowu Hania.
- Mam coś takiego na swojej poczcie.
- Skąd?
- Od Alki.
- Alka już zdążyła o tym napisać? – zdziwiła się Zuzia. – Co znaczy pisarka...
- Zdążyła o tym napisać już jakiś czas temu – stwierdziła Daria. – Bo wysłała mi to o szesnastej dwadzieścia. Przed imprezą. I nie tylko mnie. Nam wszystkim. alicja.szczuk@gmail.com. Alka, to twój adres, prawda?
- Alka kiwnęła niedbale głową, ale jej palce, zaciśnięte na kieliszku, zbielały. Hania stanęła za plecami Darii. Zuzia z Ulianą zaglądały jej przez ramię. Daria kliknęła w treść maila.
- „Takie sobie coś dziś wymyśliłam. Wysyłam dla śmiechu, bez szczególnej nadziei, że się sprawdzi. ☺ Wasza Alka”.
- Ja też to dostałam? – zdziwiła się Hania.
- Pani Bietka też? – strzeliła celnie Uliana.
- Ta Ukrainka jednak umiała myśleć.
- Alka wzruszyła ramionami.
- Bietce nie wysyłałam. A poza nią – wszystkim. To miał być żart. Myślałam, że się tu razem z tego pośmiejemy. I tak, też jestem zaskoczona tym, co się tu dzisiaj stało. Ciągle nie umiem zrozumieć, jakim cudem przewidziałam to, że Bietka... No że Bietka... – Kręciła głową.
- Przewidziałaś? – zdziwiła się Daria i rozwinęła załącznik.
- Nie wiem, czy jest sens to czytać – protestowała słabo Alka. – To był durny dowcip, bez związku z późniejszymi wydarzeniami. Naprawdę. Darujcie sobie.
- A ja się chętnie z tym zapoznam – stwierdziła Daria, teraz już naprawdę zaciekawiona.
- Odchrząknęła (paskudny zwyczaj, mówił partyjny piarowiec, bo i w radiu, i w telewizji wypada fatalnie) i przystąpiła do lektury. Głośnej lektury. Lektury coraz bardziej makabrycznej. Wzbogaconej pukaniem Kaliny w podłogę.

Śnieg padał od kilku godzin. Nadrabiał za mokrawy listopad, suchy grudzień i szarawy styczeń, więc zamiast pojedynczych gwiazdeczek atakował płatami wielkości poszewek na jaśki, wypuszczanymi z nieba z wydajnością chińskiej fabryki. Zakrył wszystko: Arkadię i Pałac Kultury, dworce i kościoły, kamienice i bloki, a kiedy wyjechali z miasta, pracowicie zasłaniał pancerne nieforemne pałace nowobogackich z przerośniętymi garażami. Przysypywał billboardy z gołymi nawet zimą babami, baraki hurtowni, a już najstaranniej starał się pokryć wyboiste drogi.

Luty to najgorszy miesiąc w roku, tak potworny jak godzina czwarta nad ranem. Wiecie, że najwięcej ludzi umiera właśnie o tej godzinie? Serce wtedy zastanawia się, jak długo jeszcze jest sens podejmować wysiłek, i podczas tej refleksji znacząco zwalnia. Temperatura ciała spada, nawet ci z gorączką dostają dreszczy, a ludzie z bezdechem czują duszny przedsmak wieczności. Ilu z nich nie doczeka świtu?

Luty jest podobny do czwartej nad ranem. Ilu z nas nie doczeka wiosny? Zima przypuszcza wzmożony atak na Polskę, która już od listopada zdążyła zapomnieć, że niebo nie musi mieć koloru ołowiu. Ktoś miał jakieś nadzieje na wiosnę? Niech zapomni, bo wszystko wskazuje na to, że w nieskończoność będzie ciemno, mroźno i śnieżnie.

Słońce za dnia nie pokazuje się wcale, chowając się za ołowianymi chmurami, które wreszcie

decydują się zgotować niespodziankę, pokrywając Polskę jak najgrubszą warstwą śniegu i komplikując jeszcze bardziej wydarzenia tej nocy.

– Ty umiesz pisać – zdziwiła się Daria. – Naprawdę całkiem fajnie umiesz pisać.

Alka się zdenerwowała.

– Przecież podarowałam ci swoją poprzednią książkę.

Daria uśmiechnęła się niezobowiązująco. Nie musi przecież czytać każdej książki, którą dostaje.

– Zgadzam się. Alka naprawdę świetnie pisze – potwierdziła Zuzia.

Daria nie miała w zwyczaju wrzucać ramionami, więc wróciła do lektury.

Kiedy myślę o tamtych wydarzeniach, najlepiej pamiętam ból policzków zastygłych przez cały wieczór w uprzejmym półuśmiechu. Pamiętam kolory: czerni nocnego nieba, biel śniegu, który przysypał balkonowe okna salonu do jednej trzeciej wysokości, i modne szare ściany tamtego domu. Zapach whisky, perfum i ognia z kominka. Głosy dziewczyn i hałas telewizora. Pamiętam też ten wrzask i ciszę, która potem zapadła. Plamy makijażu na woskowożółtej twarzy. Czerni groteskowo długich rzęs przy matowych wybałuszonych oczach. Czerwone plamy na pościeli. Czerwień, w której utyły się moje wspomnienia.

Co jeszcze pamiętam? Że marzyłam, żeby uciec z imprezy, ale kiedy wreszcie udało mi się dodzwonić do korporacji, dowiedziałam się, że żadna z taksówek tutaj nie dojedzie, bo „nie chcemy uziemić samochodu na peryferiach aż do roztopów”, ale „przyjedziemy, jak odśnieżą”. Zdażyłam już lekko wytrzeźwieć, więc zaczęłam rozumieć, że zachowałam się jak idiotka, nie zapewniając sobie drogi odwrotu. Schować się. Schować! Roztrzęsiona wsuwam się przez uchylone drzwi do ciemnego pokoju. Za oknem jarzy się biała poświata, co oznacza, że śnieg wreszcie przestał padać. W półmroku widzę tylko łóżko przykryte czymś w kratę, biurko zarzucone papierami, regalik z książkami. Pachnie perfumami. Dusznymi, pudrowymi. W pokoju nastoletniego chłopaka? Podchodzę do okna i otwieram je szeroko. Ostre powietrze wdziera się do środka. Za oknem biel dzieli się po połowie z czernią.

Z korytarza dobiega erupcja gwaru.

Koc nierówno pokrywa góry i doły skłębionej pod spodem pościeli. Nieważne, zanurkować pod spód, z głową, i zasnąć. Siadam na brzegu, po czym opadam na plecy w poprzek materaca. Cholera! Ktoś tam leży. I w dodatku ma mokro.

– Przepraszam – wstaję.

Muszę poszukać innego schronienia.

Kształt pod spodem ani drgnie. Ciągnę ostrożnie za skraj koca. Ukazuje się stopa w czarnych rajstopach. Delikatnie, centymetr po centymetrze podnoszę włochatą tkaninę. Długie nogi. Minispódniczka. Sweter zadarty do góry pokazuje całkiem szczupły biały brzuch.

Dwa kroki do drzwi, włączam światło, blask atakuje oczy. Mrużę powieki, odczekuję i znowu patrzę na łóżko. Nie, nie wydawało mi się. Martwa wykrzywiona twarz. Sztukowane rzęsy sterczą tragicznie nieadekwatnie przy szklistych, wybałuszonych oczach.

Szyja zamieniła się w krwawą otchłań.

Bietka nie żyje.

– *Job twoju mat'!* – skomentowała Uliana i opróżniła kieliszek z winem.

Zuzia jednak nie patrzyła na nią. Kręciła głową.

– Alka, o co chodzi?! Skąd wiedziałaś, że dzisiaj coś się stanie Bietce? U mnie? I to w pokoju Ignacego? Alka!

Alka stała na podeście półpiętra, byle dalej od centrum oskarżającego towarzystwa.

– Alka, pozwól tu do nas – zarządziła Daria.

Gdy mogła zarządzać, czuła się najlepiej. Pitolenie tam z tymi szyjami i głowami. Ona była i szyją, i głową. I cipą.

– Nie chciałam, żebyście to czytały – tłumaczyła się słabo Alka. – Bałam się, że źle to zrozumiecie.

Po co wysyłała ten plik do dziewczyn? Idiotyzm. Niniejszym sama wskoczyła do pudełeczka z napisem „Podejrzane”. A było to bardzo niebezpieczne pudełeczko.

Choć przecież nie była idiotką i gdyby miała zamiar kogokolwiek zabić, nie zapowiadałaby tego w tekście wysłanym do wszystkich. Chyba że posądzą ją o budowanie piętrowego alibi.

Odkrycie Darii mogło się obrócić na dobre lub na złe, w zależności od bystrości policjantów. Czy autorce kryminałów dobrze zrobi oskarżenie o morderstwo? Idiotka, naprawdę idiotka.

Jedyna pociecha w tym wszystkim: tego się naprawdę dobrze słuchało. Zdecydowanie lepiej niż powieści Bietki. Świętej pamięci Bietki, prawdziwej królowej kryminału.

– Alka, pozwól tu do nas.

Znów ten rozkazujący ton Darii. Jakaż ona irytująca. Ale zeszła dwa schodki i jeszcze dwa. Kurde, co za dziecinada! Przecież lata między parterem a piętrem jak wahadłowiec. Przeszła więc do kuchni, nalała sobie wina. Butelka była już pusta. Wstawiła ją do kosza na szkło, który dziś wypełnił się dość znacznie. Spojrzała na Darię, która gapiała się na tekst w swoim telefonie, jakby próbowała wyczytać coś między wierszami, odstęp półtora wersu. Wreszcie przyszła posłanka podniosła głowę, by zacząć prokuratorskim tonem:

– Ja to widzę tak: zaplanowałaś rzecz jakiś czas temu. I nawet potrafię cię zrozumieć. Bo to Bietka wyrosła na gwiazdę krajowego formatu, nie ty. To ona wykołegowała tamtą ładną blondynkę i została następną królową kryminału, nie ty.

Została?! Alka zagotowała się w środku. Wcale nie została. Bietka sama mianowała się królową, w czym pomogły jej agencja marketingowa i pomysły Alki. Dowcipy Alki. Strategia wymyślona przez Alkę. Cała Bietki zasługa w tym, że wszyscy to podchwycili. Bez czytania. Na sam wygląd. Na samą bezczelność i wygadanie. Na umiejętność sprawnego wygłaszania gładkich banałów i cudzych bon motów.

– Miałaś więc powody, by zazdrościć jej talentu, powodzenia, sławy i kasy – podsumowała Daria. Zdanie „i by chcieć ją usunąć” co prawda nie padło, ale drżało w powietrzu jak komiksowy dymek.

– Słucham? – wkurzyła się Alka.

– Przecież nie chodzi o talent – łagodziła Zuzia, która nieoczekiwanie jakby wytrzeźwiała. – Przecież nie o talent. Talent Alka ma, same słyszałyście. O całą resztę.

Zazdrość? Nie, Alka nie zazdrościła Bietce. Po pierwsze, doszła do sławy na cudzej krzywdzie, wykołegowując z mediów inną dziewczynę. Po drugie, Alka uważała, że ta cała sława Bietki jest dmuchana i że w końcu ktoś przekłuje ten balonik. Przecież Bietka nie umiała pisać. Przecież Bietka miała tylko urodę, a przede wszystkim bezczelność. Wszyscy to w końcu zobaczą, ludzie w końcu nie są aż takimi idiotami.

– Skąd wiedziałaś, co stanie się dziś wieczorem? I dlaczego wysyłałaś nam ten tekst? – kontynuowała Daria.

Alka się rozejrzała. Spojrzenia przewiercały ją na wylot. Łącznie ze smolistym gadzim czymś,

co emitowała Kalina. Królowobójstwo. Czy o to ją właśnie oskarżano? Powinna im zgrabnie odpowiedzieć. Może na przykład tak: „Wiedziecie co? Gdybym ją zabiła, Bietka stałaby się sto razy sławniejsza. Wtedy jeszcze więcej osób kupowałoby tę jej marną książkę. Naprawdę myślicie, że chciałabym doprowadzić do czegoś takiego?”. Już widziała festiwal nagłówków: „Umarła prawdziwa królowa. Kto przejmie schedę po Elżbiecie «Bietce» Burzyńskiej? Gry o tron ciąg dalszy”, wznowienia, najchętniej z czarnym paskiem, teksty o Bietce, teksty po Bietce, zdjęcia Bietki... Alka już przewidywała, jaka to będzie niepowetowana strata dla polskiej literatury i czego to Bietka by jeszcze nie napisała, gdyby miała więcej czasu. I jak to wszyscy, a zwłaszcza kultura, stracili na jej śmierci, i jak to zmarła śmiercią bohaterów własnych książek, i jaka to szkoda, że nie może opisać śledztwa w swojej sprawie, bo na pewno zrobiłaby to genialnie i prawdziwie po królewsku. A jeśli wydawnictwo będzie chciało jeszcze bardziej wykorzystać piarowo tę śmierć, to ogłosi konkurs na kontynuację ostatniego nieukończonego dzieła Bietki, bo przecież na pewno jakieś było. I Alka nawet będzie mogła wziąć udział w tym konkursie, być może nawet go wygrać. Kto wie? I wspiąć się po szczupłych, zakrwawionych plecach Bietki na szklaną górę, gdzie na szczycie znaleźć można miejsce najwyższe dla kilku osób, bo stoły w telewizji są krótkie.

– Nic nam na to nie odpowiesz? – nalegała Daria.

Alka wzruszyła ramionami i naląła sobie wina. Tak, bez sensu, że się pochwaliła tym tekstem. Niech sobie myślą, co chcą, przecież policja znajdzie ślady biologiczne, jakieś DNA i nikt jej o nic obwinąć nie może.

– Dobrze, czytam dalej. – Daria odchrząknęła i kontynuowała:

– Dobry wieczór, nareszcie – westchnęła Zuzia na widok ekipy z policji.

Policjanci rozpanoszyli się w środku. Hałas, telefony. Ulga, że ktoś się nareszcie tym zajmie, że wypłeni zło z jej pięknego domu na uboczu, że znowu będzie grać się w ciepłe dziewcząt i krzepić ich siłą.

Tylko że dziewczęta też potrafiły wyrządzić krzywdę. Wielką krzywdę.

Śmierć łąziła po jej domu tej nocy.

* * *

W takich miejscach zdarzenia komisarz Łukasz Dobry często nie bywał. Wypasiona willa, na jaką może by zarobił po trzystu latach pracy w kryminalnych, a na jej wyposażenie po kolejnych pięćdziesięciu i gdyby dał się skorumpować. W środku kilka atrakcyjnych kobiet, ogień na kominku, butelki po dobrej whisky (nieźle zatankowały), kabanosy i tatarak. Miła odmiana po tych wszystkich melinach, gdzie śmierdziało wódką i wymiotami, a kumple dopiero rano orientowali się, że zarzygany kolo obok nie żyje. Te panie siedziały wdzięcznie upozowane na fotelach i kanapach. Eleganckie. Ładne. Pachnące. Ale nie patrzyły sobie w oczy. Jemu też nie.

Jeszcze popatrzą.

Gospodyni powitała go z ulgą, po czym długo studiowała legitymację policyjną. Tak, takie panie nie wpuszczają do swoich wypieszczonych domów byle kogo. Ta ciągle wydawała się nieźle zaskoczona, że w jej przytulnym gniazdku znalazło się coś tak niewłaściwego jak trup. Cóż, witaj w prawdziwym życiu, paniusiu.

Zajrzał w dokumenty, które drżącymi dłońmi wygrzebała z torebki w przedpokoju. Zuzanna Mościk. Miejsce urodzenia: Warszawa, a jakże. Czterdzieści dwa lata. Trochę go zaskoczyła,

dawał jej najwyżej trzydzieści.

- Dzięki, kochana – ucieszyła się Zuzia. – Naprawdę tak myślisz?
- Zuzia! – zirytowała się Daria.

Wiek średni na bogatych przedmieściach Warszawy to zupełnie co innego niż wiek średni w radomskich kamienicach komunalnych. Pani Zuzanna miała silne ramiona, dobrze widoczne spod koszulki na ramiączkach, dużą gładką fałdę nad paskiem spodni i mimo miękkiego ciała wyglądała na osobę, która nie da sobie w kaszę dmuchać. Nadal lubił takie określenia jako najlepszy z polaka w Technikum Ekonomicznym w Radomiu, który według całej rodziny robił właśnie błyskotliwą karierę w Komendzie Głównej w Warszawie, a według siebie samego harował dniami i nocami za gówniane pieniądze. Był przemęczony. Za dużo spraw, za dużo odkładania, za dużo papierów, a za mało czasu. Kiedy wracał na komendę, nie wiedział, do czego się brać. Wszystkie te siekiery i meliny brzydziły go, a już na widok zabitych dzieci miał ochotę płakać.

Groteskowy mały pies jazgotał – najwyraźniej go nie lubił. Głos miał ze trzydzieści razy potężniejszy niż ohydne ciało.

- Moja Maksia ma ohydne ciało? – zdenerwowała się Zuzia.
- To są wrażenia komisarza – odparła Alka. – Naprawdę, nie każde słowo, które napiszę, wyraża moje poglądy.

– Pani zamknie to zwierzę, bo się skupić nie można – zirytował się Dobry. – A jeszcze, nie daj Boże, pobiegnie na miejsce zdarzenia.

- Na miejsce czego? – zgłupiała pani Zuzanna, ale po chwili zrozumiała.

Złapała psa, przytuliła go i pocałowała – obrzydliwość – a w końcu wyniosła do jakiejś komórki przy kuchni, gdzie zaraz wstawiła miskę z wodą i drugą z jakimś psim żarciem. Tak, bo inaczej pies na pewno by zdechł przez tych kilka godzin, kiedy będzie tam siedział. W Radomiu psy... Kurde, musi sobie z tym wreszcie dać spokój.

Dobry spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. I co z tego. Impreza z trupem w tle była sto razy bardziej atrakcyjna od samotnego oglądania Discovery czy samotnego walenia konia przy Redtube, bo to między takimi opcjami wahał się, siedząc w wynajętym mieszkaniu na Białołęce. Tylko że gdzie te gliny z prewencji? Gdzie technicy? Gdzie prokurator?

Dźwięk spuszczonej wody i z łazienki wytoczył się ogromny facet w mundurze policyjnym.

– Uwierzysz pan, komisarzu? Mają podgrzewaną deskę klozetową. Ludziom to się w dupach przewraca.

Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie przemawiał scenicznym szeptem, słyszalnym na pewno przynajmniej na całym parterze. Jedna z kobiet spojrzała porozumiewawczo na gospodynię. Ta się zaczerwieniła i wzruszyła ramionami. Dobremu zrobiło się głupio. Facet wyciągnął dłoń.

- My się jeszcze nie znamy. Staszek Krajko, komenda rejonowa.
- A prokurator?
- Jedzie. Powoli, bo śnieg.
- Lekarz? Technicy?
- Już są. Ale wszystkim się zeszło przez tę pierdoloną pogodę. Działają na górze. Tam mamy denatkę. Leży w pokoju dziecka, pan sobie wyobrazi.

Woda w klozecie nadal sikała silnym wodospadem. Najwyraźniej Krajko nie do końca rozpracował system ekskluzywnych spłuczek. Gospodyni udała się do toalety naprawić ustrojstwo. Dobremu nie spodobało się jej zirytowane westchnienie, ale jeszcze bardziej rozdrażniło go spojrzenie, którym obrzuciła ich obu, wchodząc do łazienki. Po pierwsze: dlaczego obu?! A po drugie: czy one są jakoś specjalnie szkolone w okazywaniu wyższości? Tej się udało, chociaż weszli już do połowy schodów i to oni patrzyli na nią z góry. Oj, pani Zuzanno, jeszcze schylisz przede mną głowę. Jeszcze zaszklą ci się te wymalowane oczęta. Jeszcze wypytam cię o dowolne intymności, a ty będziesz się wiła i czerwieniła. Nawet nie wiesz, jaką mam nad tobą władzę. To ja zadecyduję, czy porozmawiasz dziś z koleżankami, ile czasu będziesz gawędzić ze mną oraz czy i kiedy pójdziesz dziś spać.

Na piętrze było mnóstwo drzwi, o wiele więcej niż członków tej rodziny, która według Krajki liczyła sobie trzy osoby.

– Tak dużo miejsca na tak niewielu ludzi – odezwał się Krajko, poziewując. – Co pan chcesz, komisarzu. Kasa. Kasa rządzi. Z domowników w domu jest tylko pani, bo mąż i syn wyjechali na narty. A ta od razu sprosiła koleżanki. Swędzi kasa, swędzi, nie?

– Przeszukaliście dom?

– Właśnie kończymy – wskazał na drugiego mundurowego, który przechodził akurat z pokoju do pokoju. – Przewalamy szafę po szafie i garderobę po garderobie, i cholerną spizarkę po spizarce, i schówek po schowku. Ale wygląda na to, że poza paniami, psem i tonami drogich rzeczy nie ma w domu nikogo.

Po pokoju, w którym leżała denatka, kręcił się technik od linii papilarnych z pędzelkiem i proszkiem. Drugi robił zdjęcie po zdjęciu wszystkiemu, co znajdowało się w środku. Łóżko, zwykłe, wąskie, drewniane, stało pod ścianą, ale tak, że dostęp do niego był możliwy i z boku, i od wezglowia, i od nóg. Na łóżku leżała szczupła kobieta o twarzy mocno naznaczonej gwałtowną śmiercią. Dobry włożył ochraniacze na buty i starając się nie wdepnąć w krew – choć jakie to miało znaczenie, gdy było w niej tyle śladów szpileczek i obcasików – podszedł do łóżka.

Przez te wszystkie lata w Radomiu, a potem w Warszawie Dobry nauczył się widzieć żywe twarze pod maskami śmierci. Miał więc pewność, że z tej jeszcze kilka godzin temu musiała być niezła lala. Cóż z tego, że sztuczna, bo nikt mu nie powie, że komuś wyrosłyby takie rzęsy, nawet gdyby dobrze je nawozić. On nie lubił natury. Wolał kobiety zadbane i odstawione, jak w gazetach czy filmach. Zupełnie inne niż jego żona. Była żona. Albo niż jego partnerka, podkomisarz Renata Hryniewicz, która była wcieloną naturą. Matką naturą, z ciekącymi pierściami, brzuchem wlokącym się po ziemi i ziemistą cerą niewyspanej karmicielki. Brzydził się jej. Dobrze, że jeszcze nie dojechała. Niech nie przyjeżdża jak najdłużej. Najlepiej wcale. Bo po pierwsze: wyrwana z pościeli będzie jeszcze bardziej niechlujna niż zwykle. A po drugie: chciał z przesłuchiwanymi rozmawiać po swojemu, a przy niej się nie da.

Na razie oglądał ciało. Dziewczyna pewnie musiała wierzgać i się bronić, a teraz leżała równo jak lalka. Ktoś więc musiał wyprostować jej nogi, ułożyć równo ręce przy ciele, wygładzić prześcieradło i poduszkę.

– Samego ciała podobno nie ruszały, tak leżało, jak je znaleziono – skomentował jeden z techników. – Tylko że była cała przykryta, z twarzą.

Przykrywanie twarzy zdarza się często, gdy ofiara pozostaje z zabójcą w związku emocjonalnym. Albo gdy zabójca postanawia ukryć, co zrobił. Choć na długo ukryć się przecież tego nie da.

– A co do reszty pokoju – ciągnął technik – tak się tu trochę bawię, ale o poważnych śladach

możemy zapomnieć. Po znalezieniu trupa wszystkie tu biegały, odkrywały i zakrywały denatkę, otwierały i zamykały okno. Tylko śnieg dookoła domu oszczędziły, bo zaraz po odkryciu zwłok zabarykadowały się w środku.

– Nie deptaliście śniegu?

– Tylko ścieżkę do wejścia – odezwał się Krajko. – Ale kiedy na nią weszliśmy, była zasypana, daję słowo. Zdjęcia mam. Nikt nie wchodził do tego domu, od kiedy przestało padać. A nawet trochę wcześniej.

– O której przestało padać?

– A tak przed dwudziestą trzecią.

Prawie druga w nocy. Przez tę pogodę jechał tu ponad godzinę. Krajce też się zeszło. I ekipie.

– A czas zabójstwa?

– Znalazły ją ponad dwie godziny temu, czyli mniej więcej o dwudziestej trzeciej trzydzieści. Jak ją znalazły, była przykryta z głową. I jeszcze podobno ciepła – tłumaczył Krajko, zadowolony, że wszystkiego już zdążył się dowiedzieć.

No więc mamy prawie pewność, że zabiła jedna z kwoczek, które na dole cisną się na kanapie. A to ciekawostka.

Dobry wpatrywał się w nieżywą kobietę. Coś dziwnego, coś niezwykłego i perwersyjnie pociągającego było w tym, jak zmieniało się ciało, gdy wyciekał z niego duch. Bo dałby głowę po obejrzeniu dziesiątek zwłok, że ten duch jednak istnieje. Coś musiało wychodzić z ciała, jeśli w tak krótkim czasie przeistaczało się z osoby w rzecz. Zmiany zaczynały się od twarzy, potem zagarniały resztę. Dobremu nigdy nie było dość tych analiz, choć nadal nie umiałby ich wyników ująć w słowa. Poza oczywistościami: twarzą wykrzywioną bólem, coraz bardziej matowymi oczami. Widział wysoko sklepione kości policzkowe, wydatne (wykrzywione) usta, błyszczące ciemne włosy, takie jak lubił, rozrzucone po pościeli... Gdyby żyła, nie mógłby patrzeć na nią tak bezkarnie.

Podniósł wzrok. Musiał się pilnować przy technikach i lekarzu, bo od jakiegoś czasu krążyły brzydkie plotki o jego upodobaniach, zwłaszcza że starał się nie przepuszczać sekcji zwłok kobiet, których śmiercią się zajmował, żeby patrzeć, jak ich cielesność ulega ostatecznej destrukcji. Aby ukrócić plotki, odcierpiął też jedną czy dwie sekcje facetów, ale wymęczył się strasznie.

W ciepłym pokoju coraz silniej czuć było zapach moczu. Widać denatka zsiusiała się w ostatnim odruchu zwieracza. Ostatnia rzecz, jaką zrobiła w życiu. Ciekawe, jaka była jej ostatnia myśl.

– Pani Bietka się zsiusiała? – zdziwiła się Uliana. – Chyba nie.

– Wcale nie mam podgrzewanej deski klozetowej – oburzyła się Zuzia, której język już się wcale nie plątał, więc zaraz dołała sobie wina. – I wcale nie przekarmiam psa. Chodź, Maksiu, do pani. – I podniosła suczkę z podłogi, by przytulić tak, aż jej oczy na wierzch wylazły.

– A co to ma za znaczenie? – zdenerwowała się Alka. – To fikcja. Nie rozumiecie? Wysłałam to z palca, siedząc dziś przy biurku w domu.

– Fikcja? Wysłałaś z palca dokładnie to, co stało się kilka godzin później. Pomóż mi to zrozumieć – naciskała Daria, która momentalnie weszła w rolę urzędniczki państwowej.

– Sama tego nie rozumiem. Naprawdę. Ja...

– Alka, ja nigdy nie myślałam, że ty myślisz o mnie takie niemiłe rzeczy – denerwowała się Zuzia. – Takie strasznie przykre.

– Zuzia, nie o tym teraz tu rozmawiamy – zarządziła Daria. – O tym możecie pogadać sobie później. Mnie interesuje natomiast co innego. Alka, po co wysłałaś nam ten tekst?

Alka kręciła głową.

– Chciałam się razem z wami pośmiać, powyglądać.

Jak to było w tym podręczniku mowy ciała? Jeśli wypowiadasz jakieś zdanie, kręcąc głową, sama podajesz je w wątpliwość.

– Pośmiać się ze śmierci naszej przyjaciółki?! – zbulwersowała się Zuzia. – Alka, jak możesz!

– Z tego całego królowania Bietki. Chciałam sobie ulżyć – wyznała Alka. – Bietka była nie do zniesienia. Już zapomnieliście? Są różne sposoby radzenia sobie z gniewem. Wszystkie miałyście jej dość. Nie wściekłaś się na nią, Daria? Nie uciekłaś przed nią na górę?

– O umarłych albo dobrze... – zaczęła znowu Daria, ale Hania uciszyła ją, kładąc dłoń na jej dłoni.

Strasznie miała chłodną skórę ta Daria. Jakby zaraziła się umieraniem.

– I opisałaś jej zabójstwo. Akurat dzisiaj. Akurat w tym gronie. Akurat w tym domu – głos zaś Daria miała gorący. – I akurat w ten sposób. Że ktoś podejrzenie jej gardło. W pokoju Ignacego. Dziecka, jak napisałaś.

– Ja... Ja przecież tak mam, że gdy się na kogoś wściekam, to opisuję jego zabójstwo. Nie macie pojęcia, ile razy opisywałam śmierć własnego męża.

Zapadła cisza.

– On przecież żyje. Nie wyglądajcie się. To zwykły przypadek.

– Nie ma takich przypadków – oświadczyła Daria.

– Nie ma – nieoczekiwanie wtrąciła się Uliana. – Jakaś pani musiała to przeczytać. A potem zrobić, jak napisano. Żeby skierować podejrzenia na panią Alkę.

Smagnęły ją spojrzzeniami.

– Nie wtrącaj się na razie – zgasiła ją Daria. – Tym zajmiemy się potem.

– Jesteś złośliwa, Alka. Jesteś... – jąkała się Zuzia. – Napisałaś, że jestem gruba, że mam fałdę. Może w tej twojej książce się jeszcze okaże, że to ja zabiłam? Tak to wymyśliłaś, Alka?! Tak? Bo mi ten potwór dziecko uwiódł? – Otarła łzy rękawem.

Hania wstała i wzięła z bufetu serwetkę, by ją podsunąć Zuzi.

– No właśnie, *à propos* tekstu Alki: kto tam zabił? – zainteresowała się.

Daria pokręciła głową.

– Przczytałam wam wszystko, co dostałam. Dostałyśmy.

– Alka, kto miał być zabójcą w tej twojej książce? – cisnęła Hania.

Alka wzruszyła ramionami.

– Dziewczyny, ja to przecież napisałam dzisiaj, tuż przed wyjściem. Na szybko. Żeby już się na nią nie wkurzać, kiedy ją znowu zobaczę. Naprawdę. Jeszcze nie zdążyłam ustalić, kto miał zabić. Miałam to dopiero wymyślić.

– A kiedyś w wywiadzie mówiłaś, że nigdy nie siadasz do pisania, jeśli nie wiesz, jak się książka skończy – znowu Hania.

– To Alka kiedyś dawała jakieś wywiady? – zdziwiła się Daria, chyba bardziej szczerze niż złośliwie.

– Pewnie że tak – powiedziała Hania.

– Tyle że nie w pravicowych gazetach – warknęła Alka.

– No, Alka, mów. Kto miał zabić? – nalegała Hania.

Alka obdarzyła ją pełnym wdzięczności uśmiechem, po czym wzruszyła ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Ale według wszelkich reguł powinna to być osoba najmniej podejrzana.

– Czyli kto?

– Gdybym się zastanawiała, która zabiła, w mojej powieści oczywiście, wybrałabym taką osobę, która nie ma motywu. To znaczy nie ma go na pierwszy rzut oka. Czyli na pewno nie Zuzię. Ona za bardzo by się podłożyła tą akcją. Zresztą to tam, na górze, nie wygląda na zabójstwo w afekcie.

– Dziękuję, kochana – wzruszyła się Zuzia i znieczuliła kolejnym łykiem.

Zrezygnowany pies zasnął w jej ramionach.

– Alka, to nie jest książka – zdenerwowała się Daria. – Jezu, czy wy nie widzicie, jakie to strasznie dziwne? Alka rozważa to wszystko tak na zimno. A poza tym zabija znajomych na papierze, opisuje trupy i potem jeszcze wysyła to wszystko do koleżanek. Same powiedzcie: czy to jest normalne? Muszę wam wyznać, że ja zawsze się Alki trochę bałam.

Alka spojrzała na nią zaskoczona.

– Normalne? A co to jest norma? – wtrąciła się Hania.

Daria poczuła się zdradzona:

– Haniu, a ty po czyjej stronie jesteś?

Hania nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, bo zdanie: „Jestem po stronie pytań” brzmiało zbyt dziwnie. Pogłaskała więc uspokajająco Darię po rękę.

– A tak szczerze, to zawsze najmniej podejrzaną osobą w kryminale jest narrator – wpadła na pomysł Daria. – Przynajmniej z tego, co wiem o kryminałach.

– Narrator? Do czego pijesz? – zdenerwowała się Alka.

Hania zaraz jej przerwała:

– Czy ja dobrze pamiętam? Była chyba taka powieść Agathy Christie, w której to właśnie narrator zabił.

– *Zabójstwo Rogera Ackroyda*. – Alka wzruszyła ramionami. – Tak, Christie napisała taką powieść. Za to, że na końcu okazuje się, że winny był narrator, Agatha wyleciała z Klubu Autorów Kryminału. Bo według wszelkich reguł narratorowi zabijać nie wolno.

– No ale Christie przetała szlak – zastanawiała się Hania. – I to już całkiem dawno. Alka, rozważałaś takie rozwiązanie?

– Ja wiem? Moim zdaniem każdy autor, który się na to odważy, zostanie nazwany marnym naśladowcą Agathy – odparowała Alka.

– Dlaczego marnym? Ta twoja powieść zaczyna się całkiem nieźle – pochwaliła Hania.

– A poza tym to byłaby fajna zmyłka – dorzuciła Daria. – Jak z tym wysłaniem powieści o zabójstwie Bietki do koleżanek. To automatycznie robi z ciebie najmniej podejrzaną. W taki inteligentny sposób.

Uliana wstała ze stołka barowego. Zarumieniona, z lśniącymi oczami wyglądała, jakby ruszała do walki w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Wielka Wojna Ojczyźniana, czy to dobre porównanie, jeśli chodzi o Ukrainkę? – zastanowiła się Alka.

– O czym wy w ogóle mówicie? – powiedziała Uliana podniesionym głosem. – Na górze nieżywa pani, a wy rozmawiacie o czytaniu? O książkach? Czy ja dobrze rozumiem polski?

Zuzia zachichotała. Ewidentnie za dużo wypila. Suczka w jej ramionach zaczęła wiercić się niespokojnie. Hania pospieszyła z mediacją:

– Kochanie, nie należy nie doceniać książek. Poza tym lepiej gadać o książkach, niż się kłócić. Albo wzajemnie oskarżać. – I tonem wyższości dodała: – A poza tym, Uliana, czytałaś może Agathę Christie?

Uliana pokręciła głową.

– Nie macie takich klasyków na Ukrainie?

– Ostatnio nie mam czasu czytać – wytłumaczyła Uliana.

Hani zrobiło się głupio. Szkoda, że niektórych słów nie można wymazać gumką.

– Ona czyta Stephena Kinga – powiedziała Alka. – *Carrie*. O nawiedzonej dziewczynie.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Zuzia.

– A tak jakoś wpadło mi w oko – zaczerwieniła się Alka.

Hania poklepała ją po dłoni. Uspokajająco. Chyba.

– No to która zabiła? Może odpowiesz nam na to pytanie? – naciskała Daria.

– Która zabiła? – powtórzyła Alka. – Nie wiem. Może się okazać, że wszystkie.

– Uch, co za bzdura! – Daria zmarszczyła brwi.

Hanię zaczynała bawić ta cała dyskusja.

– To też było u Agathy Christie. W *Morderstwie w Orient Expressie* winni byli wszyscy obecni w wagonie.

– Dlaczego wszyscy?! – zagubiła się Daria.

– Powinnaś przeczytać.

– Uch! – zdenerwowała się Daria.

– Dlaczego wszyscy? Bo każde z nich miało silny motyw – załagodziła Hania. – A po zabójstwie dali sobie wzajemnie alibi, żeby zmylić detektywa.

– Tak jak u nas – dorzuciła Uliana.

– No, prawie – skontrowała Alka. – Nie możemy dać sobie wzajemnie alibi, bo każda z nas przez chwilę była sama. I każda miała motyw.

– Nie każda – przerwała jej Daria. – Byłam ostatnią osobą, której mogło zależeć na śmierci Bietki. Przecież właśnie dziś dogadałyśmy się, że Bietka napisze o mnie artykuł.

– Artykuł? Jaki artykuł?

– *À propos* wyborów do Sejmu.

– Reklamówkę? – zgubiła się Alka.

– Tekst dziennikarski. Dobry, wszechstronny, ciepły tekst o kobiecie w polityce. Obu nam mógł pomóc w karierze, tak powiedziała. Tylko że teraz Bietka już nic nie napisze – zakończyła Daria z patosem.

Zuzia zachichotała. I zanim zdążyła stłumić niewłaściwy w tych okolicznościach dźwięk, zasłonić ułożone w niewłaściwy grymas usta, już wszystkie na nią spojrzały.

– Zuzia?! – upomniała ją Daria. – Przystopuj z winem, nie możesz przywitać policjantów taka uchachana.

– Co to miał być za tekst? W wywiad? – wargi Zuzi zachowywały się gorzej niż język.

– To było jeszcze do ustalenia. W każdym razie miała rozmawiać nie tylko ze mną, ale i z osobami, które mnie znają.

– Ja tttam bym z nią nie chciała rozmawiać. O niczym. – Gdy Zuzia starała się mówić twardo, głos jej nieco skrzyział, nieprzyzwyczajony do tych rejestrów.

– Ja też nie. Zresztą nie sądzę, żeby Bietka chciała – odezwała się Alka. – Ona raczej nie była skłonna przysparzać sławy koleżankom pisarkom.

– Ty wiesz, że masz rację? – odpowiedziała Daria. – Bo Bietka faktycznie nie była pewna, czy chce z tobą rozmawiać. Stwierdziła, że gdybyś była bardziej sławna, toby dobrze zrobiło tekstowi, ale wypowiedź mało znanej pisarki... To takie trochę żałosne... No bo Bietka mówiła, że to raczej byłaby reklama dla ciebie niż dla mnie. I że śmieszni są ci wszyscy... – Daria

umilkła. – Wybacz, Alka, ja tylko cytuję Bietkę – zreflektowała się.

– Wina? – zerwała się Hania. – Mamy jeszcze oliwki?

Zuzia poklepała Alkę po plecach. Alka wiedziała, jak miało kończyć się to zdanie: „... ci wszyscy pisarze, którzy pchają się do mediów, choć nikt ich tam nie chce”. Co za wstrętne suczysko było z tej Bietki. Do końca.

– Dddaria na pewno nie chciała zrobić ci ppprzykrości – łagodziła Zuzia. – Ale BBbietka mmmogła chcieć. Ona nie była aniołem, tylko twardą bbbbabą, która szła po trupach do celu. Ccoraz lepiej to widzę.

– Przestańcie. Naprawdę nie wypada tak teraz o niej mówić – odparowała Daria.

– Oj, Ddaria – powiedziała Zuzia. – Ja też się z nią przyjaźniłam. Od lat. Dlatego dzisiaj się tak zdziwiłam, że mogła mi to zrobić. Mnie i Ignacemu.

– O zmarłych albo dobrze, albo wcale – to znowu Daria.

– Na przykład o Gitlerie – odezwała się nagle Uliana.

– O Hitlerze – przetłumaczyła Zuzia.

Patrz pani, ile dowcipu zyskała mała Ukrainka, pomyślała Alka. W tej dziewczynie krył się potencjał.

– Bietce daleko było do Hitlera, chyba że wiesz coś, o czym my nie wiemy – zaszarżowała Daria. – Wiesz?

Uliana aż się odchyliła. Pokręciła głową. Daria się rozejrzała.

– Czy ktoś zna jeszcze jakieś nieciekawe fakty dotyczące Bietki?

Ta Daria musi mieć wprawę z zebrani partyjnych, pomyślała Alka i zaraz złapała się za usta, by nie zachichotać jak Zuzia. I jak na porządnym partyjnym zebraniu nikt się nie odezwał.

Biedna Bietka, myślała Hania. Taka pełna entuzjazmu, planów, miłości, nowej energii... Ciekawe, gdzie się teraz znalazła. Niebo, czyściec czy to trzecie? Hania zadrżała. Ciekawe, dokąd sama by trafiła, gdyby to ona straciła życie tej nocy.

– Zatem wracamy do motywu – podsumowała Daria. – To co? Kto go miał? Hania? Na pewno nie.

– Uliana też przecież nie – odezwała się Zuzia. – Prawda, Ulianko?

Alka i Uliana mierzyły się spojrzeniami. Uliana ledwie dostrzegalnie pokręciła głową.

– Co wy za znaki sobie dajecie? – zirytowała się Zuzia, mimo wszystko chyba coraz trzeźwiejsza.

– Zdaje ci się – odpowiedziała Alka.

– Co mi się zdaje? Zmawiacie się za moimi plecami. Skąd niby wiesz, że ona czyta *Carrie*? – Zuzia bodnęła palcem w kierunku Uliany.

– A tak się zgadało – kręciła Alka.

– Pokazałam jej – powiedziała Uliana. – Spytała, to pokazałam.

– Mmmnie nigdy nie pokazywałaś, ccco czytasz.

Zuzia zerwała się z miejsca i podeszła do Alki i Uliany, które ciągle siedziały przy wyspie kuchennej na wysokich krzesłach barowych. Może i szła nieco chwiejnym krokiem, ale spojrzenie miała zdecydowane. Stała przed nimi, zmarszczyła brwi, spojrzała na Alkę, potem przeniosła wzrok na Ulianę.

– Ty... Ty masz wobec mnie pewne obowiązki. Jeśli mmmiałaś motyw, to przecież powinnam o tym wiedzieć – jej cienki dziecięcy głos nadal skrzypiał, ale powoli nabierał mocy.

– Zuzia, zostaw dziewczynę – poprosiła Hania. – Nie widzisz, że się zaraz rozpłacze? –

I podsunęła roztrzęsionej Ulianie chusteczkę.

Z boku było widać, że Zuzia zacisnęła wargi. Jeszcze przez chwilę wpatrywała się ze zmarszczonym czołem w Ukrainkę, po czym odwróciła się do wszystkich tyłem jak obrażony dzieciak.

Uliana pociągnęła nosem. Zachwiała się na wysokim stołku barowym i żeby nie spaść, wsparła łokciami o blat wyspy.

Alka nie mogła patrzeć na tę manifestację przemocy i uległości. Wzięła Ulianę pod rękę i zaprowadziła na kanapę. W kącie co prawda wciskała się Hania, ale ciągle było tu wystarczająco dużo miejsca, by zapaść się w tapicerkę. Poduchy wessały je jak przyjazny kokon.

Zuzia nadal tkwiła w kuchni, zwrócona tyłkiem do wszystkich. Daria siedziała na krześle, prosto jak w telewizji albo na szkolnej akademii, patrzyła przed siebie, jakby spodziewała się wyświetlenia wypowiedzi na teleprompterze. Może jednak nadawała się na posłankę. Albo cisnęły ją dzinsy od Zuzi. Natomiast Kalina, która teraz siedziała na podłodze przed kominkiem, gdzie węgle dzielnie się jeszcze żarzyły, drgnęła i ruszyła głową. Zupełnie jakby odprowadzała Alkę wzrokiem. Nie, nie Alkę. Jej dłonie. Kalina gapiła się w nie jak w telewizor z obrazem kontrolnym. Tępo, lecz z oczekiwaniem. Nadinterpretuję, pomyślała Alka. Ale jednak. Inni ludzie nie gapią się na ręce, tylko na twarz, a najodważniejsi w oczy. Czego tamta chce od jej dłoni?

Kalina, ze wzrokiem wlepionym w palce Alki, rysowała swoje szlaczki jak Reksio pieczętujący taśmę filmową. Raz za razem, raz za razem, bez patrzenia. I następna kartka. Zuzia zbankrutuje. Tego wieczoru poszła już przynajmniej ryza papieru.

I morze alkoholu.

Kurde, aż ręce swędzą od tego upartego spojrzenia. Czego ta mała od niej chce? Alka schowała dłonie między uda. Uniosła wzrok, spozrzała na wielki żyrandol z plastikowych soczewkowatych kryształków. Tuż nad nim spoczywała postać, która nawet po śmierci wywierała na Alkę niechciany wpływ. I której śmierć opisała, zanim ona się wydarzyła. To przecież niemożliwe.

Nie ma co główkować: ktoś zainscenizował jej tekst, by rzucić na nią podejrzenia. Albo pobawić się sytuacją.

Pokręciła głową. Ta wersja zupełnie nie pasowała do zebranego tu towarzystwa. A zwłaszcza do Uliany. Ona przecież nie dostała tekstu.

Alka z trudem wygrzebała się z kanapy, wstała, przetała pięścią oczy i dała krok w kierunku Kaliny. Smolisty wzrok nieco zmienił trajektorię. Reszta dziewczyn obrzuciła ją leniwymi spojrzeniami, jakby z nich spuszczone powietrze. Już było dobrze po pierwszej i po kilku silnych pięściach. Nic dziwnego, że para z nich uszła.

Alka zrobiła kolejny krok. Kalina podążyła spojrzeniem za jej ruchem, ale jednocześnie pajęcza ręka nieprzerwanie pokrywała kolejne kartki listami do świata. Nie, to żadne listy. Raczej odwiarty. Ścisnany kurczowo całą pięścią czerwonym flamastrem, bez patrzenia. Czerwone kropki. Kropy. Znaczą kartki. Po dwie na każdej.

Alka stanęła obok Kaliny z nogami na wszelki wypadek poza zasięgiem jej ośmiorniczych macek. Z twarzy Kaliny jednak nic wyczytać się nie dało – biała płaszczyzna z czarnymi dziurami oczu. Z kartek też nic więcej – białe płaszczyzny z krwawymi okrągłymi ranami po dwie na każdej. Na niektórych znajdowała się również płatanina czarnych linii.

Alka podeszła bliżej, zasłaniając się przed Kaliną krzesłem, podklejonym filcem, więc sunęło

bezszelestnie. Ale zaraz potem coś wypadło z ciemnej tkaniny przewieszanej przez oparcie, zagrzecotało na podłodze i potoczyło się, znikając pod kanapą. Alka dotknęła tkaniny, przyjrzała się jej. To były spodnie rodem z urzędu pocztowego z lat dziewięćdziesiątych.

Daria zerwała się z krzesła i zaraz pojawiła obok.

– Myślisz, że powinnam się przebrać, zanim przyjedzie policja? Bo ciągle mam na sobie te dżinsy od Zuzi.

– Pewnie powinnaś zostać w tym, w czym byłaś, kiedy... no kiedy umarła Bietka.

Daria zamrugała. Oczy miała czerwone – dwie purpurowe plamy w białej twarzy.

Kalina dalej pracowała nad swoimi obrazkami, kartka za kartką.

– O co jej chodzi? – spytała Daria. – Co ona tam smaruje?

Alka wzruszyła ramionami.

– Dzieciak odreagowuje, jak umie. – Uśmiechnęła się. – Śmieszne, że mówię o niej „dzieciak”. Ale chyba tak właśnie o niej myślę.

– Daj te spodnie, jednak się przebiorę. Wolałabym normalnie wyglądać, gdy przyjadą.

Daria chwyciła spodnie w pół, z kieszeni znowu coś wypadło. Tym razem zatrzymało się przed kanapą. Alka pochyliła się, podniosła. Czerwony klips z plastiku, wątpliwa ozdoba ucha. Daria wzruszyła ramionami, zabrała go szybko i zacisnęła w dłoni.

– Nic nie mów. Pewnie mi nie pasują do stroju. Tak przeczuwałam, więc je zdjęłam, zanim tu przyszłam. Ciekawe, gdzie jest drugi... – rozejrzała się i zniknęła w łazience.

Alka kucnęła, sięgnęła po flamaster Kaliny i wsunęła go pod kanapę. Wydłubała kota z kurzu, ale gmerała dalej. Jest! Spod kanapy wytoczył się drugi czerwony klips.

Kalina przestała kreślić czerwone kropki. Jej flamaster zamarł nad kartką. Alka obracała w dłoniach ozdobę. Raczej znak graficzny niż biżuteria.

– Co mi chcesz powiedzieć, Kalinko?

Kalina zamarła wśród oznaczonych na czerwono kartelek, jeśli można było jeszcze bardziej znieruchomić. Alka dałaby głowę, że nie porusza jej się nawet klatka piersiowa.

– Chodzi o Darię?

Machnęła głową w kierunku łazienki.

Nic. Tyle że flamaster drgnął leciutko. Po chwili Kalina wyciągnęła drugą rękę, tę bez flamastra.

Alka dała krok w tył – ciągle pamiętała imadło palców na łydkach Hani. Tyle że Kalina nie miała na celu jej łydek, lecz kolejną czystą kartkę. Zaczęła rysować. Tym razem nie smarowała czerwonych kropek, lecz węże. Robale, jak nazwała je któraś jeszcze niedawno temu. Wielkie robale ułożone w S. S, a obok kwadrat. Następna kartka. S, a obok znowu kwadrat. I kolejny. Pewnie Kalinie łatwiej by było, gdyby mogła przystawiać pieczętkę.

Alce przypomniała się pieczętka Bietki, którą na podpisywanych przez siebie egzemplarzach stawiała (wzorem swojej blondwłosej poprzedniczki, bo od niej również ściągnęła wszystkie dobre pomysły) odbitkę korony i podpis, że jest prawdziwą królową kryminału, jakby kto mógł na chwilę o tym zapomnieć. Ciekawe, czy prawdziwa królowa będzie miała koronę na trumnie. Gdyby miała na to jakkolwiek wpływ, to na sto procent.

Nie, nie wypada tak myśleć, zreflektowała się Alka. Robal i skrzynka. Trumna? Gdzie mała miałaby widzieć trumnę? Jakiś czas temu zmarła jej matka. Czy to możliwe, żeby zabrali Kalinę na pogrzeb? Pewnie nie. Ale nawet jeśli, to ta skrzynka ma zupełnie inny kształt.

Alka rozejrzała się po pokoju. Wszystko było tu miękkie, zaokrąglone, poza telewizorem i szybą w kominku. Podeszła do kominka, otworzyła drzwiczki. Ogień dogorywał. Roztrąciła

popiół pogrzebaczem. Nic.

Kalina produkowała kolejne robaki i pudełka, pojękując przy tym rytmicznie. Gdyby Alka nie wiedziała, że młoda ma mentalność trzylatki, i to takiej wycofanej, pomyślałaby, że parodiuje akt seksualny. Jęk i stęk.

– Co to za dźwięki? – skrzywiła się z niesmakiem Daria.

Spłoszona Zuzia obróciła się, podeszła do sprzętu grającego. Włączyła jakąś starą płytę Stonesów, w którą idealnie wpasowało się rytmiczne stękanie Kaliny. Czerwona po uszy, podkreśliła głośniejsze.

– Ona tak czasem ma, nie przejmujcie się.

A Kalina, nie przestając stękać i pojękiwać, narysowała kolejnego robaka przy pudełku. Robak w kształcie S. Jak... Alka się rozejrzała. Jak sofa? Jak siostra? Bzdura.

Prostokąt jak laptop.

Gdzie Zuzia trzymała swojego laptopa? W salonie go nie ma, w kuchni też.

– Dokąd idziesz? – ocknęła się Daria.

– Siku – wzruszyła ramionami Alka. – Przecież na dole nie wolno.

Weszła na schody.

Sypialnia pana i pani domu. Na szafce nocnej książka Bietki. Widać Zuzia też dołączyła do fanklubu autorki połączonego hasłem: jak o kimś mówią w telewizji, to na pewno jest świetny. Na stoliku nocnym po stronie mężczyzny telefon stacjonarny, obok niego „Polityka” i jakiś „Newsweek”. Laptopa jednak nigdzie nie było. Gdzie jeszcze Zuzia mogła go wtrynić? U Kaliny leżał tylko sprzęt Ignacego. U Uliany nie było żadnego kompa. W łazienkach nikt raczej nie trzyma wrażliwego sprzętu. Gabinetu nikt tu nie przewidział.

Czy to możliwe, żeby Zuzia obsługiwała swoje całkiem obfite mailowo-facebookowe życie wyłącznie z telefonu? Albo żeby pożyczła laptopa od syna?

Pewnie fałszywie zinterpretowałam bazgroły Kaliny, pomyślała Alka. I wyszła z sypialni, choć tak naprawdę miałyby ochotę zagrzebać się w pościeli i wyłączyć choć na moment.

W środku mnie coś puka. Głośno. Szybko. Moje ręce przyspieszają. Poszły. Gdzieś wszystkie poszły, siedzę tu sama, ale coś czuję. Na zewnątrz. Jak nie będziesz cicho, przyjdzie wilk i cię zje. Nie jestem cicho. Nie potrafię. Czarne cienie wchodzą w światło. Rytm nie daje ulgi. Puk, puk w środku, coraz szybciej, bolą kostki na dłoniach. Wilk coraz bliżej.

Gdzieś w górnych rejonach domu Alka usłyszała wkurzającą piosenkę Rihanny. Zuzia lubiła kobiece śpiewanie i raczyła je nim równie obficie co jedzeniem. Ale to w salonie. Co gra tutaj na górze, irytująco powtarzając kilka taktów?

Alka zawróciła w kierunku dźwięku. To musiał być ten telefon stacjonarny w sypialni. Kto może dzwonić do nich o – spojrzała na kolorowy zegar George’a Nelsona, który może i wyglądał jak zabawka, ale kosztował według Zuzi kupę kasy – o wpół do drugiej w nocy? Pewnie policja.

Weszła do sypialni. Rihanna nadal dawała z siebie wszystko. Alka zawahała się, ale podniosła słuchawkę. Rihanna wreszcie zamilkła. Alka też milczała. Słysząc było tylko oddech rozmówcy. Wreszcie odważyła się na cichutkie: „Słucham”.

– Halo? – odpowiedział jej męski niski głos. – Halo? Kto mówi?

– Pan dzwoni, pan się przedstawia. Zwłaszcza o tej godzinie.

– Gdzie jest Zuleńka?

Alka się zawiesiła. Zuleńka?

– Zuzia? Chodzi panu o Zuzię?

Trzask odbieranego telefonu. W słuchawce głos Zuzi.

– Halo?

Musiła odebrać na dole, w kuchni.

– Halo? – odezwał się mężczyzna. – Zuleńka?

Powinam się wyłączyć, pomyślała Alka. Wstrzymała oddech i mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

– Nie, to niemożliwe – wyjąkała Zuzia. – To nie ty.

– Ja, Zuleńko. Ja.

– Wydzwaniasz tu od paru dni. I sapiesz.

– Nie sapię – mężczyzna trochę się zdenerwował. – Milczę. Słucham twojego głosu.

– Teraz, po tych wszystkich latach?

Zamilkła. Oboje milczeli. Zuzia jednak okazała się słabsza, bo odezwała się pierwsza. No i bo słyhać było, że powstrzymuje płacz.

– Ostatni raz słyszałam twój głos tak dawno, że nawet go nie poznałam. Po co tu dzwonisz w środku nocy?

– Wiedziałem, że nie śpisz.

– Skąd wiedziałeś?

– Widzę.

– Gdzie jesteś?

Kilka szurnięć w słuchawce, Zuzia pewnie podeszła do okna.

– Chcę cię zobaczyć – nalegał mężczyzna.

– Po co?

– Jestem niedaleko.

– To nie jest powód.

– Chcę pozamykać pewne sprawy.

Chwila ciszy. Po każdym zdaniu mężczyzny chwila ciszy.

– Nie możesz tu teraz przychodzić! – Głos Zuzi zaraz się rozsypie we łzawe paciorki.

– Co się tam u was stało, Zuleńko?

– Nie wolno ci tak do mnie mówić. I zabraniam ci patrzeć na nas. Zabraniam, rozumiesz?

Alka jeszcze nigdy nie słyszała Zuzi tak roztrzęsionej.

– Masz rację. Nie chcę tylko patrzeć. I słuchać cię przez telefon. Przyjdę, dobrze? – czarował mężczyzna.

– Tylko spróbuj. Wezwę policję.

Trzask odkładanej słuchawki.

Biedna Zuzia – pomyślała Alka. – Jeszcze i to tej nocy. Jeszcze jakiś facet z przeszłości, natrętny prześladowca, który pewnie od jakiegoś czasu krąży po okolicy, skoro widzi, że nie śpimy. Prześladowca na pustkowiu.

Zadrzała. Niech policja wreszcie się tutaj pojawi. Jak najszybciej.

Już miała zejść do salonu, by uspokoić roztrzęsioną Zuzię, gdy wpadła na jeszcze jeden pomysł. Spod drzwi pokoju Ignacego prześwitywała łuna. Podeszła, nacisnęła kłamkę. W nos buchnęły jej niestrudzone perfumy *Angel* i używana podpaska. Już nie tatar. Śmierć krok za krokiem szła w coraz mniej apetyczną stronę.

Po raz pierwszy od dawna Bietka jej nie drażniła. Właściwie Alka nawet jej współczuła.

Przesuwała się ostrożnie pod ścianą, oszczędzając rozdeptane plamy. Dotarła do biurka. Sterty rzeczy jak to u nastolatka, jak u jej dzieci, nieco od Ignacego młodszych. Karty pracy, testy, wypełnione i nie, wydruki bryków, opakowania od gier, komiksy, niekiedy nawet jakieś książki, liczne ładowarki, podstawa pod laptopa i zasilacz do niego. Ciekawe, jak by się rozwijał związek Ignacego z Bietką, gdyby ktoś tak brutalnie go nie przerwał. Czyby nadal się dogadywali nad przepaścią wieku? Czy jednak wolałby to, co obok – ciepłe, młode i z wojenną przeszłością.

Laptopa Zuzi nigdzie jednak nie było. Bo i dlaczego miałyby być akurat tutaj. Jeśli w ogóle istniał.

Nie, zaraz, Zuzia przecież rozkręcała firmę. Halloumi i lutenica. Nie miała, co prawda, gabinetu, ale przynajmniej komputer musiała mieć, skoro handlowała z zagranicą.

Zostało ostatnie miejsce, którego jeszcze nie przeszukałam – wzdrygnęła się Alka. – Nie, nie zrobię tego.

Zrobiła.

Nie podnosząc koca, wsunęła pod niego rękę, nie, nie tam u góry, gdzie widniała brązowiejąca plama, lecz tam, gdzie były stopy, nogi Bietki. Sunęła tak dłonią centymetr po centymetrze, aż dotarła do szorstkich rajstop okrywających skórę emitującą zimno z mocą porządnej lodówki. Cofnęła dłoń. Nie, nie chcę jej dotykać. Przejechała palcami tym razem po materacu, wzdłuż nóg, od stóp w górę. Bingo! Natrafiła na twarde geometryczny kształt. Chwyciła go i wysunęła. Laptop. Nieduży, z białym wiekiem. W złączu USB pendrive. Drewniany, z czarniawym bazgrołem na wierzchu. Alka pochyliła się. Rozmazana pieczętka z koroną i podpisem, że Prawdziwa Królowa Kryminału.

Powinna wsunąć laptop z powrotem pod Bietkę i zostawić rzecz policji. Zamiast tego jednak wzięła go pod pachę i wyszła. Zanurkowała do łazienki, usiadła na zamkniętej klapie sedesu. Obejrzała dłonie, bluzkę. Nie, nie pobrudziła się krwią. Podniosła klapę laptopa. Monitor ożył. Jakieś zdjęcie. Splątane czarne nici jak na rysunkach Kaliny.

Alka przyglądała się temu gąszczowi. Bezlistny krzak zimą? Brudna pajęczyna?

Uderzyła w spację. Film ruszył, a razem z nim czarna płatanina. Kamera odjechała o krok do tyłu. Żaden krzak. Busz ciemnych włosów, między nimi blada skóra. Skóra łydki. łydka poruszała się nad czymś równie włochatym. Nad tyłkiem pracującym jak tłok.

Tyłek należał do mężczyzny, który przyciskał właścicielkę łydki swoim ciężarem. Uprawiali seks, filmowany gdzieś znad pleców mężczyzny. Kamera drżała w ręku operatora. Owłosiona para nie była więc sama, musiał się tam znajdować również ktoś trzeci, wścibski i niedyskretny, niezdarny, ale uparty, który z tej perspektywy pokazywał krocze kobiety, rytmicznie i monotonicznie napełniane przez członek. Jęk i stęk. Jak na planie amatorskiego pornosu. Czyżby taki właśnie film oglądała Bietka przed śmiercią?

Alka zatrzymała film, sprawdziła. Tak, film był wgrany na pendrive'a Bietki. Pod tytułem „Do tekstu?”. Do jakiego tekstu? I czy Bietka sama to oglądała, czy też komuś pokazywała? Tuż przed śmiercią? Po co?

Alka znowu kliknęła w spację. Akcja ruszyła. Zero rozpoznawalnych twarzy, zero twarzy w ogóle. Z mężczyzny widać było tylko umięśnione pośladki i plecy, z kobiety – owłosione łydki, włosy i ucho.

Które zdobiło coś czerwonego, okrągłego i błyszczącego.

Facet jęczał rytmicznie, kobieta poddawała się jego pchnięciom w ciszy. Nie pokazywała twarzy, tylko to ucho, falkę włosów za nim, krocze i nogi.

Krocze było jeszcze bardziej włochate niż busz na łydkach.

O, znowu kamera odjechała, jęk za jękiem, westchnienie za westchnieniem, włochaty tyłek monotonnie walił w kobietę, która odchyłała głowę od kamery i wcale nie miała zamiaru pozorować rozkoszy, sztywna raczej i prosta, jakby występowała bez przekonania w szkolnej akademii.

Udo kobiety ruszało się miarowo pod dotknięciem mężczyzny. Udo przysłonięte dłonią kobiety. Dłoń na chwilę się podniosła i wtedy Alka zobaczyła: udo w połowie znaczyła biała plama. Biała plama z czerwonym półksiężycem blizny. Nie, to niemożliwe. Alka zatrzymała film, cofnęła. I jeszcze raz. A jednak. To była blizna Darii. Jej udo.

Bzdura.

Westchnienie. I kolejne. Tym razem z boku. Czy zamknęłam drzwi łazienki na zasuwkę?

Spojrzała w lewo. Daria stała przy niej.

– Zajęte. Ale zaraz wychodzę – oznajmiła Alka, ale trochę się z tym spóźniła, bo Daria wrzasnęła:

– Skąd to masz?! Po co to oglądasz?!

Alka skuliła się na sedesie. Daria zatrzasnęła laptopa na jej kolanach i wypiętrzyła się nad nią, wysoka, czerwona na twarzy, grubokoścista.

Czerwone klipsy, które wypadły ze spodni Darii. Czerwone klipsy w uszach kobiety bez twarzy z tego filmu. Czerwone klipsy modne w latach dziewięćdziesiątych, jakie każda normalna kobieta już dawno wyrzuciłaby na estetyczny śmietnik historii. Czerwona blizna na białej skórze uda.

– Ten film był nagrany na pendrivie Bietki.

Daria wyszarpnęła pendrive'a ze stacyjki i ścisnęła go w garści, jakby chciała go anihilować. Oddychała szybko. O wiele szybciej niż na filmie.

Samo to, że Daria uprawiała z kimkolwiek seks, wydawało się Alce przedziwne. Daria z zaroślami na nogach, ze sztywnym kręgosłupem prymuski, z twarzą dziewiczej nauczycielki, o której nie ważyłby się marzyć żaden uczeń. Myśl o Darii kochającej się z kimkolwiek wydawała się Alce równie niewłaściwa jak myśli o seksie własnych rodziców. Ale mało tego, Daria pozwalała to filmować. Odbывało się to po amatorsku, niezdarnie, ale na pewno za jej wiedzą, bo wszak nie dało się nie zauważyć wścibskiego operatora kamery, niemal wchodzącego z obiektywem w krocze. Wiedziała, że jest filmowana. Pewnie dlatego była na tym filmie taka sztywna. Zachowywała ciszę, prosty kręgosłup, klipsy i schludną fryzurę.

Alka próbowała powstrzymać głupi chichocik.

– Przestań – powiedziała Daria przez zaciśnięte zęby.

Ale Alka chichotała dalej. Tamta nie miała prawa jej rozkazywać. Nie po tym, co Alka widziała.

– Nie możesz nikomu powiedzieć o tym nagraniu, rozumiesz? Nikomu – groźba w głosie Darii.

I nagle Alka zrozumiała.

– To nie był twój mąż, prawda?

Łuna za łuną na tej prawie dziewiczej mimo wieku twarzy. Daria odchrząknęła, po czym powiedziała:

– Błędy młodości, któż ich nie popełnia.

Młodości? Daria nie wyglądała na tym filmie szczególnie młodziej. Szczerze mówiąc, wyglądała, jakby nakręcili ten film wczoraj. Może tydzień temu.

– Zapomnijmy o tym obie, OK? – Daria machnęła ręką z pendrive'em.
Alka wyciągnęła do niej dłoń.
– Oddaj. Nie wolno nam przecież chować niczego, co dotyczyło Bietki.
Daria splótła dłonie za plecami.
– To nie ma z nią nic wspólnego.
– Przecież to dowód! – zdenerwowała się Alka.
– Na co?
– Przecież znalazłam go... – ale Alka zamilkła. Nie, tego nie powie.
– Ten... ta rzecz nie ma nic wspólnego z jej śmiercią! – podniosła głos Daria. – Cokolwiek teraz ci się wydaje, ta sprawa nie ma nic wspólnego z jej śmiercią.
– Nie mnie to oceniać, naprawdę – rzuciła banałem Alka, lecz przecież wszystko w niej chodziło na najwyższych obrotach. – Zresztą, Daria – ciągnęła – ja przecież to w pełni rozumiem. Nie pozwoliłaś Bietce zniszczyć ci życia. Nie przez głupotę, którą ci się raz zdarzyło popełnić. Przecież taki film, raz ujawniony, odebrałyby ci wszelkie szanse. Gdyby ktoś go zobaczył, nigdy nie zostałabyś posłanką partii mającej na sztandarach wiarę i rodzinę. Stałabyś się pośmiewiskiem większym niż Kazimierz Marcinkiewicz.
Umilkła. Bo oto Daria pochylała się nad nią.
Babciu, dlaczego masz takie wielkie ręce?
Żeby objąć nimi twoją cienką szyjkę.
Alka wstała, ale i tak jej twarz znajdowała się sporo niżej niż Darii, której wzrost znacznie przekraczał metr siedemdziesiąt. Alka patrzyła jej w oczy jak amstafowi i jak z amstafem nie mogła rozszyfrować: skoczy czy nie. Zanim Alka zanurkuje obok niej, żeby się przedostać na dół, do dziewczyny, ta ucapi ją tą wielką łapą za włosy. Za sweter. Za kark.
– Co robicie, dziewczyny, wwww dwie w łazience? – zza ramienia Darii wychynęła wścibska głowa Zuzi. Język jej się plątał, pewnie próbowała się trochę znieczulić po tym przerażającym telefonie. – I to na sssedesie? I to z moim laptopem?
I już przepychała się obok Darii wypełniającej przejście, i już się kręciła, rozglądała, pachniała alkoholem i zmęczeniem, choć silniej płynem do płukania tkanin, „mówcie mi: Coccolino”. Wyciągnęła dłoń po komputer, dodając jeszcze:
– Gdzie on bbbył? Szukałam go.
Skrepowana cisza, jakby co najmniej przerwała im bardziej zaawansowany petting.
– Co się z wami dzieje? – zaniepokoiła się Zuzia.
– Wiem, która z nas miała najsilniejszy motyw, żeby zabić Bietkę – odpowiedziała Alka.
– Nie zzzrobiłam tego!!! – zdenerwowała się Zuzia. – Ile razy mam powtarzać! Nigdy nie zzzrobiłabym tego swojemu dziecku!
– Nie chodzi mi o ciebie – sprostowała Alka.
Zaskoczona Zuzia przesuwiała wzrok z jednej na drugą.
– Co wy knujecie? – W drzwiach łazienki pojawiły się Hania z Ulianą.
– Alka wygaduje jakieś dziwne rzeczy – podsumowała Zuzia.
Chwyciła delfina z parapetu (Co pluszak robił w łazience? Pewnie to samo co dwa kolejne upchane obok) i przytuliła. Czterdzieści dwa lata i szuka wsparcia w zabawce.
– Wyobraźcie sobie, że Alka właśnie mnie oskarżyła – stwierdziła Daria.
– Ciebie? – zdziwiła się Hania.
Alka odchrząknęła. Jak to przedstawić, żeby samej się nie wkopać?
– Alka, nie. Proszę – powiedziała Daria. Sążnięcie wydmuchała nos. I dodała spokojnie: –

Sama przecież w to nie wierzysz.

Pendrive zdążył już gdzieś zniknąć.

Daria czuła się, jakby występowała przed wyborcami – panowanie nad sytuacją, pełna kontrola, ani jednego zbędnego słowa. Starła się nawet nie marszczyć czoła, jakby poddała się zastrzykom z botoksu, co regularnie doradzali jej partyjni specjaliści od stylizacji.

Nie, Alka już nie ma dowodu. Nic więc nikomu nie powie. A nawet jeśli, to kto jej uwierzy? Pomyślą najwyżej, że chce odsunąć podejrzenia od siebie.

Skąd ona wzięła ten film? I to na pendrivie z tą śmieszoną pieczątką Bietki?

Może to znak. Może powinnam wycofać się zawczasu z kandydowania? Zanim zrobi się skandal, a ja stanę się najbardziej wyśmiewaną osobą publiczną w Polsce. Okrywając hańbą nazwisko i partię.

– Skąd Bietka wzięła ten film? – drążyła Alka. Na szczęście z jej twarzy zniknął ten dumny uśmiezek.

Nie, nikt nie będzie się ze mnie śmiał – postanowiła Daria. – Ani Alka, ani nikt inny.

– Jaki film? – plątał się głos Zuzi.

– Bietka? Wzięła jakiś film? – zdziwiła się Hania.

– Film, na którym... – zaczęła Alka.

– Przestań. O tym. Mówić – wycedziła Daria przez zęby. – Nie ma żadnego filmu.

– Jakiego filmu? – dopytywała się Zuzia.

– Nie ma go. Nie ma – upierała się Daria. – Alka nadinterpretuje. I nie mam pojęcia, dlaczego mnie oskarża.

Hania pogłaskała ją po rękę.

– Kochana, Alka na pewno nie ma nic złego na myśli.

– Nie mam – zgodziła się Alka. – Uważam tylko, że Daria miała motyw i kropka. Schowała go właśnie.

Hania przytuliła przyjaciółkę, osłaniając ją przed Alką, co było o tyle zabawne, że była od Darii prawie o głowę niższa.

– Jaki motyw? Co schowałaś? – zainteresowała się Zuzia. – Przecież Bietka miała o niej pisać.

– No właśnie.

– Przestańcie gadać zagadkami! – zdenerwowała się Uliana, która jeszcze przed chwilą wodziła w milczeniu wzrokiem od twarzy do twarzy. – O czym wy mówicie? Ja mam dość was, tego śniegu, tej Polski. Tam leży wasza koleżanka, a wy, zamiast ją opłakiwać, znowu mówicie dziwne rzeczy. Tak się nie robi.

– Co nam da opłakiwanie? – obruszyła się Alka. – Zresztą kto by chciał płakać po Bietce? Ty? – kiwnęła brodą w kierunku Uliany. – Nie sądzę. A może ty? Albo ty? – Spojrzała na Zuzię. Potem na Darię. – Oddaj ten pendrive. Należał do Bietki.

– Jaki pendrive? – zdziwiła się Daria.

Spoczywał w jej kieszeni, a zaraz spocznie w jeszcze bezpieczniejszym miejscu, w kanalizacji może, natomiast Bietka i jej nadmierna wiedza o najbardziej wstydlivym incydencie z życia Darii spoczywają pod szarą narzutą. Sytuacja więc tak jakby opanowana.

– Kłamiesz, Daria. Kłamiesz w żywe oczy – zdenerwowała się Alka. – Dziewczyno, ona mi zabrała dowód rzeczowy.

– Alka, proszę, uspokój się. Nie kłóć się – zainterweniowała Zuzia cienkim głosem. – Nie tutaj.

Jakby miejsce kłótni cokolwiek mogło zmienić w naturze ich konfliktu.

Twarz Alki zaczynała czerwienić. Daria wiedziała, co to znaczy: Alka zaraz wpadnie w szał.

– Nie tutaj, kiedy o kilka metrów stąd leży Bietka – pojękiwała Zuzia. Barwa jej głosu teraz całkiem przypominała głos Kaliny.

– A mnie się wydaje, że w Alce znowu wzięła górę pisarska natura – dołączyła Daria. – Bo co? Bo u ciebie w książce miała zabić właśnie ta pani polityk, która głosi wartości chrześcijańskie? No tak, to byłaby fajna przewrotka. I ucierałaby nosa tym cholernym prawicowcom, prawda?

– Daria! – wykrzyknęła Zuzia zgorzozna. – Przecież Alka na pewno nie ma nic takiego na myśli. Alka, prawda?

Alka zacisnęła usta. Zaraz krew tryśnie jej z policzków. Niech wybuch, stanie się jeszcze mniej wiarygodna. Więc Daria dociskała:

– Nie ma? Cóż. Już nie mogę słuchać tych jej uwag o oszołomach, o kanałowym myśleniu. A ona jak niby myśli? Też kanałowo, zapewniam cię. Wybrała tylko inny kanał. I tak łatwo stamtąd oskarżać ludzi, prawda?

Alka z trudem powstrzymywała wybuch. Oddychać głęboko, oddychać. Skupiła się na powietrzu, które wydychała z płuc. Powoli. Jeszcze wolniej. Puuuść.

Rozluźniła zaciśnięte usta, przymknęła oczy. Wdech, wydech. Krew powoli przestawała buzować, pięści się rozluźniały. W tym wszystkim nie chodziło przecież o światopogląd, o jej rację ani o to, by dokopać Darii, lecz o sprawy znacznie bardziej fundamentalne. Przede wszystkim o motyw wgrany na pendrive'a. Daria musiała ciągle go mieć przy sobie, bo przecież nie wychodziła z łazienki. Ale nie przeszukam jej siłą. Muszę go jednak jakoś wydostać. Muszę. No bo co ja teraz powiem policji? Co ja im powiem? Matnia, kręciła głową Alka. Matnia. Bo jaka jest prawda? Fatalna. Przeszukałam łóżko dookoła trupa, przez co prawdopodobnie zafałszowałam liczne ślady (dreszcz na plecach na wspomnienie zimnej skóry Bietki, tak dobrze wyczuwalnej pod szorstkimi rajstopami). Staję się więc podejrzana. No i przecież niczego nie udowodnię Darii bez tego pendrive'a. Muszę więc skłamać. A właściwie nie powiedzieć całej prawdy. Nie przeszukiwałam zwłok Bietki, więc nie mam pojęcia o żadnym filmie. Nie mówię o tym policji ani słowa. Tyle że wówczas kryję osobę z najpoważniejszym motywem. Morderczynię, nie bójmy się tego słowa. Kryję morderczynię.

Tak, nagle wszystkie elementy układanki dopasowały się do siebie. Daria jako jedyna z nich nie piła. Była duża, silna, o głowę wyższa od swojej szczupłutkiej ofiary. A Bietka miała okazję zniszczyć jej życie i karierę. Zapewne by z tej możliwości skorzystała, taka była, pozbawiona skrupułów, już Alka wiedziała o tym najlepiej. Nie było pewnie innej możliwości, żeby zamknąć jej te usta w kształcie serduszka, niż przejechać nożem po skórze o kilka centymetrów niżej.

Alka miała pewność: to Daria zabiła Bietkę. Bietkę, która była naprawdę dobra w researchu, trzeba jej to przyznać. Skąd ona wygrzebała ten ohydny filmik? Czyżby o tym miał być ten artykuł Bietki? „Ujawniamy tajemnice kontrowersyjnej kandydatki”. „Królowa prawicy ukrywa się z drugim życiem”. Co najmniej przez miesiąc Daria byłaby na ustach wszystkich. Zostałaby wszechobecnym memem, otoczona wieczną hańbą i kpina, zaszczuta przez hejterów. A w partii nie miałyby już szansy na nic więcej niż kserowanie ulotek na zapleczu.

Lepiej było zabić.

Bóg Darii świadkiem, że teraz cieszyła się ze śmierci Bietki. Radość. To może nie najlepsze

słowo. Chyba lepiej mówić o uldze. Nie da się bowiem ukryć, że byłoby naprawdę strasznie, gdyby ten filmik albo nawet sama wzmianka o nim przedostały się do wiadomości publicznej.

Daria nagrała go półtora roku temu. Choć od razu starała się wyprzeć to z pamięci, ciągle wracał jej przed oczy widok owłosionego ciała, dotyk zimnej, lekko wilgotnej skóry czy, to było najgorsze, tłok napęniający ją rytmicznie i wycofujący się, w dół i w górę, przez każde w górę dotkliwiej czuła każde w dół.

Nigdy tego nie oglądała, ponieważ bała się, że zamieni się w słup soli z obrzydzenia. Nie chciała nawet sprawdzać osobiście, czy nie widać tam jej twarzy. Marek zapewnił ją, że nie, zaufała mu, a więcej o tym nie rozmawiali. Brzydziła się spojrzenia swojego męża zza kamery, tego upartego wnikania obiektywu w takie części ciała, które chciałyby pokazywać wyłącznie sedesowi i wannie. No, może jeszcze mężowi, gdyby on nie wolał oglądać ich na filmie.

Taka właśnie była brudna tajemnica ich małżeństwa.

Skąd wzięła film ta cholerna Bietka?

Tamten facet, pomyślała Daria. To musiał być tamten, trzecia osoba w tym wszystkim. Choć przecież mężczyzna był przypadkowy. Właściwie nie widział jej twarzy, nie miał szans jej rozpoznać, nie miał żadnych szans na otrzymanie kopii tego filmu, nie mógł też mieć pojęcia, kim jest Daria, bo pochodził z kraju, który nie odbierał polskiej telewizji. To Marek go znalazł, Daria nawet nie chciała się zastanawiać gdzie. Tak, to Marek wszystko zorganizował. Poświęcił temu mnóstwo czasu i trudu. Nic dziwnego, naprawdę mu zależało.

Potrwało kilka lat, zanim Daria zrozumiała, czego jej mąż naprawdę potrzebuje. Że woli patrzeć, niż działać samemu. A jeśli już ma działać, to tylko pod warunkiem że przedtem popatrzy. Daria jednak nie mogła angażować do każdej próby poczęcia potomka osób trzech. Nie, to było ponad jej siły. Zrobiła to więc tylko raz. Ten potworny, filmowany przez Marka raz. Nagrany, by Marek mógł go sobie odtwarzać w odpowiednich momentach. Ten jeden raz, który właściwie udało jej się wyrzucić z pamięci. Czasem tylko przypominał jej się chlupot. Stękanie. Jęki. Ale zaraz włączała wycieraczki, by usunąć te obrzydlistwa poza pole widzenia. Pamiętała tylko palce, które wciskała w starą bliznę na udzie.

Przez cały czas, przez cały ten czas nagrania przebywała gdzie indziej. Na miejscu zostało tylko jej ciało, jak wówczas, gdy ginekolog grzebał jej w łonie tymi bolesnymi narzędziami. I tu, i tam cel był podobny: dziecko. Począć dziecko. To znaczy nie z tamtym, o nie. Chodziło raczej o to, by zapewnić sobie możliwość poczynania na długie lata. Z Markiem. Cel uświęcał środki. Cel uświęcał wwiercanie się w jej środek tego wielkiego dłuta. Była w stanie przecierpieć wiele, żeby utrzymać związek i począć w nim potomstwo. Byle utrzymać męża przy sobie. Bo on tego potrzebował.

Krok po kroku, znak po znaku poznawała dzieciństwo Marka. Raz wspomniał, że mieszkali z matką w kawalerce przegrodzonej tylko regałem. Innym razem, że matka bezskutecznie szukała miłości i opieki, oddając się kolejnym niedoszłym ojczymom. Kiedyś Marek napomknął, że musiał zamykać oczy, żeby tego nie widzieć, ale nie było sposobu, żeby nie słyszał. Wiele nie mówił, ale Daria rozumiała: jej mąż został skrzywdzony. Przez życie, matkę, ażurowy regał. No i przez tamtych facetów, którzy nie wahali się uprawiać seksu przy dziecku, próbującym spać w tym samym pokoju.

Daria starała się nie potępiać kobiety, która za łapówkę z ciała załatwiała sobie odrobinę czułości, a przy okazji złudzenie bezpieczeństwa. W końcu robiła to również dla syna. Może nie widziała innego wyjścia? A poza tym już od dawna nie żyła.

Daria przepowiadała sobie tę historię, usprawiedliwiając Marka, powtarzając sobie, że mało

kto mógłby zostać przy tym wszystkim normalny. Naprawdę mało kto. Nie powinnam być na niego zła, nie powinnam, powtarzała sobie.

„Dzisiaj jest TEN dzień. Czy potrzebujesz się przygotować?” – pytała go Daria. Potrzebował. Zawsze potrzebował. Siedział przez jakiś czas z filmem w swoim gabinecie, a potem szybko szedł do sypialni, obrzydliwie rumiany, gotowy, by zająć się Darią, rozebraną jak do badania. I nadal wolał oglądać, niż działać, ale przecież nie należała. Upierała się tylko w tych dniach, gdy wiedziała, że mają szansę poczęcia.

Nigdy też o tym filmie nie rozmawiała. Ani z Markiem, ani z nikim innym. No dobrze, powiedziała o tym jeden jedyny raz, kiedy spowiadała się w obcym kościele, na Pradze. Nigdy tam nie chodzili na mszę, nie znała stamtąd żadnego księdza, ale i tak do spowiedzi włożyła szalik po brodzie i grube okulary. Pan Bóg ustami księdza najpierw się strasznie zdziwił (co za wstyd, co za straszny wstyd, spuściła głowę, milczała, klęczała, czekała, aż tamten wreszcie przestanie o tym mówić), a potem w imieniu Boga przebaczył. Wtedy mogła starać się zapomnieć.

Gorzej, że z dzieckiem ciągle się nie udawało. Może robili to za rzadko. Może coś było nie tak z nią, choć ginekolog twierdził inaczej. Lekarz proponował też, by na badania przyprowadzić męża, zbadać jakość jego nasienia, ale tego Daria nie chciała robić. Doktor mówił, że nawet jak się okaże, że z mężem coś nie tak, zawsze zostaje in vitro.

– Chyba pan żartuje – podsumowała Daria i zmieniła lekarza.

Traciła wiarę, że się uda, ale się starała. Wypłakiwała się Hani, ale się starała. I tak się skończyło staranie: pendrive z najohydniejszą tajemnicą jej życia w rękach Alki. A przedtem Bietki. A taka się wydawała życzliwa, taka zaangażowana w tekst o Darii.

Tylko spokojnie. Daria odetchnęła głęboko, wyprostowała się. Teraz jest już bezpieczna.

W jej dłoni wylądowała krzepiąca dłoń Hani.

Jest bezpieczna i nie jest sama. I wcale nie wszyscy ją oskarżają. Jeszcze będzie lepiej.

Hania westchnęła i podniosła głowę, by spojrzeć Alce prosto w oczy.

– Nie chcę wnikać, jaki motyw przypisujesz Darii – powiedziała z mocą – ona jednak stanowczo nie miała sposobności skrzywdzić Bietki. Przez cały wieczór byliśmy razem.

– Chodziłyście nawet razem do kibelka? – zapytała Alka. – Do któregoś z tych na górze czy do tego na dole?

Hania się uśmiechnęła.

– Mówię o ostatniej półgodzinie przed śmiercią Bietki. Kiedy znikła wszystkim z oczu. Wyście wtedy ciągle gdzieś łążyły, a my z Darią siedziałyśmy na dole. Potem poszłyśmy razem na piętro, sprawdzić, o co ta cała awantura z Zuzią. Uznałyśmy, że nic nie pomożemy, więc wróciłyśmy na dół. Ruszyłyśmy się dopiero, kiedy usłyszałyśmy wrzask Uliany.

Alka wzdrygnęła się na wspomnienie tamtego dźwięku.

Czyli Daria nie miała możliwości zabić. To nie ona skróciła życie Bietki, cokolwiek znalazło się na tym pendrivie. Bo przykleiła się do Hani i korzystała z tego, że ma ją tylko dla siebie. Pewnie sobie gadały o tych kościelnych sprawach i nikt nie wtrącał złośliwych komentarzy.

– Przykro mi. Uznałaś, że jestem zdolna do morderstwa – oświadczyła Daria.

Teraz powinnam ją przeprosić czy jak? Ale za co? Za to, że szukam prawdy? I sprawiedliwości?

– Każdy jest do niego zdolny. Zależy tylko od bodźca – wzruszyła Alka ramionami.

– Strasznie masz pesymistyczną wizję ludzkości – uśmiechnęła się Hania i poklepała ją po plecach.

Przynajmniej ta się na nią nie gniewała.

– Sądząc po dzisiejszym wieczorze, to wizja całkiem prawdziwa.

– Tak czy siak, Daria tego nie zrobiła – upierała się Hania. – Mogę to zeznać pod przysięgą.

– Tak czy siak, to któraś z nas – powtórzyła Alka. – A zostaje coraz mniej możliwości.

Co za sens ma taka rozmowa? Takiego słownego ping-ponga można przecież ciągnąć w nieskończoność, pomyślała Daria. Alka marzyła o karierze medialnej, ale z tymi umiejętnościami konwersacyjnymi nie miała na nią żadnej szansy. Bietka miała co do niej stuprocentową rację. Nie każda pisarka nadaje się na królową.

W łazience powoli zaczynało brakować powietrza – pięć kobiet w wykafelkowanej przestrzeni, zapachy ich perfum, potu i włosów.

Alka przepchała się do wyjścia.

– Jeśli chcecie wiedzieć, o co mi chodziło, przeszukajcie kieszenie Darii. Ja odpuszczam.

Oparła się o okno na końcu korytarza. Z dołu dochodziło stukanie. Nie, nie pójdę do tej gadziokiej istoty. Osunęła się na podłogę, wtuliła w ścianę. Gładką i zimną. Zimna była też podłoga. Przysunęła do siebie fotel, oparła czoło o podłokietnik. Lepiej się czuła w takiej ciasnej norce. Tu zostanie aż do przyścia policji. Jeśli policja kiedykolwiek się w tym piekle pojawi.

Z łazienki wysunęły się Zuzia i Uliana. Alka patrzyła na nie znad poręczy fotela, sama ukryta w plamie cienia. Zuzia garbiła się, powłóczyła nogami średnio przytomna, jakby ktoś ją nagle obudził w środku nocy. Natomiast Uliana mimo późnej pory miała jeszcze jakąś sprężystość w krokach.

W łazience zostały tamte dwie. Niewinne. Bo dały sobie wzajemnie alibi. No dobrze, a skąd w takim razie te rysunki Kaliny? Czy ja naprawdę źle zrozumiałam, że chodzi o klipsy Darii? Jej łydki? Komputer Zuzi? Może jednak dobrze odczytałam te sygnały, tylko wyciągnęłam złe wnioski?

Tak, Alka już zaczynała rozumieć, o co mogło chodzić Kalinie. Zwłaszcza gdy przywołała dźwięki, jakie tamta wydawała z siebie, rysując. Dzieciak po prostu bardziej przejął się filmem, który jakimś cudem zobaczył, niż zabójstwem, któremu asystował spod łóżka. I to by było na tyle, jeśli chodzi o czerwone klipsy, posapywanie oraz udział Kaliny w śledztwie jako świadka.

Hania lubiła nieduże pomieszczenia. Z całego wielkiego domu Zuzi łazienki były najprzytulniejsze. No bo na co komu salony wielkości sali gimnastycznej, kanapy zagubione na połaciach podłogi, kuchnie wtulające się w kawałek długiej ściany i udające, że kuchniami nie są? W łazience wszystko miało ludzki wymiar.

Stała teraz pod oknem i patrzyła w ciemność. A ciemność patrzyła na nią, z góry, przez dwa symetrycznie rozmieszczone okna dachowe.

– Zapomniałaś, że nie byłam z tobą przez cały czas – powiedziała Daria.

– Naprawdę?

– Tak. Zuzia zamknęła się w tamtej łazience, poszłam więc do innej, żeby się załatwić.

Daria opierała się o parapet. Trzy pluszowe zabawki obok (czy naprawdę nic im nie dolegało w tej wilgoci?) powodowały, że wyglądała mniej majestatycznie niż zazwyczaj. Ładnie by jej było z dzieckiem w ramionach. Ładnie jej też było z tym rumieńcem, choć szkoda, że wyszedł również na dekolt. W telewizji powinna nosić bluzki zabudowane do szyi.

– Haniu, dlaczego dałaś mi alibi?

Hania uśmiechnęła się do niej. Kochana Daria. Tak bardzo uczciwa.

– Bo cię znam.

Hania przysiadła na brzegu wanny, który jednak okazał się zimny i nieprzyjemny, bo metalowy. Cóż, gdy cały świat kąpał się w wannach żeliwnych, bogacze kupowali akrylowe. Gdy wszyscy już mieli akrylowe, bogacze zaczęli inwestować w stal. Zawsze na odwrót. Co do niej, ciągle pozostawała przy akrylu. Przynajmniej tyłka nie ziębił.

– Haniu, policji też skłamiesz? Że byliśmy razem?

– Musimy tylko mówić to samo. Będiesz bezpieczna. A przedtem zlikwiduj tego pendrive’a. Najlepiej rozbij go młotkiem, a potem wrzuć do kominka.

Daria zamarła.

– Widziałaś ten film? – Głos jej zadrżał.

Hania nie mogła się powstrzymać. Wstała z zimnego rantu i podeszła do Darii. Objęłyby ją opiekuńczo, ale Daria była na to za wysoka. Pogłaskała ją więc po plecach.

– Tak. Bietka mi go pokazała.

Plecy Darii drgnęły jak w szlochu, choć twarz miała spokojną. Prawie. Hania nie mogła na nią patrzeć. Jej Daria. Jej twarda Daria, której nic nie było w stanie zmóc. Tak się rozsypała.

– Po co ci pokazała?

– Poprosiłaś ją przecież, żeby napisała o tobie. Mówiła mi, że się zgodziła, więc to zrobi, ale zapowiada się koszmarnie nudno. „Na szczęście”, tak powiedziała, więc „na szczęście właśnie udało jej się znaleźć coś ciekawego”. Puściła mi to.

Daria kręciła głową, skulona, jakby kto ją w brzuch walnął. Hania nigdy, ale to nigdy nie widziała jej w takim stanie.

– Nie obejrzałaś całości. Powiedz, że nie.

– Przykro mi – powiedziała tylko Hania. – Chciałam zatrzymać. Bietka znowu puściła. Bawiło ją to, śmiała się z mojej miny. Więc potem zamknęłam oczy.

– Po co to zrobiła? Po co ci to pokazała? – Dekolt Darii pulsował czerwienią.

– Tak właśnie spytałam – odparła Hania. – Tak spytałam. „Bietka, po co mi to pokazujesz? Daria jest moją przyjaciółką. Nie chcę patrzeć, jak się męczy”.

Boże, jaki z Bietki był potwór, jaki z niej był potwór – Daria kręciła głową. Jak wymazać ten film z wszechświata? Na razie nie tylko trzymał się mocno, ale też rozmnażał przez pączkowanie.

– I co powiedziała?

– Że chciała sprawdzić, jak powiernica Darii zareaguje na taką ciekawostkę. Tak to ujęła Bietka: ciekawostka. I powiernica. Gdy mi to włączyła, cały czas patrzyła na moją twarz. Chciała opisać w tekście, jak zareaguję na rozrywki mojej bogobojnej przyjaciółki. – Hania zamilkła na chwilę. – To jej słowa, nie moje.

– Boże, skąd ona miała ten film?! – ożywiła Darię nagła myśl.

Hania się zawahała.

– Powiedziała, że z internetu.

– Niemożliwe – przeraziła się Daria. – To nie jest możliwe! Nikt nigdy... Ja przecież bym... – Zamilkła.

Hania starała się ją uspokoić:

– Przecież tam nie widać twojej twarzy. Ani przez chwilę. Bietka poznała cię dopiero po tej bliźnie na nodze.

Daria dotknęła swojego uda przez szorstką tkaninę spodni. Jedna blizna na skórze, ale sporo więcej w duszy. Smutne pamiątki po trudnym dzieciństwie. A ona myślała, że już dała sobie

z nim radę. Przecież tyle lat, tyle spraw, tylu spotkanych dobrych ludzi, tyle szczęśliwego życia oddzielało ją od ojca i matki, od szafy w przedpokoju, w której Daria chowała się, gdy słyszała, jak tata, wracając, obija się o ściany klatki schodowej, co świadczyło o tym, że znów sobie popił. Mama stawiała przed szafą, opierała się o nią plecami, żeby przynajmniej Darii nie stała się krzywda. „Śpi u koleżanki” – wyjaśniała.

Daria kuliła się w szafie, starała się oddychać jak najciszej, zaciskała dłonie na uszach, żeby nic nie słyszeć. Owijała się w płaszcz pachnący mamą i udawała, że siedzą razem, gdzieś w ciasnych saniach, które uwożą je daleko stąd, a jedyne odgłosy, jakie do nich dochodzą, to dźwięk dzwoneczków i stukot końskich kopyt.

Nigdy w tej szafie nie jęknęła, nigdy się nie zsiusiała, nigdy nie dała o sobie znać. Poza tym jednym razem, gdy przez brzęk dzwoneczków i stukot kopyt jednak dotarły do niej niepokojące dźwięki.

„Nic się nie dzieje – powtarzała mama rytmicznie z nieodległej kuchni. – Nic się nie dzieje. Nic się nie dzieje”. Daria wiedziała, że mama mówi to do niej. Że ma nie wychodzić, cokolwiek by się działo na zewnątrz. Dziać się zatem musiało coś strasznego. Daria siedziała więc w szafie i żeby skupić się na czym innym, piłowała sobie udo drutem od wieszaka. Raz i raz, raz i raz, raz i raz, naprawdę porządnie bolało. Ale nie pomagało. Wreszcie Daria nie wytrzymała, wyskoczyła ze środka, gotowa bronić matki. Nie było jednak jej widać. W półmroku kuchni lśnił nagi, miarowo poruszający się tyłek ojca. „Nic się nie dzieje, nic się nie dzieje, nic się nie dzieje” – powtarzała zduszonym głosem matka gdzieś spod ojca, gdzieś znad blatu kuchennego. Darię замуrowało. Nic z tego nie rozumiała. „Nic się nie dzieje” – powtórzyła uspokajająco mama i zamilkła.

Ojciec odwrócił się i na widok miny Darii wybuchnął śmiechem.

Ten śmiech słyhać było jeszcze długo, nawet wtedy, gdy zła, zmieszana Daria zatrasnęła za sobą drzwi, by schronić się we wnęce okna na klatce schodowej. Uspokajało ją tylko pulsowanie uda związanego szalikiem, żeby nie krwawiło. Wygrzebała sobie w skórze naprawdę rozległą dziurę. Przez następne dni za każdym razem, gdy zeskrobywała strupek z rany, robiło jej się lepiej. Potem po prostu wystarczało, że dotknęła blizny. Kiedy jej dotykała, wiedziała: przetrwała tamto, przetrwa wszystko.

– Komu jeszcze Bietka pokazała ten film? Komu? – pytała Daria.

Hania uspokajała:

– Nikomu. Powiedziała mi, że znalazła go przed chwilą. Znaczący podczas tej imprezy. Ale że zawsze podejrzewała cię o różne perwersje. I proszę, miała rację. Tak powiedziała. Ona, gdy zobaczyła te twoje łydki, chciała nam dla jaj, tak się wyraziła, dla jaj pokazać filmiki z włochatymi.

– Z czym?

– Na portalach porno filmy są podzielone na podgatunki.

– Żartujesz. I...

– Tak. Jest dział „Amatorskie włochatki”. Tak powiedziała Bietka. No i właśnie tam... Tam znalazła ten film z tobą.

Boże, Daria już widziała te tytuły w tabloidach. Do końca życia będzie amatorską włochatką.

– Nie wierzę.

– W co?

– Że ten film się tam znalazł. Nie wierzę. Nie miał jak.

– Może kamerzysta wrzucił?

– Kamerzysty jestem pewna – stwierdziła Daria.

Marek przecież skrywał film na pendrivie oznaczonym jako „Stare dokumenty”, schowanym na samym dnie szuflady w biurku. Daria była pewna, że w biurku męża ich sekret będzie bezpieczny.

– Może ten... ten aktor? Kim on jest?

Prawdziwa odpowiedź brzmiała: nikim.

– Nie jest z Polski – wyjaśniła Daria. – Wziął pieniądze i poszedł. – I nagle zrozumiała: – Boże, skoro ona to znalazła, Bietka, to przecież... Każdy może to znaleźć.

Kiwała się, nie mogąc uwierzyć. Płakałaby, gdyby dawno temu nie zabroniła sobie płakać. Otarła oczy, wydmuchała nos, po czym wyjęła telefon. Wpisała w wyszukiwarkę „amatorskie włochatki”. Niemożliwe, ile tu tego było. Ma teraz przeglądać jedno za drugim? Jak Bietka to znalazła? Tyle ulgi, że nie pokazywało się pierwsze. Drugie też nie.

Niech Marek usuwa ten film. Niech usunie go zaraz, zanim rozmnoży się w dziesiątkach kopii, zanim ją zobaczy więcej osób. Więcej zboków, co wchodzi na portale pornograficzne i zabawiają się byle czym.

Wyciągnęła z kieszeni telefon, nacisnęła pierwsze nazwisko w książce telefonicznej. AAAMarek. Cóż, bez szczególnej nadziei. Jej mąż bowiem miał zasady. Jedną z nich było, że o dwudziestej drugiej wyłączał telefon, by włączyć go następnego dnia o ósmej, chyba że w weekend, wtedy o dziewiątej. „Złe wiadomości i tak mnie osiągną – powtarzał – a przynajmniej będę wyspany”. Kiedyś jej to imponowało.

Nie odbierał. W takim razie polecenie: „Usuń to stamtąd natychmiast!” – będzie musiało poczekać do jutra. Jak również pytanie: „Po co wrzuciłeś film z moją hańbą na ten obrzydliwy portal?”. Czy to też miała być składowa jakiejś jego perwersyjnej gry? Nie dał jej dziecka, zmusił do obrzydliwych rzeczy, a teraz odbierze jej również pracę, karierę, dobre imię. Bo nie ochronił jej największej tajemnicy.

Nienawidziła go. Nienawidziła go tak bardzo, że miała ochotę poderżnąć mu gardło. Gdyby zrobiła to na czas, nikt by się nie dowiedział o tym filmie. Gdyby zrobiła to we właściwym momencie, nie musiałyby tego filmu kręcić.

Ależ była głupia, głupia! Nie mogła sobie darować, że zgodziła się na to wszystko, że poszła za chorą wyobraźnią Marka. Ale przecież mógł z tym walczyć, mógł to leczyć, a nie wciągać ją, Darię, w ten łańcuch zбочonych nieszczęść. Mógł się modlić, wziąć w garść. Wolał jednak cierpieć na impotencję. I podniecać się wyłącznie widokiem bliskiej kobiety poniżanej przez obcego mężczyznę.

– Przecież wiem. Widziałam, że nie chciałeś tego robić – oświadczyła Hania, głaszcząc ją po plecach.

Daria dotknęła blizny na udzie. Zagryzła wargi.

– Kto cię do tego zmusił? Po co? – dopytywała się Hania.

Daria spojrzała na nią. Siedziała obok z tymi swoimi małymi usteczkami ułożonymi w ciup. Przyjaciółka. Doradczyni. To przecież ona namawiała Darię na daleko idące kompromisy, by tylko utrzymać związek, by tylko spłodzić dziecko. To ona tłumaczyła jej, że wątpliwości są naturalne, ale należy zacisnąć zęby, mając na celu wyższe dobro. „Przełknij dumę, przełknij wstyd. Małżeństwo jest ważniejsze niż te egoistyczne uczucia” – powtarzała. No dobrze, na jej usprawiedliwienie przemawiał fakt, że nie znała wszystkich brutalnych szczegółów, tylko dość ogólnie naszkicowaną sytuację. No ale dzisiaj unaoczniała sobie, do czego doprowadziły jej rady. A teraz znowu doradza. Mówi, że obie powinny kłamać, by wydobyć Darię z tego bagna. A jeśli

znowu nie ma racji? Nie, chyba jednak ma. Bo gdyby film wypłynął w śledztwie, będzie skończona. Wszyscy zobaczą, jak kandydatka na posłankę prawicowej partii, tak lubianej w katolickich mediach, uprawia seks z obcym człowiekiem, obejmując go włochatymi łydkami. Włochatymi, bo na takie lubił patrzeć jej mąż, gdyż takie w latach osiemdziesiątych miały wszystkie kobiety. To wszystko przez Hanię. Bo gdyby nie jej namowy, może Daria wymyśliłaby inny sposób na utrzymanie tego małżeństwa. Może żyłaby po prostu w białym związku, nie ma w tym przecież niczego złego. Może byłaby zwykłą bezdzietną, robiącą polityczną karierę kobietą.

– Nienawidzę, jak robisz tę minę.

– Jaka? – wzdrygnęła się Hania.

– No tę. – I Daria ułożyła wargi w ryjek. – Robisz ją zawsze, gdy komuś doradzasz.

Hania się zaczerwieniła.

– Ja też jestem zmęczona, ale to nie znaczy, że musimy sobie dokuczać. Staram się cię wspierać.

– Jak zawsze – powiedziała Daria gorzko.

Hania spojrzała na nią wilgotnymi oczami.

– Cieszę się, że to doceniasz.

Nie odczytała ironii. Mało, że nie odczytała, jeszcze nakryła palce Darii swoją dłonią i ścisnęła je krzepiąco.

– Chcę dla ciebie tylko tego, co dobre – uderzyła w patetyczną nutę.

To było nie do wytrzymania. Daria wyrwała jej rękę. Schodzę. Schodzę na dół, za ciasne to pomieszczenie na nas obie. Za ciasny ten dom na nas wszystkie. Niechże to się wreszcie skończy.

Daria patrzyła na butelkę, w której inne dziewczyny umiały znaleźć znieczulenie. Kusząca, tak, ale i niebezpieczna. Za dużo się napatrzyła w domu rodzinnym.

Pomasowała bliznę. Dość o tym. Zaraz wstanie, dorzuci do ognia. Pendrive w kominku ładnie stopi się na węgielek, zostaną tylko metalowe części. Daria wrzuci je więc do puszki po coli, którą zmiażdży i wsadzi do kosza z suchymi segregowanymi. Na sam dół. Rano, gdy tylko dotrze do domu, zmusi męża, by usunął film z sieci. Zawstydzi. Zniszczy pendrive'a z jego szuflady. Wymaże wszelki ślad po swojej hańbie.

Nigdy więcej nie będą o tym mówić. Z Hanią również. Z Alką zwłaszcza.

Zuzia stała przy oknie kuchennym, ściskając w dłoniach słuchawkę telefonu jak zdziwiona piosenkarka ścisła mikrofon po fałszywej nucie. Powinnam do niej podejść – pomyślała Daria. – Powinnam ją przytulić. Hania pewnie by tak zrobiła.

Daria potrzęsnęła głową i znowu spojrzała na butelkę. Nie, nie. Film z nią widziało coraz więcej osób, powinna więc pozostawać trzeźwa i przytomna, by chronić swoją tajemnicę. Dobrze by było, gdyby udało jej się również przespać, zanim pojawi się policja. Chociaż pięć minut, by nabrać sił i dystansu. Przetrwam to. Palec już wędrował w kierunku blizny. Wybrnę z tego. Wybrnę jak zawsze. Tylko się prześpię, choć przez chwilę.

Ledwie się ułożyła na fotelu, okręciła kocem i przygarnęła poduszkę – zawsze to robiła, jakby tuliła kogoś bliskiego – a Hania już schodziła po schodach, już patrzyła z troską. To na nią, to na Zuzię. Daria zacisnęła powieki, jakby w ten sposób mogła wymazać Hanię z obrazka.

Ciepła dłoń na jej czole.

– Źle się czujesz?

Daria otworzyła oczy. Hania stała przy fotelu, pochylona do jej twarzy.

– Tak sobie.

– I co się dziwić, co się dziwić – powtarzała Hania, głaszcząc Darię po czole.

Kalina przesywała je spojrzeniem spod okna, pojękując, co miało w sobie tyle uroku, ile buczenie alarmu samochodowego. Uliana kręciła się obok bezradna. Zuzia wyciskała ze słuchawki, ile się dało. Dało się jednak niewiele. Alka... Alka znowu gdzieś zniknęła.

– Gdzie jest Alka? – Daria szepnęła wprost w ucho Hani. – Szuka czegoś na mnie. Założę się, że to robi. Poda mnie policjantom na tacy.

– Nie denerwuj się. Zajmę się tym. Odpocznij.

Dawniej bardzo lubiła ten uśmiech Hani. Teraz mu nie ufała.

Alka przyczaiła się w plamie cienia u góry schodów. Nie spuszczała oczu z Darii. „Ma pani niebywale krzaczaste brwi”, przypomniało się Alce zdanie z *Muminków*. W nerwowych momentach zawsze odbijało jej się mało adekwatnymi lekturami.

Gdziekolwiek Daria schowała pendrive'a, na pewno będzie chciała zniszczyć go jak najprędzej. Cóż, Alka w sumie się nie dziwiła. Pornos nie pomógłby jej w wyborach do Sejmu, oj nie. Mało tego, złamałby jej karierę i autorytet. Na wieki. Więc Daria się po prostu broniła. Słusznie. W takiej sytuacji każdy by się bronił. Jakkolwiek.

Tak, Alka średnio wierzyła w alibi Darii. Była pewna, że Hania skłamała. Ale miała rację, one wszystkie powinny solidaryzować się z Darią, kolejną osobą, którą miała zamiar skrzywdzić Bietka.

Daria mościła się w fotelu, z westchnieniem zsuwała buty ze stóp, szeleściła bursztynkami, popatrywała na kominek. Cóż, żadna z niej konspiratorka. Niech już spali tego pendrive'a. Tyle że oskarżenia padną wtedy na niewinną osobę. Na którąś z nas. Może na mnie.

A może nie? Czy możliwe, by wszystkie wykręciły się z tego sianem? Policja miałaby same poszlaki, nic pewnego, a one wzajemnie dałyby sobie alibi. Jeszcze jest czas, wymyślą coś. Jeszcze chyba jest czas.

Będą je maglować tygodniami, ale nic przecież nie wycisną. One umieją być solidarne. Nieraz tego dowiodły. Dziś czekała je najtrudniejsza próba. Niech Daria się broni do końca, skoro już tyle zrobiła, pomyślała Alka i ruszyła z powrotem na piętro.

Łazienka. Umyła ręce. Szorowała je wystarczająco długo, by Daria zdążyła zrobić to, co planowała. Jeszcze paznokcie szczoteczka. Jeszcze powącham mydło, chyba cedrowe, no sama rozkosz taki zapach. Jeszcze wyjrzę przez okno. Jak fajnie mieć okna w łazience...

Dobrze, że już nie śnieży. Tak czy siak, znajdowały się w pudełku światła na zaśnieżonej pościeli, w której gdzieś tam podążali do nich policjanci, wszyscy ci rycerze mający zająć się smokiem i uniewinnić resztę księżniczek.

Kurde, jak sobie poradzić z tym smokiem?

Gdy Alka wyszła z łazienki i znowu stanęła u szczytu schodów, Daria grzechotała puszką coca-coli przy śmietniku. Sądząc z triumfującego spojrzenia – właśnie pozbyła się dowodu. Hania też się rozluźniła, coś szeptała do Zuzi, która nadal ścisła w dłoni słuchawkę, wlepiła wzrok w śnieg na zewnątrz i zdawała się wcale nie słyszeć przyjaciółki.

Alka ruszyła w dół i podeszła do Darii.

– Zniszczyłaś go? – upewniła się.

Daria obejrzała się niespokojnie na Zuzię, po czym oddaliła się od niej o kilka kroków w kierunku salonu. Alka za nią.

- Zniszczyłaś go? – powtórzyła, tym razem ciszej.
- O czym ty mówisz?
- O pendrivie.

Rumieniec wypełził Darii na brodę, by rozlać się w dół.

- Jestem po twojej stronie – zadeklarowała Alka.
- Dokuczałaś mi. – Daria stała sztywno jak słupek.
- Ja? – zdziwiła się Alka. – Ja? Naprawdę?
- Że katoliczka, że Kościół, że prawica. Pamiętam.

A ta o czym teraz?

- Teraz będziesz miała jeszcze większe używanie, prawda? Kiedy już widziałaś ten... no to.
- Daria, ale ja przecież nie jestem taka jak Bietka.
- Nie? A przecież śmiałaś się ze mnie. Przed chwilą na górze, w łazience.

Nie, teraz Daria nie wydawała się Alce groźna. Raczej rozżalona, jak dziecko. Nawet wysunęła nieco dolną wargę.

- Daria, jestem twoją przyjaciółką.
- No, powiedzmy.
- Chcę twojego dobra. Specjalnie zostawiłam cię tutaj, żebyś spokojnie mogła zniszczyć tego pendrive'a. A teraz musimy popracować nad twoim alibi.

Daria spojrzała na nią poważnie.

- Przecież Hania już ci powiedziała...
- Zapominasz, że ja ją dobrze znam.
- Ja też – obruszyła się Daria.

– No to wiesz, że ona nigdy nie kłamie. Nigdy. Chyba że chce kogoś ochronić. Oszczędzić. I wtedy tak śmiesznie patrzy w lewo do góry. I kiedy mówiła, że nie rozstawałyście się ani przez chwilę, tak właśnie patrzyła. Myślisz, że policja się nie domyśli, że ona cię kryje?

Daria, cała czerwona, nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Wyglądało na to, że średnio sobie radzi z kłamaniem. To nie wróży jej wielkiej kariery w polityce, pomyślała Alka i powiedziała:

– Wiesz, co ja myślę? Że to ty pierwsza przeczytałaś ten kawałek, który wam przesłałam. Dzięki temu mogłaś zagmatwać całą tę zbrodnię. I dobrze, tak im namieszamy w głowach, że nie oskarżą żadnej z nas. Wszystkie wyjdziemy z tego obronną ręką. No i tamten film nigdy nie wyjdzie na jaw, a my będziemy żyć długo i szczęśliwie.

Daria ciągle kręciła głową.

- Dlaczego akurat ty chcesz mnie ratować?
- Bo wiem jak. Ciebie i nas wszystkie. Skoro Hania zaświadczy, że jesteś niewinna, podejrzenie automatycznie przechodzi na którąś z nas. Dlatego musimy to perfekcyjnie opracować. Obgadać kolejność zdarzeń.

Zaniepokojona Hania już była przy nich.

- Skończyłyście spiskować? – zagała.
- Widziałaś ten film, prawda? – spytała prosto z mostu Alka.

Hania bez wahania pokręciła głową. Patrzyła oczywiście w lewo do góry.

- A więc widziałaś. Ja też. Obie wiemy, czym ujawnienie go mogłoby grozić Darii.
- Alka, jak ty...

– Wiesz doskonale, że to Daria miała najsilniejszy motyw, żeby pozbyć się Bietki.

Hania wpatrywała się w Alkę, usiłując coś wyczytać z drobnego druku jej twarzy. Wreszcie

odezwała się bardzo cicho:

– To, co się stało, jest straszne. Ale to była walka o życie. Albo Bietka, albo Daria. Alka, musisz to zrozumieć...

– Haniu, ja przecież rozumiem. Dałaś przykład, co powinniśmy zrobić wszystkie. Bo przecież jeśli będziemy trzymać się razem, na żadną z nas nie będą nic mieli, prawda? A Daria wyjdzie z tego bez szwanku.

Daria znowu potarła sobie udo przez spodnie.

Alka kontynuowała w natchnieniu:

– Daria miała na sobie jednorazowe rękawiczki, prawda? Więc potem to ty zmieliłaś je w młynku do odpadów. I słusznie. Już dawno powędrowały do Wisły. Ja nawet zastanawiałam się wtedy, po co używasz tego młynka... – I spojrzała na Hanię, zadowolona, że udało jej się złożyć oddzielne fakty w historię. – Zuzia się zgodzi. Ona też na sto procent się zgodzi, żeby kryć Darię.

Hania splótła ramiona na piersi i wpatrywała się w Alkę nieodgadnionym wzrokiem.

Trzęsie mnie, tam w środku. Brzuch zwija się w kulkę. Z żelaza. Powietrza wchodzi we mnie coraz mniej. Ręce zaciskają się jak szczypce.

Słyszę. Nie tylko oddechy gości, nie tylko łkanie. Słyszę, że dookoła domu ktoś się kręci. Też oddycha. Zwierzę? Człowiek? Sapie. Szura. Goście nic nie słyszą. Wielka S nic nie słyszy, zajęta swoimi łzami.

Przesuwam się. Pupa sunie. Kafle ciepłe. Sunę. Chce mi się kiwać, ale walczę. Jestem. Oparty o drzwi po drugiej stronie. Oddycha. Płytko. Rzadko. Jego wielkie ucho przywiera do drzwi. Słucha. Ja też słucham. Słyszę go. A on mnie? Wyciąga rękę. Tam jest dzwonek. Nie dotyka. Ręka opada. Czoło na drzwiach. Cofa. Przecież zimne. Znowu ręka do góry. Jakby chciał bić. Odskakuję.

– Co Kalina robi przy drzwiach? – głos z tyłu.

Ding-dong. Ding-dong.

Podnoszę się. Chwytam za klamkę. Otwieram.

– Kalina, czekaj!

Za późno.

Maksia zdzierła gardło, szcękając na przybysza. Przyskakiwała to z tej, to z tamtej strony i dawała znać, że w progu stoi obcy. Kalina osunęła się na podłogę, zamarała. Zuzia skamieniała w pół kroku z chusteczką w garści. Reszta zerwała się z fotela, z kanapy, z podłogi.

Na progu zmarznięty starszy facet z czerwonym nosem i białą bródką przytupywał ośnieżonymi stopami.

– Dobry wieczór – powiedział, nie poświęcając ani Kalinie, ani Maksi u jego stóp nawet jednego spojrzenia. Rozglądał się po twarzach obecnych, by w końcu zatrzymać wzrok na twarzy Zuzi. – Przepraszam za tę porę, ale widziałem, że jeszcze nie śpicie. W oknach jasno.

– Śpimy? Doprawdy trudno spać w tych warunkach – warknęła Daria. – Wcale się nie spieszyliście, prawda?

– My? – zdziwił się mężczyzna, po czym cmoknął i powiedział: – Cicho, cicho – wyciągając dłoń do Maksi, która szcękawszy, odskoczyła, po czym w ciszy podeszła i obwąchała dłoń przybysza.

– Wy, wy. A gdzie reszta? – chciała wiedzieć Daria.

– Reszta?

– Policja chyba w takich wypadkach przyjeżdża całą ekipą, prawda? – zdenerwowała się Daria. – Czy też i na tym oszczędzacie?

– Policja? – Mężczyzna przykucnął, pogłaskał suczkę po główce, podrapał ją za uszami. – Nie jestem z policji.

– To kim pan jest? – spytała Daria.

Tamten się uśmiechnął. Nos mu się zmarszczył, pokazały białe zęby. Za sam ten uśmiech można było mu wybaczyć porę najścia. Wygląda jak Święty Mikołaj, pomyślała Alka.

– To naprawdę ty? – wyszeptała Zuzia. – Nic się nie zmieniłeś.

Maksia polizała mężczyznę po palcach. Przyjaźń została zawarta. Mężczyzna wstał z kucek, dał krok do środka. I jeszcze jeden. Objął się ramionami. Zimno!

– Zuleńko, zrobisz mi herbaty?

Zuzia wstała i bez słowa skierowała się do kuchni. Facet, uspokojony jej reakcją, poszedł za nią. Oparł się o blat kuchenny.

– Kto to jest? – cisnęła Hania.

– To... – Zuzia była bledsza niż lodówka. – To chyba mój ojciec.

– Ojciec? Myślałam, że nie masz ojca – znowu Daria.

– Każdy ma ojca, droga pani – wymądrzył się brodac.

Cóż, nie jest to Święty Mikołaj – pomyślała Alka. – Raczej Paulo Coelho strzelający banałami.

Zuzia zamarła, przestała zmuszać trzęsące się dłonie do współpracy z czajnikiem, kubkiem i torebką herbaty. Hania wstała, podeszła do tej dwójki.

– Pani wybacz, ale to sprawy rodzinne – zainteresował się mężczyzna, na co Zuzia wtuliła się w ramiona Hani. I co z tego, że były również ramionami morderczyni. – Troszkę rzeczywiście żeśmy się nie widzieli – podsumował jednak.

– Troszkę – Zuzia siliła się na ironię, ale głos miała nabrzmiąły płaczem.

– Ile? – zagała grzecznie Hania znad jej ramienia. – Po co dzwoni pan do Zuzi po tylu latach? Po co pan ją nachodzi? Chory pan?

– Chce mnie pani obrazić?

– Nie, serio pytam. Chory pan i próbuje pogodzić się ze światem przed śmiercią? To w sumie trochę by pana usprawiedliwiało. Troszkę.

– Nie będę się pani tłumaczył. Przyszedłem tutaj, by porozmawiać z córką.

Facet dał dwa kroki do przodu, ale Hania wcale się nie cofnęła. Już nie przytulała Zuzi, lecz stała wojownicza jak Pallas Atena. Nie wyglądałaby groźniej, nawet gdyby ścisnęła w dłoni miecz i tarczę.

Facet chwilę wytrzymał w pozycji ofensywnej, po czym kucnął, by pogłaskać Maksię, która machała jak szalona resztką ogonka.

– A my przyszyliśmy tutaj, by się nią zająć. Jak to robimy od wielu lat.

– Rozumiem kobiecą solidarność... – spojrzał od dołu w twarz Hani.

– Nie, nie rozumie jej pan.

– ... ale chciałbym porozmawiać z córką. Zuleńko, pozwolisz?

Podniósł się z kucek i skierował w kąt salonu. Zuzia, ciągle z twarzą w kolorze porcelany, poszła za nim.

– Będę czuwać – rzuciła Hania, nie spuszczać nieżyczliwego wzroku z mężczyzny.

Kalina trwała skamieniała w holu przy drzwiach jak Pandora. Daria westchnęła i opadła na

fotel. Uliana skuliła się na kanapie i zaraz opuściła powieki. Twarz miała szarawą, oczy podkrążone. Mężczyzna zasłonił Zuzię szerokimi plecami, ciągle w kurtce. Był od Zuzi nieco wyższy, ale równie pulchnawy. Uszy zaczęły mu tajać, więc płonęły żywą czerwienią w gąszczu białej szczeciny.

– Przepraszam, że się nie odezwałem przez telefon. Słuchałem twojego głosu, Zuleńko, i myślałem, jak bardzo to wszystko zepsułem. Jak tchórzliwie uciekłem od tego, co najważniejsze. – Pokręcił głową. – Zrobiłem rzecz niewybaczalną. Nie cofnę tego. Chociażbym chciał. – Znowu się uśmiechnął. Niewesoło. – Ty też pewnie miałaś takie momenty, gdy chciałaś cofnąć czas.

Przecież Zuzia nie chciała go lubić. Nie powinna mu współczuć.

– Przywitałaś się z Kaliną?

Biedna Kalina już nawet zapomniała się kiwać. Wtuliła się w podłogę jak plama smoły i udawała, że jej nie ma. Wsiąkała w kafle.

– Przecież ona nic nie rozumie. – Miły uśmiech znowu błysnął w gąszczu zarostu. – To ty jesteś ważna w tym wszystkim. Ty... ty i ja.

„Ty i ja, moja królowno” – mawiał kiedyś, w prehistorii.

– Kalina rozumie więcej, niż myślisz – zaprotestowała Zuzia.

Powątpiewanie na jego twarzy.

– Wiesz, jak się jej pogorszyło, gdy wyprowadziłaś się z domu? Jak bardzo posypała się mama? Jak strasznie nie miałyśmy na nic pieniędzy?

– Wiem. Znaczą: domyślałam się. Strasznie mi przykro.

Spuścił głowę. Na czubku miał niewielką łysinę. Cały był niegroźny i okrągłutki. Jak mogłam się go bać przez telefon? Jak mogłam go nie rozpoznać po głosie?

– Skąd jedziesz? Czego ode mnie chcesz? Dlaczego akurat teraz?

– Dojrzałem. Niektórym zajmuje to znacznie więcej czasu. – Nieśmiały uśmiech w białym gąszczu.

Kazać mu wyjść? Kazać się tłumaczyć? Pytać, co u niego? Opowiadać, co u mnie?

– Cieszę się, że ci się dobrze powodzi. – Rozejrzał się po domu.

Miałaam trzynaście lat, gdy nas opuścił. Radziłam sobie bez niego przez ponad ćwierć wieku. A przecież i tak miło teraz usłyszeć, że sobie dobrze radzę. Od niego. Od niego właśnie.

Wokół stóp ojca gromadziła się kałuża wody.

– Zdejmij kurtkę, bo się zgrzejesz.

Zaprowadziła go do kuchni. Dziewczyny popatrywały na nich ciut spokojniejsze. Znowu wstawiła wodę, choć była jeszcze ciepła. Nie miała pojęcia, co tata lubi pić. Nic to, potraktuje go standardowo: ahmad tea z torebki. Sobie też. Plus chlust whisky. Może będzie w stanie ugasić ten pożar emocjonalny w środku. Ale tylko sobie. On niech przez to przechodzi na trzeźwo.

Łyknęła jak lekarstwo wykrztuśne. Ciepło w przełyku, poza tym nic lepiej.

Czy on słodzi? Nic się nie pojawiało w pamięci. Na wszelki wypadek wyciągnęła cukierniczkę, łyżeczkę, ustawiła na blacie obok kubka.

Słodził. Zadzwonił łyżeczką. Łyknął, lekko siorbiąc. Paznokcie miał szerokie, krótko obcięte. Zupełnie jak ona.

– Drobnie przyjemności – podsumował. – To z nich składa się życie. – I znowu ten życzliwy uśmiech.

Byłabym zupełnie inną osobą, gdyby został z nami, uświadomiła sobie Zuzia. Ze mną, z mamą, z Kaliną. Może wtedy nie bałabym się, że wszyscy mężczyźni kiedyś odejdą. Może ze

strachu przed tym bym tyle nie jadła. Może byłabym odważniejsza i bardziej bym wierzyła w siebie.

Łzy do oczu. Nie, nie wolno mu dać tej satysfakcji. Ale przecież dlaczego mu nie dać. Przeprosił. Stara się.

– Zjesz coś?

– A wiesz, chętnie. Wymarzłem.

Nie miała odwagi spytać, czy stał pod domem, czy też przyjechał tu samochodem i dlaczego czekał aż tyle czasu, żeby wejść. Ale chyba wyczytał pytanie w jej wzroku.

– Przyjeżdżałem tu od jakiegoś czasu, patrzyłem, jak żyjesz, odjeżdżałem. Dziś też odjechałem, ale w drodze powrotnej padł mi samochód. Uznałem więc, że to znak. I wróciłem do ciebie.

Zuzia zsunęła wszystkie potrawy na jeden półmisek, podsunęła mu. Sięgnął po kabanosa. Jadł ze smakiem. Tak, to też miała po nim.

– Dlaczego czekacie na policję? Co się stało?

– A, takie tam. Mały problem. Mieli być już dawno, ale nie mogli dojechać...

– ... bo śnieg – dokończył zdanie razem z nią. – No właśnie. Koleżanki pewnie w związku z tym będą tu spały?

– Nikogo nie wygonię przecież – odpowiedziała odruchowo, zanim zrozumiała, że mógł to wziąć do siebie.

Wziął.

– To ja też spróbuję tu przebiedować do rana.

Rozejrzał się po ogromnym salonie, po kanapach, kolorowych poduchach, ozdobnych pledach. Sięgnął po ostatni kawałek kielbasy, po czym zabrał się do oliwek. Hummus omijał z podziwu godną konsekwencją.

Zuzia przeniosła wzrok na siostrę. Biedna Kalina trwała nieruchomo, rozplaszczona na kafelkach, starając się, żeby nie było jej widać. Rozpoznała tatę? Niemożliwe. Gdy go widziała po raz ostatni, miała niecałe cztery lata. I ograniczoną percepcję. Jak bardzo chciałaby ją przytulić. Boże, jak strasznie kochała tę biedną dziewczynę, która nie radziła sobie z rzeczywistością. Muszę sobie poradzić i za nią, i za siebie. Muszę.

Spojrzała na ojca.

– Zamówię ci taksówkę, zawiezie cię do hotelu.

Pokręcił głową.

– Myślisz, że ktoś przyjedzie tutaj w tę pogodę? Nie sądzę. – A ponieważ Zuzia milczała, dodał sztucznie dzielnym tonem: – Nie przejmuj się mną, Zuleńko, nie będę ci robić kłopotu. Pójdę już.

I od razu zrobiło jej się głupio, że chce go wygnać na mróz.

Rozglądał się niepewnie, jakby szukał ratunku u obecnych tu pań. Ale żadna nie odwzajemniła spojrzenia. Żadna poza Hanią, która wpatrzyła się w niego zmrużonymi oczami. Zuzia nie miała pojęcia, że Hania potrafi przybrać taki wrogi wyraz twarzy.

– Gdzie masz samochód? – spytała Zuzia, chcąc się zorientować w sytuacji. – Zamówiłabym holowanie do warsztatu.

– Samochód... To znaczy ja już go zostawiłem w warsztacie.

– To jak tu przyjechałeś?

– Okazją. Wyrzucili mnie przy trakcie, a doszedłem piechotą. Strasznie cię chciałem zobaczyć. Stałem tam, pod murem. Chodziłem. Przytupywałem. Nie miałem śmiałości wejść,

sama rozumiesz. Ale w końcu się odważyłem. Nie spotykasz mnie w najlepszym okresie mojego życia, Zuleńko. Ale stanę na nogi, wiem. – Położył dłoń na jej dłoni. – Jeśli mi trochę pomożesz.

Robił z nią, co chciał. Miał nad nią moc. Boże, jak strasznie chciało jej się płakać. Nie była już jednak dziesięciolatką. Spojrzała na Hanię, szukając u niej wsparcia. Tamta zrozumiała. Stanęła za Zuzią, złapała ją za ramiona. Przez ciepłe dłonie płynęła dobra energia.

Tak, Hania mnie obroni.

Nie, co za bzdura. Potrafię bronić się sama. Siebie i kogo trzeba.

Tata wrócił. Chce się pojednać. Dojrzał. Przeprosił. A ja potrafię mu przebaczyć. Jestem już dorosła.

– Wiesz co? Chyba możesz chwilę u mnie odpocząć – odważyła się.

Rozluźnił się. Rozpromienił.

Jak miło być wielkoduszną. Chętnie by pokazała, jaki dom udało jej się zbudować, jaką fajną rodzinę bez jego wsparcia i pomocy. Ile ma przyjaciółek. A on, jak widać, ciągle sam. Pokarało go.

Dziewczyny patrzyły na nią zaskoczone, gdy wiodła go do fotela na uboczu, podawała koc, szklaneczkę z winem. Niech się rozgrzeje. Niech popatrzy, jak powinien zachowywać się dobry człowiek. Miała ochotę mu to wyrzyczyć w twarz. Ale już zasnęła. Wyjęła mu szklaneczkę z dłoni, odstawiła na stół. Rumiany, posapujący. Jej ojciec.

Hania stała przy wyspie z dłońmi splecionymi na piersi. Wpatrywała się w marnotrawnego ojca i czuła córkę. Alka podeszła do niej.

– Nie do wiary, prawda? Po tylu latach. W środku nocy.

– Może długo zbierał się na odwagę.

– Pewnie już tak zmarł, że nie miał innego wyjścia. Boję się jednak, że ona znowu będzie przez niego płakać.

– Dobry człowiek z tej naszej Zuzi – podsumowała Hania. – Chyba potrzebowała tego spotkania. – Ale nadal patrzyła na niespodziewanego gościa ze zmarszczonym czołem.

Na palcu wskazującym lewej dłoni miała naklejony plaster. Różowy, z Hello Kitty. Zupełnie, jakby kupowała go Zuzia.

Bo i kupowała go Zuzia – uświadomiła sobie nagle Alka. Gdy jechały z Hanią na imprezę, ta nie miała żadnego plastra na dłoniach.

Krew. Kreska krwi spod plastra. Wąska, rozmazana czerwona kreska wiodła od nadgarstka do durnego różowego kota. Gdzie Hania się tak skaleczyła?

Alka chwyciła lewą rękę Hani w swoje dłonie, spojrzała. Hania uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Strasznie ostre noże tu mają.

Zabrała rękę i zaczęła trzeć ślady krwi, żeby je usunąć ze skóry. Pośliniła palec i dalej nim tarła.

Plaster na rękę. Pocięte opuszki. Młynek do odpadów. Fałszywe alibi. Niewyraźny uśmiech Hani. Co za bzdury! Przecież Hania jako jedyna z nich nie miała żadnego motywu.

Daria ani drgnęła w fotelu, wydawała tylko z siebie nosowe świsty. Zasnęła. Jakby miała zupełnie czyste sumienie. Uliana kiwała się na kanapie, co jakiś czas popatrując spod półprzymkniętych oczu na Kalinę. Kalina też się kiwała, a na co popatrywała – Bóg raczy wiedzieć. Chyba że i dla Niego Kalina stanowiła tajemnicę. Święty Mikołaj pochrapywał w drugim fotelu. Z ust zwisała mu kapka śliny.

– Powiem ci jedno – odezwała się Hania całkiem głośno. – Dobrze, że chcesz chronić Darię.

– Będziecie wy wreszcie cicho? – jęknęła Zuzia spod kuchennego okna. – Głowa mi pęka.

Hania normalnie już by pospieszyła z aspiryną lub paracetamolem, ale to nie był normalny wieczór. Zamiast tego bowiem poszła w kierunku schodów. Już na nie wchodziła. Obejrzała się na Alkę, machnęła zachęcająco dłonią.

O co chodzi? – zastanawiała się Alka. – O co chodzi? I poszła za Hanią jak Dante za Wergiliuszem.

Hania teraz, po śmierci męża, zrobiła się sporo twardsza niż kiedyś. Serce jej stwardniało, bo inaczej by ją zajączało na śmierć. A jeśli serce kamienieje, to nie tylko w jednej sprawie, lecz po całości.

Kardiolog by ją pewnie wyśmiał za te geologiczne metafory, ale tak to właśnie czuła. Była twarda. Może trudniej wtedy oddychać, ale jednocześnie człowiek trzyma się prościej. Nie rozpamiętuje, nie wraca do zaszłości. A kiedy coś tam się przypomina, zaraz można to przepchnąć w dalsze rejony umysłu. Tak jakby w ogóle się to nie wydarzyło. Można z tym żyć. Wymaga to nieco trudu, ale można – powtarzała sobie.

Choć zdarzało się, że wspomnienie tamtego dnia wracało, przerażająco plastyczne, jakby nagle przeniosła się w przeszłość. Odpychała te obrazy, ale zachowywały się jak jojo. Łącznie z gniewem, który wtedy czuła.

Bo Mariusza już dawno nie było, a gniew na niego ciągle trwał. Poczucie winy nie do końca umiało go przysłonić.

To było kilka miesięcy temu. Ciepły październik, słonecznie, tak najwyżej na lekką kurtkę. Albo płaszcz, w którym Hania jak zwykle przyszła z obiadem na działkę. Jej mąż, nie zwracając uwagi ani na nią, ani na obiad, przekopywał kompost. Hania stanęła obok niego, przywitała się. Odburknął, jakby mu w czymś przeszkodziła. Do kompostu odnosił się ze zdecydowanie większym szacunkiem. Postąpiła przy nim jeszcze chwilę, ale on nadal robił swoje. Zastanawiała się, czy nie zostawić jedzenia i nie wracać, zamiast gapić się na jego obojętne plecy. Weszła do domku, wyjęła talerz, sztucę i szklankę, ustawiła obok termos z zupą. Odczekała, ale mąż nadal stał w rogu działki, odwrócony tyłkiem, wsparty o trzonek łopaty. Gapił się na sąsiedni ogródek, a Hani nawet nie chciało się sprawdzić, czy nie ma tam przypadkiem jakiejś przystojnej sąsiadki.

Nagle zrozumiała, że wcale nie o to chodzi. Uświadomiła sobie, że patrzy na plecy obcego człowieka. Tyle lat razem, a tak strasznie był obcy, oddzielny, obojętny. Nie, nie będzie czekać na jego zmiłowanie, nie będzie prosić, by raczył zjeść obiad, który mu przyszykowała i przydzwigała. Wyszła z domku, zeszła z ganku, sądząc, że usłyszy: „Dokąd idziesz, Haniu? Zostań, przecież powinniśmy zjeść razem”. Ale nikt nie wołał. Dała więc kolejny krok. I kolejny. Cisza. Po czym zaplątała się w coś, co leżało w trawie. Kabel. Odczepił się od żarówki zainstalowanej tymczasowo ze dwa lata temu nad wejściem i poniewierał na ziemi, ziejąc rozwartym drutem.

– Mariusz! – krzyknęła.

– A tobie znowu o co chodzi? – warknął, nadal nie pokazując jej nic więcej poza zwisającymi na tyłku spodniami, poza koszulą wepchniętą pod pasek, tonsurką na niechętniej głowie.

O co mi znowu chodzi? Znowu?!

Nie odezwała się. Przeskoczyła nad kablem. A niech go kopnie ten prąd, może na drugi raz ją zauważy, posłucha.

W domu było cicho i przyjaźnie. Hania umyła ręce i wzięła się do swoich obowiązków. Niech

ona przynajmniej w tym układzie będzie w porządku. Właśnie, popatrując na serial *24 godziny*, obierała włoszczyznę na jutrzejszą zupę dla męża, właśnie na gazie pyrkotało mięso, w pralce wirowała brudna bielizna, którą zabrała z działki (kiedy będzie odwracał się do niej plecami, uczyni to przynajmniej w czystych slipkach), gdy dopadł ją telefon. Dzwonili z centrali ogródków działkowych, że nagły wypadek, że pogotowie, że zabrali, że w którym szpitalu.

Hania umyła ręce, wyłączyła gaz. Długo zapinała płaszcz, bo ciągle wydawało jej się, że jest krzywo. Kiedy weszła do szpitalnej sali, Mariusz popatrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem. Nic nie mówił, podobno nie mógł. Porażenie prądem. Padało, podniósł kabel gołą dłonią, jakiś czas leżał, zanim sąsiadka zadzwoniła po pogotowie.

Hania czuła, że powinna mu się wytłumaczyć. Że widziała, że nie ostrzegła, że co prawda chciała, żeby go kopnęło, ale nie chciała, żeby go kopnęło tak mocno. Przecież nie aż tak. Milczała jednak. On też. Zamknął oczy. Złapała go za rękę, ale nie odwzajemniła uścisku.

Potrwało kilka dni, zanim odszedł z jej życia. Z życia w ogóle. Nawet na spowiedzi nie wspomniała o tym, że widziała w trawie ten kabel. Bo to przecież nie miało znaczenia. Jego śmierć nastąpiła w wyniku tragicznego wypadku, a poczucie winy było zupełnie nie na miejscu.

Działkę pracowniczą sprzedała, znaczy odstąpiła użytkowanie za tłustą sumkę pięćdziesięciu tysięcy jakimś młodym ludziom. Oddała im klucz i nie wzięła stamtąd ani jednego kubeczka, ani jednego widelca, za co byli jej wdzięczni, bo ponoć lubili starocie. Szary woal poczucia winy snuł się za nią, ale nauczyła się go oddzielać jedną stanowczą ścianą: Nie moja wina. Stało się. Bóg tak chciał.

Może i chciał, nie była pewna. Gubiła się w wolności. Na szczęście nie dolegała jej ciasnota finansowa, ale trudno jej było pojąć to, że nic już nie musi poza pójściem do pracy. Ale co to za praca? Sześć godzin w kancelarii parafialnej i raz w tygodniu trzy, cztery godziny kursów małżeńskich w salce obok kościoła. Hania recytowała wtedy z pamięci różne prawdy i zasady, zgrabne formułki, za zgrabne w formie, by nasycić życie treścią. Praca nadawała życiu pewne ramy, bo dzięki niej jeszcze zmuszała się, by myć zęby, układać włosy i prać ubrania. Ale ramy padały z trzaskiem, kiedy po pracy wracała do domu, bo wtedy już nic nie musiała. Nie musiała gotować, kupować, sprzątać, obierać warzyw, kiwać palcem. Wydzwaniała do dziewczyn, ale te miały swoje problemy. Chętnie się spotkają, ale nie dziś, może w weekend, ale nie ten, tylko następny. Hania zaszywała się więc na kanapie i oglądała cudze życie w serialach. Nie, nie w tych polskich nudnych gawędach, ale w międzynarodowej pierwszej lidze, a potem szła do toalety, kuśtykając House'em, nerwowo drepcząc jak „gotowe na wszystko”, ale najczęściej wybierała zdyszany krok agenta specjalnego Jacka Bauera z *24 godzin*, bo jego lubiła najbardziej. Ten jasnowłosy twardeł nie zastanawiał się nad byle czym, tylko wstawał i szedł ratować świat. Wcielała się w różnych bohaterów, choć na chwilę, gdy skończyła oglądać odcinek, bo ich życie coś znaczyło, a jej przestało. Jeszcze tylko kilka odcinków i zapomni, że nie ma siły, by zaczynać od nowa. Że nie kocha swojej wolności, bo jest ona wynikiem grzechu zaniedbania. No i zaprzeczeniem wszystkiego, w co wierzyła. Całego jej przegranego życia.

Najgorsze, że jej decyzje miały wpływ nie tylko na nią. Gdyby kiedyś brała pod uwagę jakiegokolwiek „ale”, mąż nie biłby teraz Alki, a Daria nie wkopałaby się w ten cały koszmar. Obowiązkiem Hani było więc je chronić. Bo ze wszystkich zasad, jakie kiedyś wyznawała, jedna bezwzględnie ciągle pozostawała aktualna: bądź lojalna wobec przyjaciółek.

W momencie, gdy się dowiedziała, że Bietka dysponuje filmem z Darią, Hania spięła się tak bardzo, jakby szyję miała ze stali. Przecież nie tylko o karierę przyjaciółki chodziło, nie tylko o partię, na którą przecież i ona głosowała, ale także o tego męża Darii, zwichrowanego

nieszczęśnika. Jemu też by się przecież mocno dostało, bo ludzie mieli taką przerażającą łatwość oceniania.

Po obejrzeniu tego potwornego filmu Hania wyszła czym prędzej z pokoju, gdzie Bietka właśnie zamykała Zuzinego laptopa. Nie mogła na nią patrzeć. Bolała ją nie tylko głowa, ale też dusza, która u niej zawsze siedziała w brzuchu. Musiała szybko pójść do łazienki, gdzie odkręciła kran, żeby nikt niczego nie słyszał, i zwymiotowała te wszystkie obrzydliwości, którymi nakarmiła ją Bietka, zmyła z siebie te jej paskudne lepkie myśli. Nie liczyła na to, że wymyśli rozwiązanie tej potwornej sytuacji, ale przecież do każdego człowieka można znaleźć jakiś klucz, tego była pewna.

Z Bożą pomocą.

Co chwila bowiem wznosiła akty strzeliste w niebiosa, żeby Bóg ratował Darię, która miała przecież jeszcze w życiu, w ojczyźnie zrobić naprawdę wiele dobrego. „Uratuj ją, Boże. Zmiękczyć serce Bietki. Ratuj Darię”. Tak się modliła Hania w tej chłopackiej łazience Ignacego, z męskimi kosmetykami na półce pod lustrem.

I wymodliła. Bo przecież Daria była już bezpieczna.

Alka weszła za Hanią na górę, za nią skręciła w lewo, poczekała, aż Hania otworzy drzwi sypialni Zuzi. Usiadła na łóżku, klepnęła dłonią obok siebie, posłała ciepły uśmiech. Tanie sztuczki, ale skuteczne. Bo Alka usiadła. W fotelu, co prawda, takim, na który odkłada się wieczorem te wszystkie niepotrzebne poduszki oraz kapę, ale całkiem blisko Hani, tak żeby móc patrzeć jej w twarz.

– Stąd lepiej cię widzę. – I zawieszenie głosu, cisza, która nabrzmiewa.

Wytrzymam, nie zadam pytania, obiecała sobie Alka. Taka cisza między dwojgiem ludzi jest najlepszym sposobem, by wyciągnąć z kogoś parę słów. Wiedziała to z kryminałów, które pisała. Jednocześnie bała się tego, co może usłyszeć, bo Hania była dziwnie uroczyista.

– Bietka była złym człowiekiem – przemówiła wreszcie.

– Wiem – potwierdziła Alka z pełnym przekonaniem. – Wszystkie to teraz wiemy.

Znowu cisza. Jeśli za każde zdanie trzeba będzie zapłacić tyloma sekundami milczenia, to nie zdążą. Przecież kiedyś skończy się to czekanie na policyjnego Godota.

Haniu, mów.

Haniu, nic nie mów.

– Mój mąż umarł niedawno – znowu zaczęła Hania i znowu się zatrzymała na wyboju kolejnej myśli. – Ja... zrozumiałam wtedy, że życie nie jest takie proste, jak wydawało mi się wcześniej. Zrozumiałam, że popełniłam wiele błędów. I że namówiłam kilka osób, by w nich trwały. W błędach. W imię nie wiem czego. – Pokręciła głową. – To znaczy wiem. W imię tego, w co wierzyłam. Że zasady są ważniejsze od człowieka.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się Alka.

– Prosiłaś mnie kiedyś o radę.

– Wiele razy.

– Chodzi mi o tamten trudny czas. Wtedy, gdy sypało ci się małżeństwo. Kiedy pojechałam do was, żeby porozmawiać z twoim Miłoszem. Ja... pamiętam, że nalegałam, żebyś utrzymywała związek za wszelką cenę. Bardzo cię za to przepraszam.

Ta rozmowa żeglowała w nieoczekiwaną stronę. A jeszcze przed chwilą Alka myślała, że będą rozmawiać o śmierci Bietki.

– Za co przepraszasz?

– Za to właśnie. Bo on cię teraz bije.

Alka wzruszyła ramionami. Ach, to.

– Uderzył mnie. Wczoraj. Tylko raz. Wściekł się na mnie. I słusznie.

– No właśnie. A ty to bagatelizujesz. Nie rób tego.

Alka kręciła głową. Cokolwiek działo się u nich w domu, nie było winą Hani. To była jej decyzja, jej mąż, jej goście, jej kpiny i jej kara.

– Dokuczyłam Miłoszowi przy gościach, a przecież ma teraz gorszy czas. Nie powinnam była.

– Wiem, że kiedyś ci tłumaczyłam, żeby zacisnąć zęby. Alka...

– Tak?

– Nie miałam racji. Gdybyś wtedy zaufała sobie i zostawiła go, nikt by cię teraz nie uderzył. Gdyby on miał świadomość, że możesz odejść, zastanowiłby się trzydzieści razy, zanimby podniósł na ciebie rękę. A tak czuje się bezkarny. Wie, że przetrwasz wszystko. I kto wie, czy za drugim razem nie uderzy mocniej. I czy nie będzie trzeciego razu. – Hania spuściła głowę. – Nie ciebie jedną namawiałam, żebyś za wszelką cenę utrzymała związek. Nie ciebie jedną. – Westchnęła głęboko. – Strasznie trudno mi o tym mówić. Bo... bo to są nie tylko moje tajemnice.

– Żyjecie tam?! – dobiegło z dołu. Daria. Najwyraźniej już się obudziła.

Hania aż podskoczyła z napięcia.

– Na razie tak! – odkrzyknęła Alka.

– Co robicie?!

– Zaraz zejdziemy! Za chwilę! – skłamała Alka.

Hania wstała, by dokładnie zamknąć drzwi sypialni, po czym usiadła, westchnęła i znowu przemówiła:

– Więc bywa tak, że mężczyzna nie jest w stanie skonsumować małżeństwa. Chyba że zostaną spełnione pewne warunki.

– Viagra – dorzuciła zaraz Alka, zastanawiając się, do czego Hania, na Boga, tym razem pije.

Hania jakby nie słyszała.

– Założmy, że ten mężczyzna został skrzywdzony w dzieciństwie i może odzyskać sprawność tylko w pewnych warunkach. Na przykład patrząc na coś.

– Pornos – od razu padło z ust Alki. Kurde, musi się opanować. Czyżby Hani chodziło o Miłosza? Ale to wszystko zupełnie do niego nie pasowało.

– Na coś, w czym bierze udział jego żona. – Hania z trudem wydobywała z siebie chropowate słowa. – I założmy, że to coś, w czym bierze udział jego żona, zostało sfilmowane, by nie musiała tego powtarzać wielokrotnie. By mężowi wystarczyło obejrzenie filmu. I założmy, że ten film jakimś cudem trafił do sieci.

Alka zmarszczyła czoło. A więc Hania mówiła o Darii? Czy naprawdę to jej sztywniacki mąż, jak mu tam na imię, wymyślił ten film? Co za straszna historia. Biedna, biedna Daria.

– Może na przykład ten mąż dzielił się nagraniami z podobnymi sobie mężczyznami – ciągnęła Hania. – Na jakimś tajnym forum. A któryś z tych mężczyzn podzielił się tym nagraniem jeszcze z kimś. Możesz sobie wyobrazić resztę.

Alka faktycznie mogła.

– Takie nagranie, na którym bardzo uważny obserwator mógłby zidentyfikować uczestniczkę, nie zaszkodziłoby osobie prywatnej. Nie zaszkodziłoby na przykład mnie.

– Nie?

– A kto mógłby mnie tam rozpoznać? Moi znajomi nie wchodzą przecież na pornostrony.

Ach, Haniu, mimo dawno przekroczonej czterdziestki ciągle tak żarliwie wierzysz w to, co ludzie mówią.

– Natomiast gdyby w takim filmie wystąpiła osoba publiczna... Albo taka, która chciałaby się nią wkrótce stać...

Alka pokiwała głową. Właściwie miała już jasność.

– Czy Daria wytłumaczyła to wszystko Bietce? Tak jak ty tłumaczysz teraz mnie?

– Nie. Daria niczego Bietce nie tłumaczyła. To ja z nią rozmawiałam.

– Dlaczego ty?

– Bo to mnie Bietka pokazała ten film.

Hania zamilkła.

– To był szok. No dobrze, niby wiedziałam o tym, w teorii. To znaczy wiedziałam tyle, że Daria musiała pójść na daleko idące kompromisy i ustępstwa, żeby jej związek przetrwał. Że mąż wymagał od niej rzeczy, na które Daria nie chciała się zgodzić. Nie mówiła nigdy, o co konkretnie chodzi. Uwierz mi, nie mówiła. A ja... ja nie miałam pojęcia, jakie to było straszne. Wiedziałam tylko, że Daria w końcu zgodziła się na to, co zaproponował mąż. I że teraz wszystko gra. Nawet ją pochwaliłam, że się wreszcie przełamała. Jezu...

Hania schowała twarz w dłoniach. Poczucie winy aż z niej tryskało. Alka wiedziała, że w takiej sytuacji należy przyjaciółkę przytulić, ale nie umiała się jakoś na to zdobyć. Zresztą właśnie została kimś w rodzaju spowiednika. Czy spowiednicy przytulają?

Hania oderwała dłonie od twarzy i ze spuszczoną głową mówiła dalej:

– A Bietka... włączyła mi ten film i obserwowała, jak zareaguję, skoro tak się z Darią przyjaźnię. Twierdziła, że to wszystko dla dobra tekstu, który ma napisać... „Nowa twarz Darii”, tak mówiła. „Jeśli to można nazwać twarzą”, śmiała się. Nie chciałam na to patrzeć, kazałam jej wykasować to obrzydlistwo i zapomnieć o nim. Ale Bietka się upierała. Mówiła, że film rzuci nowe światło na postać Darii. Że uczyni ją bliższą zwykłym ludziom. Nie taką idealną. Bo Bietka zamierzała stać po stronie prawdy.

Po stronie prawdy, akurat, pomyślała Alka. Przecież wiadomo, że taki demaskatorski tekst wywindowałby Bietkę o parę szczebli wyżej. Jeszcze wyżej. Prawdziwa królowa kryminału stałaby się dodatkowo prawdziwą papieżycą demaskatorskich tekstów. Kasa, sława, zlecenia, gazety stoją otworem, sprzedaż wędruje w górę. Świetny ruch. Co tam, że zniszczyły Darię.

Hania ciągnęła cicho:

– Tak Bietka przynajmniej deklarowała. Była straszna, zupełnie jakby nie kumplowała się z Darią od lat. Jakby... Jakby Daria była tylko jakimś śmiesznym memem z internetu. – Chwila milczenia. Westchnienie. Hania wreszcie uniosła głowę i spojrzała Alce prosto w oczy. – Nic nie rozumiesz, prawda?

– Rozumiem – obruszyła się Alka. – Naprawdę coraz lepiej rozumiem, dlaczego Daria zrobiła to, co zrobiła.

Hania uśmiechnęła się smutno, po czym nieoczekiwanie wstała z łóżka i wyszła z pokoju. Bez słowa. Żadnego „Rozmowa skończona” ani „Pociesz mnie, że jednak czasem dobrze ci doradzałam”, ani nawet „Nie mam już z tobą o czym gadać”. To było zupełnie nie w stylu Hani. O co jej chodziło?

Alka wygramoliła się z fotela i wyjrzała na korytarz, nigdzie jednak nie widziała przyjaciółki. Zza uchylonych drzwi śmiertelnego pokoju wiało chłodem. Ciągle nikt nie wyłączył tam światła. Krew już zmatowiała na podłodze. To tam tuż za progiem stała Hania. Wpatrywała się w nieruchomy kształt na łóżku. Alka stanęła tuż za nią. Dotknęła jej pleców. Hania, nie patrząc

na nią, znowu zaczęła wyznawać grzechy:

– Bo rzecz w tym, że to ja doradzałam Darii wszystkie te kompromisy. To ja ją utwierdzałam w przekonaniu, że warto zrobić wszystko, by małżeństwo przetrwało. Ona miała wątpliwości. Ja mówiłam, że czasem warto na chwilę zagryźć zęby, a potem się wypowiedzieć, niż rozbijać własną rodzinę. To ja jej wmówiłam te wszystkie potworne działania w celu utrzymania małżeństwa. To ja ją w to wkopałam. To ja jestem wszystkiemu winna. To przeze mnie Bietka miała możliwość zniszczyć Darię. – Hania odwróciła się twarzą do Alki. – Błagałam ją, znaczy Bietkę. Zapowiedziała, że nie odpuści. A ja wiedziałam: albo Bietka, albo Daria. Przecież Daria nie przeżyłaby takiej hańby. Musiałam, naprawdę musiałam ją ratować. – I znowu palec w usta, i ssanie krwi. – Dałam Darii alibi. Nieprawdziwe. Tylko że tak naprawdę miało to być alibi dla mnie. Zrobiłam to. Jestem winna. Jestem winna jak cholera. Myślałam, że to wszystko będzie łatwiejsze, bo przecież musiałam chronić Darię. Musiałam – mówiła chrapliwie Hania jak koronkę do miłosierdzia Bożego. – Przepraszam – wyszeptała w stronę łóżka.

Bez odzewu.

I wtedy Alka ją przytuliła. Wdychała zapach włosów Hani, który przypominał jej zapach włosów matki.

To stało się zbyt niedawno, by Hania umiała zepchnąć wspomnienie w głębsze warstwy pamięci. Zresztą stały teraz w tym samym pokoju, chyba nawet w tym samym miejscu, gdzie stanęła Hania, gdy wróciła do Bietki błagać ją o litość nad Darią. Bietka nadal siedziała spokojnie na łóżku, wyciągnąwszy szczupłe nogi w kierunku okna. Laptopa z potwornym filmem nie było widać. Dusza Hani trzepotała jak bielizna w pralce, coraz szybciej, zwłaszcza gdy zobaczyła, jak Bietka jest zadowolona i spokojna. Ewidentnie cieszyła się, że ma władzę. Nad Darią. Nad Hanią. Miała władzę nawet nad synem Zuzi, a więc i nad samą Zuzią. Trzymała w ręku wszystkie karty. Bawiła się nimi.

– Błagam cię na wszystko, skasuj ten film, zapomnij o nim! – poniżała się Hania. – Pieniądzy chcesz?

– Pogadamy jeszcze – odpowiedziała Bietka.

Gdyby tylko nie uśmiechnęła się wtedy z tą chorą satysfakcją! Ta pewność siebie, tak potwornie nieznośna, bez żadnych „tak, ale”, mocny głos, śmiałe spojrzenie, które świetnie wypadało w telewizji, ale potwornie irytowało w realu. Tak, stanowczo Bietka sama się prosiła o to, co się stało.

Hania zamilkła i wyszła z pokoju. Wiedziała, co musi zrobić.

Dziewczyny kłębiły się przy drzwiach łazienki, w której zamknęła się Zuzia. Hania nie zatrzymywała się przy nich, lecz szybko zeszła na dół. Chwyciła nóż, ten najporęczniejszy, szybko sprawdziła na opuszcze palca lewej dłoni, czy jest wystarczająco ostry. Wchodził jak w masło. Zaszczypało. Wsadziła palec do ust, ale go zaraz wyjęła, by chwycić jeszcze ceratowy fartuch. I gumowe rękawiczki leżące obok zlewu. Włożyła je, wytarła ścierką trzonek noża, żeby usunąć odciski palców. Spłukała z ostrza swoją krew.

Owinęła nóż w fartuch, schowała pod sweter. Dziewczyny akurat biegały po schodach, Zuzia milcząco protestowała w łazience.

Bietka nadal siedziała na łóżku Ignacego, przyciskała do twarzy jego koszulkę. Pewnie usłyszała, że ktoś wchodzi do pokoju, bo skupiła się na chowaniu w pościeli tej koszulki, że niby nie robi nic takiego, choć przecież zdradzał ją popłoch, nerwowe ruchy. Tak się skoncentrowała na zacieraniu śladów, że nie zrozumiała, dlaczego ktoś za nią klęka, zakrywa jej usta lewą ręką.

Może nawet zauważyła kto, ale nie zdążyła się zdziwić. Tak lepiej. Nie chodzi przecież o to, żeby cierpiała, lecz żeby zamilkła.

Fizycznie, o dziwo, to wcale nie było takie trudne. Jasnowłosemu agentowi specjalnemu Jackowi Bauerowi w sezonie piątym *24 godzin* zdarzyło się przeszkolić pewnego marynarza, by zabił terrorystę. Marynarzowi się udało, choć tylko raz wysłuchał instrukcji Jacka. Hania pamiętała dobrze tamte wskazówki, obejrzała przecież ten kawałek jeszcze raz, dzisiaj, na jakimś pirackim serwisie, gdy zobaczyła, że Alka przysłała jej swój tekst, żeby w razie czego doradzić, podyskutować. Alce bowiem nigdy nie chciało się sprawdzać faktów u źródeł. Ale to podcięcie gardła Alka dobrze wymyśliła, do takiego zabójstwa nie trzeba było wcale wielkiej siły, wystarczył ostry nóż oraz element zaskoczenia. „Zajdź go od tyłu – mówił Jack Bauer. – Z odległości czterdziestu pięciu centymetrów zakryj mu usta lewą ręką, odciągnij jego głowę na swoją klatkę piersiową i prawą ręką poderżnij mu gardło. Musisz ciąć głęboko, by przeciąć struny głosowe i tętnicę szyjną”. Tak, Jack był dobrym nauczycielem. Nawet gdy trzeba było usunąć z planu koleżankę, nie terrorystę. Fałszywą koleżankę. Złego człowieka.

Hania zawahała się dopiero, gdy tamowała dłonią w rękawiczce ciepłą ciecz wypływającą z szyi Bietki. Ale już było za późno. „Zaszyj dziurkę, póki mała”, mawiała kiedyś jej matka. Ta dziurka jednak była zdecydowanie za duża.

Bietka rzucała się, podrygiwała, ale szybko się uspokoiła. Hania dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak bardzo nieodwołalny jest ten spokój. Jak bardzo już o nic Bietki nie pyta. Jak bardzo Bietka nie przeprosi, jak nigdy już nie rozkwitnie w telewizji, jak nieodwołalnie nie napisze kolejnej fabuły. Ciach i Bietka się skończyła.

Hania zaraz zerwała się z tego łóżka, zdarła z siebie splamiony żółty fartuch, cisnęła go w kąt, nóż, brudny jak nie wiem co, wywaliła za okno, czarna dziurka w kopnym śniegu. Przymknęła okno, ale nagle osłabła, nie miała siły przekręcić klamki, nie miała siły patrzeć na Bietkę, której już nie było. Nie było, mimo to miała jakiś smutek na twarzy. Hania chwyciła w dwa palce szarą kapę i przykryła tę biedną dziewczynę z twarzą, z włosami, z krwią. Zupełnie jak w tym kawałku, który Alka rozesłała do nich wszystkich. To był dobrze obmyślony tekst, bardzo dobrze, trzeba to Alce przyznać. Bo i ona też przecież miała dość Bietki. I Zuzia miała dość. Wszyscy mieli dość tego babska.

Doigrałaś się. Sama tego chciałaś, podła, podła kobieto. Okazałaś się niełojalna do bólu. Przecież próbowałam z tobą rozmawiać. Próbowałam cię przekonać. Zadawałaś te potworne pytania jak miecze boleści skierowane w samo serce. Oczy ci świeciły, jakbyś trafiła na żyłę złota. I cieszyłaś się, że będziesz mogła napisać, że Daria co innego głosi, a co innego robi. Nigdy nikim nie byłam tak rozczarowana jak tobą, Bietko.

Przepraszam. Strasznie cię przepraszam, że to przeze mnie się tak skończyło.

I lży. Po raz pierwszy tego wieczoru.

Tego Alka się nie spodziewała. Nie, nie po Hani. Hania wspierała, przyjeżdżała gasić pożary, a nie je podsycać. Dobra Hania, Hania pełna miłości i zasad, tak pomocna, jakby wyszła z bajki o dobrej wróżce.

A teraz wszystko runęło.

To nie prawicowa twardzielka, zasadnicza Daria marząca o politycznej karierze poderżnęła gardło Bietce, żeby ukryć jedyny błąd, jaki w życiu popełniła. Zrobiła to Hania. Po to tylko, by ratować skórę Darii. Pełna wyrzutów sumienia, ale przekonana, że postąpiła słusznie.

Hania wyszeptywała jej te dziwne, straszne rzeczy w bluzkę, a Alka uświadamiała sobie, że do

tej pory zawsze działało się odwrotnie: to ona szukała u Hani rady i przebaczenia. A teraz świat totalnie zmienił kierunek.

Przecież w sądzie nie mogą skazać Hani, nie mogą. Przecież jakoś ją wybronią. Każdy zrozumie, że musiała zrobić to, co zrobiła. Hania broniła przyjaciółki. Życie za życie. Podobnie trzeba będzie wytłumaczyć rzecz dziewczynom.

Alka zeszła do salonu, ale została na najniższym stopniu schodów. Rozejrzała się. Wszystkie dziewczyny przysypiały. Odchrząknęła. Ale tylko jedno spojrzenie ku niej powędrowało. To gadzie. Cóż, wiedziała, że jeśli powie prawdę, obudzi je od razu, nie mogła jednak tłumaczyć im niczego w obecności pulchnego pana z bródką, nieważne, jak głośno chrapał i jak bardzo się ślinił.

Podchodziła więc kolejno do każdej, szeptem zapraszała na górę, że ma im coś ważnego do powiedzenia. Ważnego i pilnego.

– Tak, Uliana, ciebie też proszę. Chyba możemy zostawić na chwilę Kalinę samą?

Przerażona Zuzia pokiwała głową.

I zaraz zgromadziły się jak najdalej od miejsca, gdzie leżała Bietka, czyli w sypialni państwa domu. Ten pokój już się dzisiaj trochę nasłuchał. Dużo jednak go jeszcze czekało.

Alka przemówiła, a im dłużej tłumaczyła, wyjaśniała, tym bardziej oczy Zuzi wypełniały się łzami.

– Ale ty żartujesz, prawda? – upewniała się.

Alka była wykończona, jakby przewaliła właśnie górę śniegu. Hania stanęła w progu cicho jak duch. Alka podeszła do niej, otoczyła ramieniem. Daria milczała. Gapiła się na Hanię spod grzywki jak zwierz z za kępy trawy. Czy będzie w stanie udzielić rozgrzeszenia, na którym Hani tak zależało? Trudno było cokolwiek wyczytać z tej kamiennej twarzy.

– Daria, ja tylko chciałam, żebyś miała szansę na dobre życie. Żebyś jeszcze ją miała – Hania przecięła ciszę niezdarnym ścięciem słów.

Zuzia wydała z siebie szloch i wytrąbiła nos w chusteczkę. I zaraz już płakała z całej siły. Uliana kręciła głową jak nakręcana zabaweczka. Pokój wibrował. I zaraz dołączyły do tego krzyki Kaliny. Coraz szybsze, głośniejsze, z dołu.

Uliana i Zuzia zerwały się jednocześnie i wypadły z pokoju.

Wilk krąży po domu.

Trzęsę się.

Krzyczę.

Stuk-puk po schodach.

Stuk-puk.

Sq.

U się trzęsie, w innym jednak rytmie niż ja. To mnie rozprasza. Rozbija. Rozwala.

Wielka S płacze. Świat się przez to rozsypuje do reszty, przez te jej dźwięki i łapczywe wciąganie powietrza, i wodę z oczu, i czerwoną twarz. Wielkiej S nie wolno robić takich rzeczy. Ona ma być mocna. Najmocniejsza.

Zuzia zbiegła po schodach. W pierwszym momencie poczuła ulgę, że siostra jest sama w salonie. Na fotelu, na którym jeszcze niedawno pochrapywał ojciec, leżał tylko zmięty koc. Ale zaraz się przeraziła. Gdzie on się podział? Co robi?

Kalina pokrzykiwała rytmicznie, gapiąc się w ścianę. Uliana próbowała ją uspokoić, podając jej kartki, flamastry. Bezskutecznie. Hol był pogrążony w półmroku. Pusty.

Nie, nie był pusty. Zuzia wytarła łzy z oczu i dostrzegła wreszcie ojca. Stał przy lustrze w przedpokoju, sięgał w górę na półkę. Nie sięgał. Coś tam odkładał.

Dała krok do przodu. Odkładał torebkę Bietki.

Spojrzał na Zuzię, opuścił rękę i uśmiechnął się, wcale nie speszony.

– Zastanawiałem się, gdzie jest toaleta.

Uliana chyba odniosła sukces, bo krzyki Kaliny ucichły, choć Zuzi ciągle trudno było zebrać myśli.

– Toaleta? Na dole, ale popsuta. Uliana, zaprowadź go, proszę, do łazienki na piętro – powiedziała.

Nadal nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą zobaczyła.

Gdy poszedł posłusznie z Ulianą schodami w górę („Poczekaj tam na niego, niech nigdzie sam nie łązi”), Zuzia zajrzała do torebki Bietki. Portfel został opróżniony, w kieszonce na banknoty zostało tylko dwadzieścia złotych. Potem zajrzała do szuflady stolika w przedpokoju, gdzie jej mąż swoim zwyczajem chował trochę gotówki. Przydawała się na tym zadupiu z dala od bankomatów. Tutaj jednak nadal majtało się kilka stułotowych banknotów.

Zuzia spojrzała z rozpaczą na Hanię, na Darię, na Alkę. Nie miała pojęcia, co zrobić.

– Zabrał kasę? – domyśliła się Alka.

– Ze stolika nie – odpowiedziała Zuzia. – Pamiętasz, ile Bietka miała w torebce?

– Coś ze trzy stówy, może trochę więcej. I karty.

– Karty zostały. Pieniądzy nie ma.

Umilkła, bo ojciec już schodził z góry w ślad za Ulianą. Okrągły, z białymi lśniącymi zębami wśród siwego zarostu.

– Piękny dom – stwierdził. – Naprawdę, Zuleńko, pogratulować. Świetnie dajesz sobie radę. Dobry przykład dla mnie. Już wiem, że powinienem doprowadzić do porządku samochód i siebie. A potem pomóc ci przy Kalinie. Bo pewnie nie jest ci z tym łatwo, prawda?

Zgodziła się, zaskoczona, że ten od zawsze nieobecny ojciec tak dobrze ją rozumie. Niesamowite, ile znaczą więzy krwi. Wspólne geny. Rodzina.

I znowu cholerne łzy w oczach, jak zawsze, gdy w kinie patrzyła na dawno wyczekiwany happy end. Żeby tylko się całkiem nie rozbeczeć.

Nie rozbeczała się. Bo ojciec zaraz dodał, żeby Zuleńka nie przejmowała się jego samochodem. On jakoś sobie poradzi. Choć na naprawę potrzebuje dwóch tysięcy. No, według dokładnych wyliczeń dwóch tysięcy ośmuset dziewięćdziesięciu ośmiu złotych. Ale niech się Zuleńka tym nie martwi. Natomiast on, kiedy tylko nareperuje samochód, zaraz znajdzie jakąś pracę. Wtedy jej pomoże. Należy się jej. Uśmiechał się pełen zrozumienia.

– To co? Pościelisz mi w gościnnym? – dorzucił lekko. – Bo w takim wielkim domu na pewno macie jakiś gościnnie.

Hania patrzyła na niego badawczo. Zuzia pokręciła głową: „Nie wtrącaj się”.

Wdech, wyyyydech. Wdech, wyyyydech. Tak jej kiedyś doradzała Hania. „Zanim powiesz czy zrobisz coś nieodwołalnego, pooddychaj. Jeśli się potem nie rozmyślisz, znaczy, że to, co chcesz zrobić lub powiedzieć, nie jest takie głupie”. Wdech, wydech.

– Nie możesz tu spać. Mój mąż nie byłby zadowolony.

„Nie możesz tu spać, tato” – nie przechodziło Zuzi przez usta. Ojciec wyraźnie posmutniał.

– Ale pomogę ci. Nie zostawię cię tak.

I wcale nie dopowiedziała: „Jak ty mnie zostawiłeś”.

Docenił. Widziała to. Rozluźnił się.

– I nie martw się samochodem. Pożyczę ci na naprawę.

Zamilkła. Odczekała, żeby miał okazję powiedzieć, że nie weźmie od niej ani grosza. Zamarła. Mijały sekundy. On jednak milczał. Tylko oczy mu błyszczały.

– Tylko że nie jestem pewna, czy mam w domu aż tak dużo pieniędzy.

Jego twarz ani drgnęła.

– Ale postaram się uzbierać, ile potrzebujesz. Spytam, czy koleżanki mogą mi pomóc.

Podeszła do Alki, zagarniając po drodze Hanię i Darię. Odprowadziła je na bok, jak najdalej od ojca. Uliana patrzyła na nią wielkimi oczami z kanapy. Zawróciła i po nią.

– Czy ty na pewno wiesz, co robisz? – szepnęła Hania. – Po tym, jak wyciągnął Bietce pieniądze z torebki, ty obiecujesz mu jeszcze więcej?

– Zuzia, on cię ewidentnie chce naciągnąć na kasę – zawtórowała jej Alka.

– Ciekawe, czyje torebki jeszcze przetrząsnął – dołączyła Daria.

– Cicho bądźcie! – zarządziła Zuzia.

Pochyliła się do dziewczyn i zaczęła szeptać. Tak cicho, że Hania musiała zbliżyć ucho do jej ust. Po dłuższej chwili odsunęła się raptownie.

– Nie. Nie mogę się na to zgodzić.

Daria pokręciła głową.

– Wcale nie jestem pewna, czy to wypali.

– Zależy, jak się do tego zabierzemy – odparła Alka. – Trzeba by wszystko dobrze przygotować.

– Przygotować? Ale jak? Nie mamy już czasu – wątpiła Daria.

– Wcale nie potrzebujemy go tak dużo – skontrowała Alka. – To tylko kwestia decyzji. I organizacji.

– Nie, nie wolno wam tego zrobić – upierała się Hania.

Tylko Uliana milczała.

Ojciec Zuzi popatrywał na nie z tym swoim krzywawym, pełnym wdzięku uśmiechem. Spokojnie czekał.

Zuzia poszła do stolika w przedpokoju, skąd zaraz wyciągnęła całą forszę, jaką tam zostawił jej mąż. Daria i Alka przetrząsały zawartość swych portfeli. Hania stała nieruchomo, wpatrując się w ojca Zuzi, który bujał się na piętach i starał nie okazywać, jak bardzo interesuje go rosnący stosik banknotów na stoliku. Czubek nosa połyskiwał mu na czerwono.

Zuzia podeszła wreszcie do ojca.

– No, udało nam się trochę uzbierać – powiedziała, sama zadziwiona tym, jak spokojny ma głos. – Gorzej, że taksówka tu raczej prędko nie dojedzie przez ten śnieg. Ale wiesz co? Możesz przecież zadzwonić do korporacji i powiedzieć, że podejdziesz do stacji benzynowej przy trasie na Konstancin. Drogę już znasz. Tam na pewno dojadą szybciej niż tu do mnie.

Ojciec posłusznie wyjął telefon komórkowy i zadzwonił pod numer, który podała mu Zuzia.

– Taksówka będzie przy stacji benzynowej za jakieś pół godziny – oznajmił.

– No to zaraz będziesz musiał wyjść. Wiem, że daję ci mało gotówki, ale chwilowo nie mam więcej – wytłumaczyła się Zuzia. – Chociaż wiesz co? Sięgniesz tam?

Wskazała torebkę, którą ojciec jakiś czas temu odstawił na górną półkę nad wieszakiem. Torebkę Bietki.

Spojrzał na nią podejrzliwie, ale uśmiechała się niewinnie.

– Nie wiem, co prawda, ile mi zostało gotówki, ale mam karty bankomatowe. Znajdziesz tam

portfel? – Zuzia po raz kolejny przeliczała banknoty na stoliku.

Ojciec sprawnie wygrzebał to, co chciała.

– Sprawdzisz, ile zostało mi pieniędzy?

Sprawdził. Coś tam wybąkał pod nosem.

– W takim razie bierz karty – zarządziła Zuzia.

Dzięki Alce wiedziała, że Bietka miała w portfelu dwie karty, bankomatową i kredytową. Plus PIN dla niepoznaki zapisany na karteczce z hasłem „Pan Pinowski”.

– Elżbieta Burzyńska? – zdziwił się ojciec, przeczytawszy nazwisko na kartach.

– To karty służbowe – wytłumaczyła Zuzia. – Nieważne, bierz. Grunt, że masz PIN. W sklepie nie zapłacisz, bo się przyczepią, że nie twoje, ale z bankomatu wyciągniesz, ile potrzebujesz.

To go przekonało. Schował skwapliwie i gotówkę, i karty. Uśmiechnął się do niej. Krzepiąco. Tak, znał moc swojego uśmiechu. Ona też się uśmiechnęła.

Spojrzała w bok, w lustro. Pani po drugiej stronie lustra właściwie wcale nie wyglądała na słodziaczka porzuconego w dzieciństwie przez ojca. Wyglądała na twardzielkę w średnim wieku. I dobrze.

– Mam tylko do ciebie jedną prośbę – dorzuciła.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Podpite kobiety strasznie rozrabiają, a nie chciałabym, żeby mój mąż się zastanawiał, co tu wyprawialiśmy. – Najlepsze są prawdy i półprawdy. – Te wariatki powyrzucały parę rzeczy w śnieg. Masz buty na nogach, może mógłbyś mi to przynieść?

Stanął przy oknie, pokazała mu otwór w śniegu, ze dwa metry od ściany.

– Oj, dziewczyny, dziewczyny – uśmiechnął się ojciec i wyszedł na dwór, zostawiając w śniegu głębokie ślady dużych męskich butów.

Zuzia włączyła ekspres. Odsunęła od Alki kieliszek z winem.

– Zrobię kawy. Alka, musimy dograć szczegóły tej historii.

– Jakiej historii? – zgubiła się Uliana.

Trzasnęły drzwi, zatupały męskie nogi. Ojciec Zuzi wszedł do kuchni. Rzucił nóż na blat.

– Co wyście tym kroili?

– Tatara – odrzekła Zuzia błyskawicznie. – Nie wiem, co za wariatka wyrzuciła go przez okno. A to przecież specjalny nóż mojego męża. Do mięsa. Wybacz, naprawdę, ale on tu się pojawi z samego rana, a nie chciałabym, żebyście się poznali w takich okolicznościach. Wymyślmy coś lepszego.

– Trzymam cię za słowo – powiedział ojciec.

Wyprostował się. Poruszał się pewniej, zamasyściej, gdy karty i zwitek banknotów obciążły jego kieszeń. Tak, takiego Zuzia go pamiętała. A jednak żal.

– Tamtędy dojdiesz do taksówki – wytłumaczyła, machając dłonią przez okno.

Spojrzenie miał teraz mniej uważne, twarz nieco nieobecna. Aż dziwne, jak bardzo niekiedy bywał podobny do Kalinki. Tak, teraz Zuzia rozumiała, co ją najbardziej drażniło w siostrze. To podobieństwo.

– Nie płacz. Przecież wkrótce się zobaczymy – zapewnił ją ojciec.

I wyszedł, obchodząc dookoła Kalinę przyplaszczoną do podłogi. Nie poświęcając jej nic więcej nad zdawkowe spojrzenie. Miał ją w dupie, jak zawsze.

I w tym momencie Zuzia przestała myśleć, żeby go jednak zawrócić.

Trzasnęły drzwi. Skończył się ten rozdział jej życia. Całkiem kosztowny, ale czasem trzeba. Mężowi się jakoś wytłumaczy.

Stała przed dziewczynami.

– A teraz do roboty.

– Powiedziałam, że się na to nie zgadzam – zaprotestowała Hania słabym głosem.

– Ale już się stało – powiedziała Zuzia twardo. – Nie ma innej opcji. I nie ma czasu.

Alka włożyła rękawiczki do zmywania, chwyciła nóż i pobiegła na górę. Uliana ziewnęła, podrapała się w czoło.

– Ja nie rozumiem. Dlaczego twój ojciec przyniósł tu nóż? To ten nóż? I dlaczego pani Alka go zabrała?

Alka już schodziła z góry.

– Wywaliłam go w śnieg. Z tamtego okna.

– To po co kazałaś mu go przynosić? – zagubiła się Uliana.

– Żeby zostawił na nim odciski palców – wytłumaczyła Zuzia.

Uliana nadal nic nie rozumiała. Tym bardziej że jej wzrok padł właśnie na wybebeszoną torebkę Bietki.

– Dlaczego dałaś otcu rzeczy pani Bietki?

– Pieniądze sam wziął. Ale chcieliśmy, żeby dodatkowo znaleźli przy nim jej karty kredytowe – stwierdziła Zuzia. – Alka tak wymyśliła.

– Czy wy mówicie, że ojciec Zuzi...

– Tak, Uliana. Chciałybyśmy przyjąć, że ten pan wtargnął tutaj z motywów rabunkowych. – Zuzia miała wilgotne i lodowate ręce, więc wsadziła je sobie między uda, gdzie najcieplej. – Zadzgał Bietkę, zabrał jej pieniądze, okradł dom z całej gotówki i uciekł.

– Przecież to nieprawda – zdenerwowała się Uliana. – Twój ojciec jest niewinny.

– Niewinny? – prychnęła Alka. – Czy Zuzia nigdy nie opowiadała ci o swoim tacie?

– Słyszałam, co mówiłyście – oznajmiła Uliana. – Zrobił, jak to robią mężczyźni. Zostawił żonę i dzieci. Ale nikogo nie zabił.

Hania spuściła głowę. Alka położyła jej dłoń na plecach.

– Uliana, uwierz mi. Hania to dobry człowiek. A ojciec Zuzi – zły. Udawał, że śpi, żeby ukraść nam pieniądze.

– Widziałam. Źle zrobił. Ale nie zabił – upierała się Uliana. – Nie jest winien.

– Ona ma rację – potwierdziła Hania. – Twój ojciec nie jest mordercą.

– Jest winny, bo skrzywdził – protestowała ze łzami w oczach Zuzia. – Moją mamę. Moją siostrę. Mnie.

Kalina faktycznie zrobiła się sporo spokojniejsza od momentu, gdy ojciec opuścił dom. Teraz siedziała w ciszy i zasmarowywała kolejne kartki wielkimi zygzakami, które nieco przypominały błyskawicę. Albo wielkie W.

– Oszukiwał. Okradł. Zniknął bez słowa – ciągnęła Zuzia. – Nie przejmował się nami. I nie ma za to na niego kary. Nigdy nie było. Ale może masz rację. Może nie powinno się za to karać. Przecież nikt tego nie robi – zwątpiła Zuzia. – Może po prostu ma tak być.

– Mówił na ciebie „Zuleńko” – przypomniała Uliana. – Słyszałam.

– Mówił – przyznała Zuzia.

– Tym gorzej – dorzuciła Alka.

– Dlaczego?

– Bo to stary manipulant! – zirytowała się Alka. – Kiedyś stchórzył i nigdy za to nie odpokutował. A teraz przychodzi tu, bo jest w potrzebie. Chce kasy. Uważasz, że to

w porządku?! Uliana, naprawdę tak uważasz?!

Uliana zacisnęła usta i poszła do Kaliny pod okno. Pozbierała pomazane kartki w stosik i zaczęła je przeglądać, jakby była w stanie wyczytać tam jakąś prawdę, natomiast w ogóle nie patrzyła na dziewczyny. Nie i nie.

– No to mamy problem – podsumowała Alka. – Duży problem.

Uliana przy Kalinie czuła się o wiele lepiej niż obok roztrzęsionych pań w sytuacji ekstremalnej. To za Kalinę była odpowiedzialna, a nie za to, co między sobą nabroiły tamte. To nie była jej opowieść, kilka razy dzisiaj dały jej to przecież do zrozumienia. A teraz miałyby za nie nadstawiać karku?

Co te panie zresztą wiedzą o sytuacjach ekstremalnych. Ekstrema to wtedy, gdy z rodzinnej wsi zabierani są wszyscy młodzi chłopcy na wojnę, której nie można wygrać, ale za to bardzo łatwo można na niej zginąć. Gdy w okolicy nie ma również kobiet w średnim wieku, bo wszystkie wyjechały sprzątać do Warszawy. Gdy nieważne, co studiujesz, bo i tak wylądujesz z odkurzaczem w domu jakiejś Polki. Po co więc iść na studia? Marnujesz więc czas na pikaniu w komputer i czekaniu, aż coś zmieni się samo. Nic się nie zmienia. No i w końcu i tak lądujesz w Polsce przy odkurzaczu. A jeśli masz dużo szczęścia, to jako pomoc przy niepełnosprawnej kobiecie. Właściwie więc powinna się czuć, jakby złapała Pana Boga za nogi. To dlaczego tak się nie czuje?

Może przez te panie właśnie. Ciągłe nie mogła się zorientować, dlaczego uważają, że są od niej o tyle lepsze. Nie wszystkie zresztą. Na szczęście nie wszystkie. Bo na przykład Ulianie trudno było uwierzyć, że to Hania załatwiła koleżankę. Hania była przecież miła, patrzyła na Ulianę jak na człowieka i nawet zrobiła jej herbaty. Uliana już prędzej obstawiałaby Darię. Od pierwszych chwil bała się stawać na drodze tej sztywnej, zasadniczej osobie, bała się nawet przy niej odzywać, bo ta wyraźnie denerwowała się jej akcentem i jej życiowym położeniem. Wyraźnie miała ją za nic i choć brzydko było myśleć, że to wszystko dlatego, że Ukrainka nie może na nią głosować, to Uliana tak właśnie myślała. „Zdaje ci się” – zbagatelizowała to kilka godzin temu Zuzia, która – choć na ogół miła – też przecież nie traktowała Uliany jak innych koleżanek. Uliana bowiem była jej podopieczną. Osobą, która donaszała po niej ciuchy, której można było oddać uczulający krem i nad której losem można było ubolewać. Była dla Zuzi zastępczą, nie do końca radzącą sobie z życiem córką, a nie partnerką. Ale w sumie od niej Uliana umiała znieść tę protekcyjność, bo robiła to z wdziękiem. Daria natomiast niczego nie robiła z wdziękiem. Patrzyła na Ulianę jak na natrętnego komara, którego się znosi tylko dlatego, że może czasem stać się pożywieniem dla jaskółek.

Alka... Niby łączyła je wspólnota losów, ale w sumie dzieliło wszystko inne. Choćby to, że gdyby to Uliana przeszukała jej torebkę, pewnie miałyby sprawę w sądzie, natomiast Alka za przeszukanie pokoju Ukrainki po prostu przeprosiła i wystarczyło.

Te panie wszystkie były zgrane w jeden zamożny organizm. Czy Uliana musiała trwać przy nim, przyczepiona jak polip? To już lepiej było trwać przy Kalinie. Jej przynajmniej była potrzebna. No i zdaje się, że jej nie przeszkadzała. A teraz czegoś od niej chciały. Czegoś bardzo ważnego. Mimo to jej pytania i wątpliwości traktowały jak bunt na pokładzie. Zagadać, zakrzyczeć, wykazać swoją rację. Nie zmuszą jej do niczego. Nawet Alka, która właśnie podchodziła do Uliany z miną, jakby ciągnęła za sobą najcięższe armaty.

– A co z kobiecą solidarnością? – zagadała.

– Solidarnością? – zadumała się Uliana.

– Nie uważasz, że kobiety powinny być solidarne?

– A wy ze mną jesteście?

– Jesteśmy co?

– Czy wy jesteście solidarne ze mną?

Tym ją zaskoczyła. Alka otworzyła usta, zamknęła, zaczerwieniła się, pokręciła głową.

– OK. Trafiona, zatopiona.

– Słucham? – nie zrozumiała Uliana.

– Rozumiem. Nie byłyśmy w porządku wobec ciebie. Nie byłam. Traktowałam cię z góry, choć przecież, pracując lata temu w Londynie, obiecywałam sobie nigdy tego nikomu nie robić. I proszę. Nie mogę sobie tego darować. – Alce trząśł się głos. – Proszę, wybac mi. Im też. I pomóż ratować moją przyjaciółkę.

Dziwnie spokojna Hania stała przy oknie. Dłonie splotła z tyłu, blada, sztywna, jakby już szykowała się do wyjścia w kajdankach. Uliana zastanawiała się, jak by sama zachowywała się w podobnej sytuacji. Ale tego się przecież nigdy przedtem nie wie. Jedno natomiast wiedziała: nie będzie kłamać policjantom. Za duże ryzyko. W imię czego zresztą miałyby to robić? No dobrze, Hania była sympatyczna i opiekuńcza, może i broniła przyjaciółki, ale zabiła. Co do ojca Zuzi... Kiedy wreszcie te wypieszczone panie zrozumieją, że mężczyźni już tacy są: odchodzą? Oni po prostu nie są stworzeni, by zajmować się dziećmi. Dziecko to obowiązek matki. Tak jest i nie ma co się buntować. Na całym świecie. Przecież ona też ojca nawet nie pamiętała. Nie знаła nawet jego twarzy, mama powycinała ją z nielicznych zdjęć, na których byli razem. I co, przecież daje sobie radę. Obie sobie świetnie dają radę. Mąż i ojciec do niczego nie jest im potrzebny.

Wytała oczy rękawem. Przecież chyba nie wzruszy się byle czym jak Zuzia? Żeby tylko cholerna Daria nie zobaczyła, co się z nią dzieje.

– Mój ojciec wcale nie jest niewinny – stwierdziła Zuzia nagle. – To przez niego nie umiem dogadać się z facetami.

– Nie umiesz? – zdziwiła się Alka. – A ja zawsze byłam pewna, że świetnie ci idzie.

– Nie masz nawet pojęcia... Ty rozumiesz, że ja się co rano zastanawiam, kiedy mąż ode mnie... kiedy mąż ode mnie odejdzie. Bo wiem, że to robi. Oni zawsze tak robią. Staram się więc nie angażować do końca. I zawsze mieć plan B. Na wszelki wypadek. Swoje konto, swoje pieniądze, swoje życie.

– Co za bzdura – zdenerwowała się Uliana nagle. – Jesteś dorosła, pani Zuziu. Ociec skrzywdził cię, ale to było dawno. Teraz możesz żyć po swojemu, a nie obwiniać go o wszystko. To nie on jest winien wszystkiemu złemu w twoim życiu. Sama to sobie robisz, gdy pozwalasz sobie tak myśleć. – Ulianie drżały wargi.

– Masz rację. Masz rację, Uliana – powtarzała Zuzia. – Przecież jestem dorosła. Wydawało mi się, że już sobie z tym radzę. Ale wystarczyło, że go tu zobaczyłam, a znowu poczułam się jak mała dziewczynka, która rozplaszcziała nos na szybie, bo czekała, że tata wróci. Wyrzuciłam go teraz, wrobiłam, mimo to dalej za nim tęsknię. Nie za tym oszustem, złodziejem, którym jest, tylko za ojcem. Prawdziwym ojcem. Uliana, dlaczego ty płaczesz? Przepraszam, jeśli powiedziałam coś głupiego.

Zuzia już jej podawała chusteczki, już ją głaskała po plecach.

Nie dać się, nie dać. Przecież tamte robią to, żeby coś załatwić.

– Nie bój się, nie bój – dodała Alka. – Rozumiem, że czujesz się tu samotnie. I że wymagamy od ciebie nadstawiania karku za osobę, której nie znasz.

Tak właśnie było.

– Nie zmuszajcie Uliany do niczego – zaprotestowała Hania, która nieoczekiwanie stanęła obok. – Wiem, co zrobiłam, wiem, dlaczego to zrobiłam, i wiem, że powinnam za to odpokutować. Od początku o tym wiedziałam. Uliana nie ma z tym nic wspólnego. Przecież widzicie, że ma dość.

– Ja nie dlatego płaczę – wyjąkała Uliana. – Nie dlatego.

– Co się stało? – zdenerwowała się Hania. – Co się stało, Ulianko?

Uliana sięgnęła po kolejną chusteczkę z pudełka.

– Bo mój ojciec też poszedł, kiedy byłam mała. Nawet nie pamiętam, jak wyglądał.

Zuzia wyciągnęła do niej ramiona, a ta po chwili wahania w nie wpadła. I obie łkały sobie nad podłością świata, ze szczególnym uwzględnieniem podłości męskiej, a jeśli jeszcze bardziej zawęzić, to podłości mężczyzn, którym niepotrzebnie zdarzyło się zostać ojcami. Łzawy happy end – pomyślała Alka. – Szkoda że to jeszcze nie koniec.

Kalina poruszyła się niespokojnie pod swoim oknem balkonowym.

– Nic się nie dzieje, Kalinko – błyskawicznie, mimo łkania, zareagowała Zuzia. – Wszystko w porządku.

– Czasu nie ma – zdenerwowała się Alka. – Naprawdę nie mamy czasu, jeśli mamy to wszystko ustalić, zanim przyjedzie policja.

– Nic nie będziemy ustalać – upierała się Hania.

Uliana wytrąbiła nos w chustkę.

– Powiem, że spałam. Powiem, że cały czas spałam i nic nie wiem.

Wszystkie spojrzały na nią z zaskoczeniem.

– Tak powiem. Spałam twardo. Na górze. Całą resztę wy opowiecie. Może tak być?

Zuzia uśmiechnęła się do niej przez łzy.

– Nie, nie na górze – zaprotestowała Alka. – Wtedy nie będziesz miała alibi. Lepiej powiedz, że spałaś tutaj, na kanapie. Napiałaś się, zmęczona po całym dniu z Kaliną, to i zasnąłaś. Twardo jak kamień. Nic nie widziałaś, nic nie słyszałaś.

– A co będzie, jak twój ojciec opowie, jak było naprawdę? – zorientowała się Uliana nagle.

– Uliana, ty spałaś. Rozumiesz? Spałaś. Nic nie wiesz, bo spałaś. Wszystko jedno, co on powie, spałaś.

– A co będzie z wami?

– Będziemy zgodne w zeznaniach. Powiemy to samo: przyszedł obcy mężczyzna, chwilę łąził po ogródku, pewnie zaglądał w okna. Włazł do środka, przeszukał torebkę Bietki, komódkę. Zabrał kasę i karty. Potwierdzą to ślady na śniegu. Odciski palców na nożu. I karty do bankomatu w jego kieszeni.

– To jest cholernie naiwne. Nie widzisz tego? – Daria była jedyną trzeźwą i to na niej spoczywał obowiązek wypowiedzenia tego zdania. – Ukradł i zwiął, to rozumiem. Ale dlaczego miałyby zadźgać Bietkę?

– Nie używaj słowa „zadźgać” – pobladła Hania.

– Przepraszam, Haniu. Ale dlaczego miałyby to zrobić? Alka, Uliana ma rację. Ta historia nie trzyma się kupy.

Uliana ma rację? – zdziwiła się Uliana. – W ustach Darii? Przedziwna zmiana.

– Zaraz, jeszcze nie skończyłam – zdenerwowała się Alka.

Podeszła do okna, ale na horyzoncie nadal nie było widać żadnych świateł. Miała więc jeszcze chwilę, by wymyślić tę historię do końca.

To przesłuchanie robiło się nudne. A poza tym komisarza Łukasza Dobrego strasznie drażniło patrzywanie na ten rozmazany makijaż.

– Dowiem się wreszcie, co się działo tego wieczoru?

Kobieta wytarła oczy rękawem swetra.

– Próbuję to sobie zrekonstruować, odkąd się dowiedziałam, że Bietka nie żyje – to ostatnie drżącym głosem. – I nie mam pewności. Nie stuprocentową. Wie pan, jak to jest na takich imprezach: dużo alkoholu, dziewczyny chodzą, gdzie chcą, robią, co chcą... Przez pół wieczoru mierzyły ciuchy, biegały po całym domu... Jedna się wstydy rozebrać, inna mniej... Wie pan, jak to jest.

Skąd niby miałyby wiedzieć? Zawsze starał się trzymać z daleka od takich babskich zlotów. Pamiętał matkę i jej kumy, pamiętał siostrę i jej koleżanki. Lekko nietrzeźwe kobiety w większej grupie zawsze są zbyt głośne, zbyt wylewne i zbyt rubaszne, trochę nawet obrzydliwe.

– *No więc biegały po całym domu, rozumie pan. Szukały luster.*

– W których pokojach są lustra?

– A tak mniej więcej wszędzie. Tylko u Kalinki nie ma. Ona podobno boi się luster.

– Luster się boi?

– Ma autyzm. Nie mówi. Nie można jej dotykać. Nie lubi hałasu. No i luster też. To wielkie zmartwienie Zuzi. Zuzia jest taka dzielna... – i łyzy w oczach. – A wie pan, że mi się to śniło wczoraj w nocy? Że ktoś niesie bezwładne ciało na rękach i układa w łóżku. Kiedy się obudziłam, wiedziałam, że się coś wydarzy. – Wysmarkała się w chusteczkę.

– Niech pani przejdzie do konkretów. Co tu się działo w momencie śmierci Elżbiety Burzyńskiej?

– A kiedy był ten moment?

Jakież te baby są irytujące.

– Niech pani mi wszystko opowie – warknął. – Przebieg całego wieczoru.

– *Jak już mówiłam, najpierw biegałyśmy, jadłyśmy, mierzyłyśmy i tak dalej. Potem na takich imprezach zawsze następuje moment, gdy humory się nieco kwaszą. No wie pan. Spać się chce, część się pokłada, część parzy kawę i podkręca muzykę, ktoś tam źle się czuje. Normalna, rozumie pan.*

Dla świętego spokoju pokiwał głową.

– *Normalnie w takim momencie ja bym wróciła do domu, zresztą nie lubię siedzieć do późna, ale jaka taksówka dojedzie na takie zadupie? W tym śniegu? No i za ile? Więc ja też postanowiłam, że zostanę do rana, dom w końcu duży, no nie? Siedziałyśmy w kuchni za bufetem, na podłodze, bo podgrzewana, przyjemnie, rozumie pan. Piłyśmy, trochę jadłyśmy, muzyka głośno grała, żebyśmy nie zasnęły. Bietka siedziała z nami, potem poszła, chyba na górę, uznaliśmy, że się źle poczuła, ona czasem marnie reagowała na alkohol.*

– Poszła na górę?

– No na górę. Na dole spłuczka nie działa.

– Wszystkie siedziałyście razem?

– No poza Kaliną, ona się kiwała przy oknie. Mówiłam już, że nie lubi hałasu? Ani dotykania? Pokiwał głową.

– No więc Uliana spała tu w salonie, na kanapie. To znaczy miała pilnować Kaliny, ale że ona siedziała spokojnie, to dałyśmy Ulianie pospać. Zresztą też się trochę napiła, co dziewczynie żałować, chociaż Ukrainka. I otworzyłyśmy nową butelkę wina. Oni mają strasznie fajny

otwieracz, wie pan?

Poemat, kurwa, dygresyjny.

– Ale przecież musiały panie zauważyć, że ktoś obcy wchodzi do domu.

– *Stąd? Zza bufetu? No way. Może przez chwilę było zimniej, może coś trzasnęło, jakieś drzwi, ale przecież gadałyśmy, piłyśmy, muzyka grała. Dopiero potem uświadomiłyśmy sobie, że widać drzwi nie były zamknięte na klucz. Któraś też musiała nie zatrzasnąć furtki. No i wie pan, po dłuższym czasie zaczęłyśmy się zastanawiać, gdzie jest Bietka... Wołałyśmy – nic. To poszłyśmy jej szukać. Na dole nie było, to poszłyśmy na górę. No i ja ją wtedy znalazłam – Alka zaczęła płakać. – Ja przepraszam, ale na samo wspomnienie... A obok leżała jej wybebeszona torebka. To było proszę pana jak gwałt... A potem Zuzia powiedziała, że pieniądze zniknęły również ze stolika na korytarzu.*

– Innych koleżanek nie okradziono?

– A to pan nie wie, że dziewczyna na imprezie nie rozstaje się nigdy ze swoją torebką?

– Ale co pani Elżbieta robiła w pokoju syna? Poszła przecież do łazienki.

– Kulturalny człowiek nie sprawdza maili i Facebooka w towarzystwie. Wypada na chwilę przeprosić, rozumie pan? Widać w łazience było jej niewygodnie.

Sprawdzanie Facebooka w środku nocy?!

– Wrzuciłyśmy zbiorowego selfika, oznaczyłyśmy się wszystkie i co jakiś czas patrzyłyśmy, czy te, co im się nie udało przyjechać, bardzo nam zazdroszczą. Bo dużo dziewczyn nie przyjechało z powodu śniegu, rozumie pan?

Takie rzeczy mogły się dziać nawet w Radomiu, akurat ta plaga pleniła się wszędzie. On natomiast gardził Facebookiem. Fotki z wakacji, fotki z imprez, fotki z knajp. Nie bawię się, tylko robię zdjęcia, że się bawię, a wy zazdroście. Dziecinada. I łgarstwo.

– No to każda tu na momencik sobie poszła gdzieś na bok, podpowiadać na komentarze i tak dalej.

Każda na bok, żadna nie ma alibi. Niech je szlag.

– Ale akurat wtedy to wszystkie siedziałyśmy za wyspą kuchenną, wszystkie razem, nawet Kalina. Tylko Bietka...

– *A jak pani myśli, po co tamten mężczyzna poszedł na górę?*

– Pewnie szukał sejfu.

– Sejfu?

– A to pan nie wie, że każdy ma sejf w sypialni?

– Pani ma?

– Jakbym miała co tam trzymać...

– Pani Zuzanna ma?

– Jeśli ma, to tam. Przecież w serialach zawsze trzymają kasę w sypialni. Więc tamten pewnie szukał sejfu, myślał, że wszystkie siedzimy na dole, hałasujemy, więc będzie na górze miał spokój. Może zresztą patrzył, czy mógłby jeszcze coś zwinąć, komórkę, iPada, takie rzeczy. Wtedy mógł się natknąć na Bietkę. Pewnie siadła po ciemku, żeby sprawdzić Facebooka. No i mamy, co mamy.

– Nikogo panie nie widziały na zewnątrz? Przedtem ani potem?

– *Wie pan, już po fakcie dziewczyny mówiły, że faktycznie, ktoś tu chodził pod murem, że z góry widziały jakiś cień na śniegu, jakąś postać. Widział pan ślady? Ale każda myślała, że jej się zdaje. Kto by przyłaził na takie zadupie? No i się nam potem przypomniało, że suchka była niespokojna, poszczekiwała, ale kto by się takim psem przejmował. No i Zuzia miała od kilku dni*

dziwne telefony, a to głuche, a to z groźbami. Od mężczyzny. Ale to już ona panu opowie, nam opowiedziała, wszystko, jak było. Nic więcej nie pamiętam. I bardzo proszę, niech pan znajdzie mordercę naszej przyjaciółki – kobieta podniosła na niego ogromne, błyszczące od łez oczy.

Ładny koniec, pomyślała Alka. I całkiem niezła historia, jeśli mogła to ocenić w tym stanie. Emocjonalna solidarność kobieca kontra świat twardych męskich, policyjnych dowodów. Znużony detektyw, któremu trudno się zorientować w babskiej niekonkretnej paplaninie (Wszystkie muszą na te kilka godzin wejść w tę konwencję, muszą). No i nadzieja, że kobiety jednak wygrają tę rozgrywkę.

Czy mają szansę? Nie była pewna. Może właśnie dlatego zawiesiła całą historię w tym właśnie momencie. Zupełnie jak końcówka *Thelmy i Louise*, w której bohaterki skaczą samochodem w przepaść, a wtedy kadr zamiera.

Ale im się uda. Trzeba ratować Hanię. Ratować Darię. I żeby żadna z nich nie wylądowała w pace za udzielanie fałszywych zeznań.

– To już wszystko? – Daria nie była przekonana. – Naprawdę tyle? Wlazł przez niedomkniętą furtkę, niezamknięte drzwi... OK. Przeszukał przedpokój, usłyszał, że coś szepczemy zza bufetu...

– Zza wyspy kuchennej – poprawiła ją Zuzia słabym głosem.

– ...poszedł na górę, bo chciał przetrząsnąć sypialnię, znalazł torebkę przy śpiącej babce, której się tam nie spodziewał. Ta chciała podnieść krzyk, podciął jej gardło, wybebeszył torebkę, cisnął nóż za okno, poszedł. Ma to sens?

– Nóż – odezwała się nagle Uliana. – A skąd on wziął nóż? Siedziałyście za... – spojrzała na Zuzię – za wyspą kuchenną. Nie mógł go stamtąd zabrać.

– Oj, kurde. Czepiasz się, koleżanko.

– Nieprawda. Uliana ma rację – stwierdziła Daria.

Tak, chyba jednak miała. No dobra.

Alka spojrzała w podłogę, w sufit, odchrząknęła.

Coś ta historia kupy się nie trzyma, stwierdził Dobry. Nie do końca w każdym razie.

– W kuchni brakuje noża. Co się z nim stało?

Jeśli to nim popełniono zbrodnię, to jak koleś miał go niepostrzeżenie wyciągnąć z kuchni pełnej bab?

– *Jego to już wcześniej nie było, szukałyśmy. Zuzia mówi: „Ja to taka gapa jestem. Jak coś kroję i otwieram drzwi, to zawsze gdzieś ten nóż zawieruszę”. No i tak było. Ze dwa zostawiła w przedpokoju, tam, na komódce, za każdym razem jak wychodziła którejs otworzyć. I potem brała następny. Pan nie ma pojęcia, ile krojenia wymaga taka impreza. Ale tamte były mniejsze, te, które umyłyśmy i odwiesiłyśmy. A ten duży musiał ten facet znaleźć w przedpokoju i wziąć ze sobą na górę.*

– A po co?

– A ja wiem? Na wszelki wypadek może? Na psa?

– A właśnie? Pies nie zareagował na obcego w domu?

– Ale myśmy ją zamknęły w spiżarni, bo strasznie szczekała. I tam dalej szczekała. To przestałyśmy zwracać na nią uwagę.

Biedny pies, jedyny mądry w tym towarzystwie.

– Niezła jesteś – musiała przyznać Daria. – Naprawdę niezła. Tym razem dobrze to wymyśliłaś.

– Tak, Alka dobrze mówi. Zgadza się na to? – podniosła głos Zuzia.

Cisza. Hania skuliła się na kanapie. Wszystkie wpatrzyły się w Ulianę. Ta wreszcie pokiwała głową.

– Spałam – postanowiła. – Nic nie pamiętam. Mój otiec mi się śnił.

Zuzia uśmiechnęła się do niej.

Kalina podniosła się z podłogi, usiadła, wychyliła się do przodu i do tyłu. I znowu do przodu, powoli, jakby rozgrzewała silnik. Zuzia podeszła do niej. Pochyliła się, wciągnęła w płuca zapach włosów siostry. Dzieciństwo. Kalina nadal szukała właściwego rytmu, co było o wiele bardziej krzepiące niż poprzedni bezruch.

Alka stanęła przy bufecie.

– A teraz pijemy po łyku – zarządziła, ruszając przeszukać barek. – Musimy pachnieć alkoholem, gdy tu przyjdą. No i mieć chociaż trochę promili, gdy każą dmuchać. Kurde, przydałoby się coś bardziej ekonomicznego niż wino.

Dogrzebała się do butelki whisky. Wyciągnęła szklaneczkę i rozlała wszystkim na dwa palce.

– Tyle chyba starczy – zadumała się. – No, na dobrą pamięć.

Wychyliła całość. Piekło w gardle. I świetnie.

Uliana sprawnie łyknęła swoją porcję. Zuzia poszła jej śladem. Hania objęła dłońmi swoją szklankę.

– No, ale to raczej beze mnie – Daria nie miała zamiaru sięgać po whisky. – Ja się na wszystko zgadzam, ale pić nie będę. Nie proście mnie nawet.

Wysuwam rękę. Spodnie wielkiej S są szorstkie, ciepłe. Za ciepłe. Cofam rękę. Niech ktoś mi pomoże. Niech ona mi pomoże. Niech poukłada.

Wilk jest daleko. To dobrze. Bałam się go. Wilka trzeba się bać. Tak mówią bajki.

Wilk jest zły. Kapturek jest dobry. Babcia jest dobra. Gajowy jest dobry. Tak mówi wielka S.

Kiwam głową raz bliżej, raz dalej od drzwi. Raz bliżej, raz dalej tego, co za drzwiami. To będzie gajowy. Jeden, drugi i trzeci. Jęczę. Raz i dwa, raz i dwa.

Wielka S obok mnie też się trochę kiwa. Lepiej tak razem.

Dzwonek do furtki. Raz i drugi, niecierpliwie.

Podskoczyły z napięcia. Maksia zaczęła jazgotać.

Przez okno widać było mrugające błękitem światła wozu policyjnego.

– Torebka Bietki! – przypomniała sobie Daria.

Alka rzuciła jej rękawiczki kuchenne, ta chwyciła lakierowane cudo Bietki. Pognała po schodach na górę. Cisnęła pod drzwiami śmiertelnego pokoju, aż wszystko poturlało się dookoła, i już była z powrotem.

Kolejny dzwonek, niecierpliwie.

Hania sączyła whisky łyżeczką po łyżeczku. Nie patrzyła na Darię. Za to ta spojrzała na nią, po czym chwyciła szklankę, drugą dłonią ścisnęła nos, żeby nie czuć zapachu, i wypila całość cieczy w kolorze słabej herbaty, krzywiąc się strasznie. Zuzia zaraz jej podsunęła szklankę z colą, żeby spłukała smak.

– Dzielna dziewczynka.

Złapały się jeszcze za ręce, w kółeczku, jak harcerki. Co z tego, że to dziecinada. Po czym

Zuzia poszła w kierunku drzwi, wolno i dostojnie, jak zawsze, gdy była pijana.

Obejrzała się jeszcze na dziewczyny. Uśmiechnęły się do niej. Wszystkie, nawet Hania.

Pod oknem pojękiwała Kalina. Miarowo. Świat wracał w swoje ramy.

Gdzieś tam, do centrum, jechał taksówką mężczyzna, który miał za pazuchą karty bankomatowe zmarłej prawdziwej królowej kryminału.

Sześć kobiet w śniegu tkąło nową materię rzeczywistości.

Suka szczekała przy drzwiach.

Zuzia przekręciła zamek, otworzyła.

– Dobry wieczór, nareszcie – westchnęła na widok ekipy z policji. – Myślałyśmy, że już nigdy nie przyjedziecie.

KONIEC



KILKA ZAPRZYJAŻNIONYCH KOBIET

spotyka się na imprezie w willi na odludziu. Wśród nich są gwiazda literatury kryminalnej, jej mniej znana koleżanka, zamożna pani domu i kandydatka na posłankę. Choć śnieżycą odcięła je od świata, bawią się nie najgorzej. Do czasu, kiedy jedna zostaje zamordowana. Szybko okaże się, że wszystkie mają do siebie mnóstwo pretensji i zadawnionych żalów.

SZEŚĆ PODEJRZANYCH,

nieco więcej butelek wina, a policja ciągle daleko. Tej nocy są zdane tylko na siebie, same będą musiały przeprowadzić śledztwo.

Zabić mogła każda.

Gdyby nie to, że wszystko dzieje się we współczesnej Polsce, a bohaterki tej powieści spotykają się nie przy filiżance herbaty, tylko przy skrzynce wina – tę historię mogłaby napisać sama Agatha Christie.



PATRONI MEDIALNI:

Claudia



lubimyczytać.pl



Zamówienia
www.burdaksiążki.pl
tel. +48 22 360 37 77

Zeskanuj kod
i pobierz
darmową
próbę książki

